

M.B.
L.W.
Wł.

ZBIGNIEW NIENACKI

Dagome iudex str. 8



Wszelkiej pomyślności
w nowym 1988 roku.

zyczy

Czytelnikom i Sympatykom

zespół „Odgłosów”

Nr indeksu 36762PL ISSN 0472-5042

3892-A

Lódź tygodnik społeczno-kulturalny Odgłosy

NUMER 1 (1553)

ROK XXXI

2 STYCZNIA 1988 ROKU

CENA 25 ZŁ

Niedziela, 20 grudnia 1987 roku.

Chciałoby się, żeby...

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Nie lubię okazjonalnej publicystyki. Myślę, że mało kto ją lubi. Można zresztą tę publicystykę też nazwać rocznicową. Ponieważ jesteśmy młodym państwem, choć nie tak dawno obchodziliśmy tysiąclecie polskiej państwowości, to cieszy nas każde minione 5 lat i staje się ono okazją do jubileuszu. Dzieje się tak dlatego, że nasza państwowość miała liczne przerwy i ciągle wszystko zaczęliśmy od nowa. W listopadzie 1988 roku minie 70 lat, jak po przeszło 100 latach niewoli odzyskaaliśmy niepodległość. W grudniu 1988 roku minie 40 lat od zjednoczenia polskiego ruchu robotniczego. We wrześniu znów minie 50 lat od niesławnego układu z Monachium i udziału Polski w rozbiórze Czechosłowacji.

Rocznie nam nie brakuje. W lipcu 1988 roku minie 40 lat od zjednoczenia ruchu młodzieżowego i powstania ZMP. Wiele działaczy partyjnych i państwowych było kiedyś nie tylko członkami ZMP, ale też zaliczali się do grona aktywistów tej organizacji. Jest powód do fetowania w publicystyce tej rocznicy. I tak można w nieskończoność. Takie okazje zdarzają się co roku, bo jakieś instytucji, organizacji, przedsiębiorstwa mają kolejne pięć lat.

Chciałoby się więc, żeby nasza publicystyka więcej uwagi poświęcała istotnym problemom współczesności, a nie obracała się głównie wokół kolejnych rocznic. Jest czym się przecież zajmować.

Oto na przykład brakuje nam lekarstw. Co prawda ostatnio wszyscy uparli się zamiast ładnego określenia: lekarstwa, używać nowotworu: leki, ale mniejsza z tym. Brakuje więc lekarstw. Stan taki zagraża zdrowiu naszego narodu. Z braku lekarstw i środków niezbędnych w szpitalach przekłada się terminy operacji. Ludzie chodzą po aptekach z receptami i często słyszą: — nie ma! Sprawa jest poważna i dla ratowania polskiej farmacji powołano specjalną fundację. W ogóle zapawiała moda na fundacje, jak by to był uniwersalny sposób na wszystko.

Niedawno w Biurze Prasowym Rządu odbyła się konferencja właśnie w sprawie lekarstw. Wiceminister przemysłu — Stanisław Kłos poinformował na tej konferencji, że w ciągu ostatnich 4 lat produkcja lekarstw w Polsce wzrosła o przeszło 60 procent. Wobec tego zapytano go, gdzie są te lekarstwa? Odpowiedział na to, że u ludzi, którzy dostają lekarstwa za darmo, którzy kupują je w dużych ilościach, bo są tanie i magazynują. Słowem chorzy są winni, że nasza chemia nie nadąża za społecznymi potrzebami. Jest to sposób myślenia charakterystyczny dla wielu urzędników, którym przeszkadza potencjał, klienci, interesanci.

Często odnoszę wrażenie, że na przykład MPK znakomicie funkcjonowałoby, gdyby nie... pasażerowie. Oni wybitnie przeszkadzają w sprawnym kursowaniu autobusów i tramwajów MPK. Pasażerowie tłoczą się, brudzą, nie kasują biletów, wystają niecierpliwie na przysiadkach i przeszkadzają. Gdyby nie było pasażerów, to MPK miałyby piękne, spokojne życie. Jakież sukcesy można byłoby wtedy zanotować i chwalić się nimi przy kolejnym jubileuszu.

Chciałoby się więc, aby w wielu instytucjach użyteczności publicznej na pierwszym miejscu postawiono interesy klienta, klienta, interesanta i zrozumiano, że instytucje te są dla ludzi a nie odwrotnie. Tylko, czy nie jest to przypadkiem zbyt wygórowane życzenie?

Tak się złożyło, że byłem w „Karczmie słupskiej” zanim ją udośćpniono klientom. Bardzo ładne wnętrze, czystość, karta pełna potraw słupskich. Ale obok plac Niepodległości z Halą Targową, bazarem i tym wszystkim, co ten bazar ze sobą niesie. Po przeciwnej stronie „Uniwersal” i stacja tramwaj podmiejskich. Ruch nieustanny. Często ludzi codziennie tu przechodzących, przejeżdżających, trafia do „Karczmy słupskiej”. Czy po tym zalawie klientów pozostanie ona taka czysta i ładna? A chciałoby się, aby tak było. Mam w Łodzi mało ładnych, estetycznych, czystych lokali gastronomicznych, czyli — mówiąc prościej — restauracji, barów, kawiarni. Jest kilka ekskluzywnych i reszta przypominająca poczekalnie dworcowe. Dlaczego na placu Niepodległości nie mogłaby się ostać taka ekskluzywna restauracja?

Chciałoby się bowiem, aby wokół nas było czysto, porządkowo. Już kilka osób mówiło mi, że po wyjeździe na Zachód zaszkodał ich przede wszystkim... kolor. Małe — szczególnie małe — a i duże miasta są kolorowe. Kolorowe są domy, lawki w parkach, kioski, witryny sklepów. A u nas? A u nas jest szaro, beżbarwne, ponuro. Na ulicy Piotrkowskiej widziałem witrynę, w której zbyt pomyślowy Dobromir zaprojektował dekorację z białych prostokątów, na których starannie czarnymi literami wypisał: herbata, cukier, mąka, soki... Czyli to, co można kupić w sklepie spożywczym. Wolałbym już, aby na tej wystawie zamiast napisów był rzeczywisty majonez, herbata, a w sklepie — chleb o każdej porze dnia, owoce i tak dalej, i żeby ich nie brakowało.

Ma się Łódź stać miastem targowym. Targi ościężowe i włókiennicze mają odbywać się cyklicznie, co roku. Pięknie. Długo o takie targi Łódź zabiegała. Ale miasto targowe nie może być nijakie. Musi być kolorowe, musi być barwne, musi być czyste. To nie jest tylko kwestia elewacji, zamalowania dziur i braków w tynkach. To kwestia charakteru miasta jego kolorytu, sposobu życia jego mieszkańców. To sprawa pomysłów, inicjatyw. Czegoś takiego, jak były „Imieniny Piotrkowskiej”. Musimy się tego kolorytu dorobić.

Sądzę, że zacząć trzeba od porządków, od troski o czystość. Bo, co tu dużo ukrywać: miasto jest brudne, lawki w parkach polamane, różne pomniki i rzeźby, których w Łodzi nigdy nie ma za dużo, poniszczony. Nie o taki koloryt, koloryt chuligaństwa, balaganiarstwa i niechlujstwa chodzi. Zapelnienie o coś przeciwnego. Nie żeby z pięknej „Karczmy słupskiej” zrobić spelunę, ale żeby spelunę zamienić w takie gustowne, sympatyczne restauracje. Może na przykład „Tarystyczną” przeobrazić w „Karczmę nowosądecką”? I żeby latem więcej było takich ogródków jak na ulicy Stanisława Moniuszki przed „Halką”.

Dużo jeszcze chciałoby się.

PS. Wszystko to, co powyżej napisałem psuje mi jedna myśl uciążliwa. 2 marca 1988 roku minie 30 lat od ukazania się pierwszego numeru „Odgłosów”. Jubileusz, psia krewn!

L.W.

- Intymne zwierzenia artystek — str. 6
- Szatan w ludzkiej postaci — str. 4
- Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy — str. 9
- Kogo nazywano włosowcami? — str. 11
- Jak bawią się w Londynie? — str. 12



Foto: Grzegorz Galasinski

Ogłosy

Adres redakcji: 19821/89
90-118 Łódź, ul. Henryka
Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny
36-52-44.

sekretarz redakcji.

fotoreporter: 36-80-99.

publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz
Włodkowski.

Zastępca redaktora
naczelny: Edmund
Lewandowski.

Sekretarz redakcji:
Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu
literackiego: Henryk
Pustkowski

Redaktor techniczny:
Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski,
Dariusz Dorożewski,
Eugeniusz Iwanicki, Teresa
Jerzykowska, Andrzej
Karolczak, Roman Kubiak,
Jerzy Kwieciński, Bogda
Madej, Andrzej Makowiecki,
Paweł Tomaszewski,
Jolanta Wrońska,
Marian Zdrojewski.
Grafik: Janusz
Szymański-Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz
Gałasiński.

Korekta: Mariola Knaga,
Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują:

Tadeusz Błażewski,
Bohdan Gadomski,
Grzegorz Gazda, Jacek
Giebski Witold,
Kasperkiewicz, Andrzej
Kempa, Wasyl
Kocznów (Iwanowo),
Marek Koprowski,
Włodzimierz Krzeminski,
Marek Mamos, Zenon
J. Michałki Ryszard
Nakonieczny Adam
Ochocki Jerzy
Panasewicz, Karol J.
Strwiński Maciej Swierkocki,
Witold Werner.

Wydawca: Łódzkie Wydawnic-
two Prasowe RSW „Prasa-
Książka-Ruch” 91-108 Łódź,
ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Gra-
ficzne RSW „Prasa — Książka-
Ruch” Łódź, ul. Armii Czer-
wonej 28.

Redakcja nie zwraca nie za-
mówionych rekwizytów i zastrze-
ga sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. Dla
instytucji i zakładów pracy —
zlokalizowane w miastach woje-
wódzkich i pozostałych miastach
w których znajdują się siedziby
Oddziałów RSW „Prasa — Książ-
ka-Ruch” — Książka — Ruch —
zamawia prenumeratę w trzech oddziałach —
Instytucja i zakłady pracy —
zlokalizowane w miejscowościach
gdzie nie ma Oddziałów RSW
„Prasa — Książka — Ruch” —
opłaca prenumeratę w urzędach
pocztowych i u doręczycieli. 2. Dla
indywidualnych prenumera-
torów — osoby fizyczne zamiesz-
kałe na wsi i w miejscowościach
gdzie nie ma oddziałów RSW
„Prasa — Książka — Ruch” —
opłaca prenumeratę w urzędach
pocztowych i u doręczycieli. 3. Dla
osób fizycznych zamieszkałych
w miastach — siedzibach Odd-
ziałów RSW „Prasa — Książ-
ka-Ruch” opłaca prenumeratę
wyłącznie w urzędach pocztowych
nadawczo-oddawczych właściwych
dla miejsca zamieszkania prenumera-
tora. Wpłaty dokonuje się używając
blankietu „wpłat” na rachunek bankowy
miejscowego Oddziału RSW
„Prasa — Książka — Ruch” 3.

Prenumerata ze zleceniem wysył-
ki za granicę przysyłane RSW
„Prasa — Książka — Ruch”
Centrala Kolportażu Prasy i
Wydawnictwa, ul. Towarowa 23,
00-958 Warszawa konto NBP XV
Oddział w Warszawie nr 1153-
201045 139-11 Prenumerata ze
zleceniem wysyłki za granicę
początku zwrócić jest droższa od
prenumeraty krajowej o 50 proc.
dla zleceń indywidualnych
i o 100 proc. dla zleceń
instytucji i zakładów pra-
cy. Terminy przyjmowania pre-
numerat na kraj i za granicę
— do dnia 10 listopada na I
kwartał i półrocze roku nastę-
pnego oraz cały rok następny —
do dnia 1 każdego miesiąca —
poprzedzającego okres prenu-
meraty roku bieżącego.

Zam. 4006. 8-10.

Przegląd prasy

10-10

Kto z niżej wymienionych
polityków i mężów stanu XX
wieku ma Pana(?) zdaniem
największe zasługi dla państwa
i narodu polskiego? (Prosimy
wskazać nie więcej niż 3 naz-
wiska).

Pytanie to zadano w poło-
wie 1984 roku reprezentatyw-
nej grupie (1911 osób) dorosłej
części społeczeństwa polskiego.
W kwestionariuszu ankiety
przedstawiono dwanaście post-
aci. Uzyskane wyniki omawia
w świątecznym wydaniu
katholickiego tygodnika spo-
łecznego „LAD” (nr 31-32)
prof. Stanisław Gebethner.

Oto gradacja wskazań: 1.
Stefan Wyszyński — 62,9 proc.,
2. Władysław Sikorski — 46,8
proc., 3. Władysław Gomułka
— 35,4 proc., 4. Józef Piłsudski
— 30,8 proc., 5. Wincenty Wi-
tos — 24,2 proc., 6. Bolesław
Bierut — 17,8 proc., 7. Ignacy
Paderewski — 16,9 proc., 8.
Wanda Wasilewska — 11,9
proc., 9. Stefan Rowecki-Grot
— 7,2 proc., 10. Edward Rydz-
Smigły — 3,6 proc., 11. Stani-
sław Mikołajczyk — 2,5 proc.,
12. Roman Dmowski — 1,2
proc.

W redakcji pytania uwypu-
kono dwie wartości: państwo
i naród polski. Sociologowie z
Polskiej Akademii Nauk i Uni-
wersytetu Warszawskiego pra-
gnęli wykryć symboliczną rolę
wybranych osób w dziejach
najnowszych Polski.

CO SIĘ OKAZAŁO?

„Wszystkie pierwsze cztery
nazwiska to postaci ludzi u-
silnie zabiegających w XX w.
o zachowanie polskiej natio-
nalnej tożsamości. Byli to też
osoby o silnych charakterach i
konsekwencji w działaniu oraz
w niezmienionym stopniu o cechach
autorytarnych. W najmniejs-
szym stopniu może to dotyczyć
W. Sikorskiego, choć i on nie
był wolny od autorytarnych
cech charakteru. W tej czoł-
wie jest jednak dwóch wojsko-
wych i jeden ksiądz Kościoła
rzymskokatolickiego oraz jeden
zarliwy komunistyczny decy-
dowanie i uparcie walczący o
polską narodową drogę do so-
cjalizmu”.

Spśród starannie dobranych
dwunastu osób bardzo wysoka
pozycja zajął Władysław Go-
mułka. Wyprowadził nawet o
pięć punktów procentowych
Józefa Piłsudskiego. Prawne w
związku z tym zauważyć, że
obu polityków porównywano
już w końcu lat czterdziestych.
W drugim dniu obrad III Ple-
num KC PZPR (11-13 listo-
pada 1949 r.) — jak podały
„NOWE DROGI” — tow. Siko-
necki (bez imienia naczelny
redaktor „Chłopskiej Drogi”)
powiedział:

„Ja, towarzysze, w związku
ze swoimi obowiązkami, mam
współprzebieżność od czasu
do czasu czytania anonimów,
które przychodzą do redakcji
„Chłopskiej Drogi”. W tych
anonimach bardzo często jako
bohater występuje tow. Go-
mułka i jest tam pasowany na
rycerza polskości. W tych ano-
nimach, tow. Gomułka jest
przyporównywany do Piłsudskie-
go z okresu Sulejówka. W
tych anonimach, tow. Gomułka
jest obrońcą niezłomności Pol-
ski od Związku Radzieckiego,
i tak dalej itd. Anonimy te są
pisane przez bandytów, przez
reakcyjnych księży i ich gos-
podinię. W listach tych tow.
Gomułka jest uważany za
standardową postać dla tych
wszystkich, którzy te anonimy
piszą”.

Po tej dyskusji wracam do
artykułu Stanisława Gebethne-
ra. Zamieścić on tabelki, z
których można się dowiedzieć,
jak wybierali zwolennicy i
przeciwnicy istniejącego ładu
politycznego oraz członkowie
PZPR i ZSL. W grupie prze-
ciwników na czele znaleźli się:
S. Wyszyński — 74,4 proc., W.
Sikorski — 56,3 proc., J. Pił-
sudski — 50,2 proc., W. Witos
— 25,9 proc. Natomiast w ka-
tegorii członków PZPR pierw-
sze cztery pozycje zajęli: W.
Sikorski — 55,5 proc., W. Go-
mułka — 51,1 proc., S. Wy-
szyński — 45,8 proc., W. Witos
— 33,9 proc. Józef Piłsudski
zajął się na szóstym miejscu
(20,7 proc.). Profesor S. Ge-
bethner komentuje:

„Zaskakującym — może na-
wet dla niektórych szokującym
— jest to, że wśród członków
PZPR na pierwszym miejscu
lokuje się gen. W. Sikorski,
wyprowadzając W. Gomułkę,
oraz to, że na trzeciej pozyc-
ji znalazł się kardynał S. Wy-
szyński z pokaznym procen-
tem wskazań dochodzącym do
50 procent. W polskiej, robot-
niczej partii marksistowsko-
leninowskiej po 40 latach spr-
awowania rządów i po wew-
nętrznym przeobrażeniu, jak-
im ona podlegała w tym o-
kresie, przeważają zatem te sa-
me ogniska lojalności i natio-
nalnej tożsamości, które domi-
nują w całym społeczeństwie”.

SPECYFICZNY CHARAKTER SPOŁECZNY

odróżnia nas od innych naro-
dów. Mówią o tym w rozmo-
wie, którą przeprowadziła Ka-
tarzyna Skorska z tygodnika
„ITD” (nr 51). Nie jest to
jednak zbyt ciekawy wywiad,
wiecej nie polecam go naszym
czytelnikom. Radzę za to prze-
czytać w ostatnich „KONTY-
NENTACH” (nr 12) artykuł
Krzysztofa Wojny o Japonii i
Japończykach. Piszcie on:

„Poranny i popołudniowy
tłum Japończyków na ulicach
Tokio ubrany jest w swojej
męskiej części w nieskazitelnie
białe koszule, krawaty i ciem-
ne garnitury, a w damskiej —
w to, co nosi się dziś na świe-
cie. Z tą może różnicą, że ca-
łość przedstawia sobą nadzwycz-
ajnie schludny widok, podczas
gdy w niektórych miastach
europejskich z tą schludnością
bywa różnie (...). Tokio nie ma
własnych zapachów tak cha-
rakterystycznych dla Wschodu.
Jest sterylne czyste, niezmiernie
bogate i przy pierwszych
kontaktach jakby pozbawione
własnej osobowości. Znacząco
twierdzą, że ma duszę, ale że-
by do niej dotrzeć, trzeba o-
swajać się z miastem przez
dłuższy czas (...). Tokijczyk
może uważać się za dobrze u-
rządzoną, jeśli ma mieszka-
nie wielkości 45-50 m kw. Na
większe mogą sobie pozwolić
tylko ludzie bardzo zamożni.
Mieszkańca są szpitalnymi i
nie spędza się w nich wolnego
czasu (...). Tokio jest miejscem
wyjątkowo bezpiecznym. Za-
pewniamo mi, że policyjne
kroniki są mało ciekawą lek-
turą, a kobieta może bez obaw
wędrować sama po pracy (...).
Do niedawna Japończyk nale-
żał do ludzi pracowitych ale
mało zarabiających, oszczęd-
nych i dość ubogich w domo-
we sprzęty. Teraz, kiedy świat
zaczyna przyznawać drzewi przed
eksportową inwazją Japończy-
ków, kół gospodarcze podej-
mują starania o zwiększenie
konsumpcji wewnętrznej, o
wypożyczenie jak największej
liczby Japończyków w magne-
towidły, kolorowe telewizory o-
statnich generacji, samochody
i tysiące niezliczonych gad-
żetów, bez których można żyć,
ale, z którymi człowiek w kon-
ca XX wieku czuje się wy-
raźnie lepiej”.

O pracowitości i oszczędno-

ci Japończyków pisał
„PRZEGŁĄD TYGODNIO-
WYM” (nr 51-52) Piotr Ale-
ksandrowicz. Okazuje się, że
Japończyk tak bardzo lubią
pracować, że faktyczny czas
pracy jest tam dużo dłuższy
niż formalnie obowiązujący.
Pierwszy opuszcza firmę tej
szef, chyba, że specjalnie zwol-
nił pracowników. W stolicy
kraju domy towarowe otwarte
są nie tylko w soboty, lecz
również w niedziele do wie-
czora.

Rozpiętość płac w Japonii
nie przekracza 1:10. Przede
wszystkim bierze się pod uwa-
gę staż pracy, a dalej wy-
kształcenie i zawód. Wśród
najlepiej płatnych zawodów są
lekarze, wyżsi kierownicy i
profesorowie uniwersytetów.
Indywidualizacja wynagrodzeń
w tym społeczeństwie nie ma
większego znaczenia, ponieważ
wszyscy pracują najlepiej jak
potrafia. Poświęcenie dla firmy
jest sprawą honorową.

Na emeryturę odchodzi się
w wieku 55-60 lat. Następnie
przez 5-10 lat każdy musi
utrzymywać się z własnych o-
szczędności lub dodatkowej
pracy (zazwyczaj niżej płatnej).
Emerytura wypłaca się bowiem
dopiero od 65 roku życia.

SPECYFIKA NASZEGO KRAJU

polega między innymi na tym,
że mało wydajnie, nieefektyw-
nie pracujemy. Tak jest w róż-
nych dziedzinach. W dwuty-
godniku „STUDENT” (nr 22-1)
Daniel Olbrychski narzeka na
opieszłość filmowców polskich:
„To się po prostu w głowie
nie mieści, żeby realizacja szła
tak powoli i tak niesprawnie.
Nie ma zresztą kogo za to wi-
nić, ani telewizji, ani ekipy,
ani tym bardziej reżysera. To
struktura jest winna, paranoi-
dalnie u nas zniekształcona.
To, co tu jest tak potwornie...
spisane, po drugiej stronie
kwitnie. Owszem, widzę też
wady, bezrobocie itd. U nas
najczęściej brakuje normalno-
ści pracy, jakiejś oczywistości,
że telefon dzwoni, a człowiek
pracuje za pieniądze, za takie
pieniądze, które pozwala mu
nie tylko pracować, ale także
porządnie żyć”.

Z koleż z artykułu Barbary
W. Olszewskiej w „POLITY-
CE” (nr 51) wynika, że potra-
fimy dobrze pracować przy
wznoszeniu kościołów. Budow-
nictwo sakralne w Polsce wy-
przedziło o siedem lat reformę
gospodarczą. Placi się tu
za faktycznie wykonaną pracę.
Kościół rzymskokatolicki po-
siada 15.340 kościołów i kaplic.
Natomiast pół wieku temu
miał 7257. Obecnie buduje się
badź rozbudowuje aż 2239 o-
bięktów, w tym 558 kościołów,
444 kaplice i 1142 plebanie,
punkty katechetyczne, budynki
gospodarcze itp.

Tak rozwinięte budownictwo
sakralne w sytuacji kryzysu i
okrośmego zadłużenia kraju
budzi zdumienie za granicą. Na
Zachodzie zresztą nie ma po-
dobnej religijności i troski o
obiekty sakralne. W świątecz-
nych „KIERUNKACH” (nr 51
— 52) Kazimierz Kańa ubole-
wa:

„Francja — pierwotna oś-
ra Kościoła — nie dba o ko-
ścioły. Oto kościoły zamienione
w kurniki lub garaże. Oto
kościół z zawalonymi dachami.
kościół jakby nie żyje, z
pieniągami się wokół chwast-
tem. Oto kościół dawno nie
odmykane, nieczynne, zapom-
niane, bez ludzi i bez kultu.
Oto prawie 40 tys. budynków
religijnych, małych kościołów i
stojących na uboczu kaplic ni-
szczyje, ulega pogłębiającej się
degradacji”.

NA WŁASNY RACHUNEK

Z nowymi nadziejami

Od dawna wiadomo, że w miarę starzenia się zaczyna czło-
wiek coraz większą wagę przywiązywać do wspomnień i prze-
mian przeszłości, co tłumaczy się, oczywiście, tęsknotą za utra-
coną młodością. „Gdzieś są niedysyjsze śniegi”... Ta skłonność
do spoglądania wstecz bywa przeważnie przeszkodą w rozumie-
niu problemów i zadań teraźniejszości, a zwłaszcza nieumiejęt-
nością dostrzegania tendencji przyszłościowych. Charakterystycz-
ne przy tym, że naidawniejsze przekazy pisane pełne są utyski-
wania na przeszłość, na osucie się obywateli i zdziwienie młodości,
gdyby miało być prawdą, oznaczałoby, że już nasi zaci pradi-
dowie byli diabłami wari i niczego po sobie nie pozostawili.

Ale też wbrew temu co się nieraz sądzi, nie zawsze czasy no-
wsze górują nad dawnymi, a pokolenia snów nie zawsze są
mądrzejsze i lepsze od pokoleń obaw. Starsi ludzie jeszcze na-
mietają, takie uwiecznienie myśli i obyczajów ogarnęło Niem-
ców w czasach hitlerizmu, i to w znacznej mierze za sprawą
młodości, która okazała się w swej masie mniej światła i hu-
manitarna od pokolenia Republiki Weimarskiej.

Jednak zawsze i wszędzie, z każdym Nowym Rokiem wiąże-
my pragnienia i nadzieje, że oto obróci się teraz wszystko ku
lepszemu i nadchodzący rok będzie miał dla nas w zanadrzu sa-
me miłe niespodzianki. Czynnymy też mocne postanowienia wzie-
cia się w garść i uregulowania przeróżnych spraw zaniedbanych,
tak jakby one tylko czekały na nasze dobre chęci. A w rzeczy-
wistości to my już od jesieni zaczynamy odsuwać od siebie wiele
rzeczy niemilych i kłopotliwych na później, za te magiczną gra-
nicę, po której przekroczeniu zaczynamy zrywać karinki z zupeł-
nie nowiutkiego kalendarza.

Również w dziedzinie spraw publicznych, a zwłaszcza w świe-
cie wielkiej polityki dochodzi do głosu opinia i przewidywania,
nawet prorocza, że nadchodzący rok, jeśli tylko jakaś paskudna
sila nie spłata nam paskusa (tu wpisuje się aktualnych przeciwni-
ków), powinniśmy przepędzić w pokoju, a ponadto będzie on
wielkowny ważny dla polityki czy gospodarki. Jeśli jest to
pierwszy lub ostatni rok w historii wieloletniego planu gospodarcze-
go przypisuje mu się zazwyczaj rolę roku „przełomowego” czy
zgoła „historycznego”.

Pamiętamy zresztą taki, dość niedawny, okres, który składał
się niemal wyłącznie z lat „przełomowych” i „historycznych”,
choć później okazywały się nieraz latami chybionych zamierzeń,
blizniaczko podobnymi do lat sąsiednich. Powinno to nas nauczyć
powszechności w używaniu zbyt mocnych i przesadnych okre-
śleń, które prowadzi do dewaluacji słów i niewiary w hasła,
wskutek czego odbieramy wieści dobre i złe, blache i ważne jako
jednostki szum informacyjny.

Trudno więc pisać o rzeczywistości wyjątkowej i doniosłym
znaczeniu przełomu lat 1987/88. Nie tyle zresztą sama data gra-
niczna, jaka jest dzień Nowego Roku, ile szereg kolejnych mie-
sięcy jesiennie-zimowych, teraz przeżytych składają się na ów
okres, który zapisał się ważnym krokiem rozbrojeniu-odprezje-
nionym, a ponadto także jako ważna faza radzieckiej „berie-
strojki” i polskiej reformy gospodarczej. Jedno i drugie sprze-
żone jest też ściśle z rozszerzaniem się socjalistycznej demokracji,
nie tylko zresztą w ZSRR i Polsce, choć niewątpliwie jednym z
donioslejszych symptomów tego procesu było nasze referendum.

A nie są to sprawy ściśle wewnętrzne krajów obozu socjalisty-
cznego, lecz, jak to ocenia znaczna część umiarkowanej opinii
Zachodu, oznaczają one również wcielenie w życie postanowień
i zobowiązań międzynarodowych, podpisanych w Helsinkach, choć
jest to przede wszystkim nasza konieczność wewnętrzna, nie zaś
chwyt propagandowy.

Oczywiście, pożyjemy, zobaczymy — jak mówi rosyjskie po-
rzekadło, ja w każdym razie należę do tych, co z przesłanki ro-
zumowego wypróżniają wnioski o nieodwracalności zapoczą-
tkowanego obecnie procesu reformowania gospodarki krajów so-
cjalistycznych, łącznie z zasadami ich wzajemnej współpracy w
tej dziedzinie, a także rozszerzania udziału obywateli w zarządza-
niu i kontroli.

Bez przesady można więc stwierdzić, że akurat teraz wcho-
dzimy w okres o przełomowym znaczeniu, a jeśli — w co nie
watpie — będziemy w roku dwutygodniowym żyć w Polsce (i w
innych krajach sojuszników) zdecydowanie lepiej i godniej pod
każdym względem wspominać też będziemy nasze obecne chwile,
jako moment zwrotny naszych nowszych dzieł.

I ta skromna satysfakcja powinna nas razie nam wystarczyć...

JERZY KWIECIŃSKI

W najbliższych numerach „Ogłosów”

— Józef Stalin obawiał się, żeby Gieorgij Żukow nie zaćmił
jego wielkość. Na tej podstawie Ławrentij Beria skrywał pro-
wokację. — WITOLD BOROWY przedstawia sylwetki sławnych
marszałków Związku Radzieckiego: Klimenta Woroszyłowa, Mi-
chajła Tuchaczewskiego, Gieorgija Żukowa i Siemiona Timo-
szenkina.

— Wydała się dziś, że młodość istniała zawsze. Lecz naprawdę
jest to fenomen socjologiczny powstały w poprzednim stuleciu
— artykuł EDMUNDA LEWANDOWSKIEGO o postawach i nie-
pokojach wśród młodego pokolenia na Wschodzie i na Zachodzie.

— Ten zjazd nie był grzecznym spotkaniem w przededniu
modelowych zmian decydujących o kondycji naszej kinematog-
rafii. Wprost przeciwnie. Jak na mój gust wypowiedzi skrajnie
pesymistycznych było nawet trochę za wiele — relacja MAŁ-
GORZATY KARBOWIAK o sytuacji w polskim kinie.

— Piękne dziewczyny, dzieci i starszokwie marza, by zna-
leść się na planie filmowym. Każdy chce zostać gwiazdą —
artykuł MARIANA ZDROJEWSKIEGO o statystach filmowych.

— Podobno dom ten jest siedliskiem cyganerii artystycznej,
miejscem pijackich rozrób i skandalu obywatelskich, a restaura-
cja „Orfeusz” ostoją homoseksualistów. Lecz prawda o domu
Aktora na ulicy Narutowicza jest zupełnie inna — reportaż
WŁODZIMIERZA KUPISZA o trudnym życiu artystów.

I głębokim żalem zawiadamiamy, że 10 grudnia br.
zmarł

HENRYK HARTENBERG

PORTA

REDAKCJA „ODGŁOSÓW”

Awangarda XXI

18 grudnia 1987 roku, w piątek odbyło się
w Muzeum Historii Miasta Łodzi spotkanie u-
czestników obozów „Awangarda XXI” w
Płocku i Zaleczu Wielkim z wiceprezydentem
Miasta Łodzi — JANEM NOSKĄ. W spotkaniu
uczestniczyli też przedstawiciele redakcji „Od-
głosów”: Edmund Lewandowski i Lucjusz Włod-
kowski.

„Ogłosy” objęły patronat nad obosami
„Awangarda XXI”, które odbędą się latem
1988 roku. Postanowiono do tego czasu pra-
cować w grupach zainteresowań, a także spoty-
kać się z ludźmi nauki, polityki, życia spo-
łecznego, kultury. Powołano grupy zainteresowań:
filmem, muzyką, religioznawstwem, komputer-
mi, dziennikarstwem, sportem motorowym i te-

glarstwem. Padło też kilka propozycji powoła-
nia nowych grup, jak choćby grupy tańeczno-
muzycznej.

Dwie grupy zainteresowań ustaliły już termi-
ny swoich pierwszych spotkań: zainteresowani
dziennikarstwem spotkają się 7 stycznia 1988 ro-
ku o godzinie 18,15 w redakcji „Ogłosów”, ul.
Henryka Sienkiewicza 3/5, XII piętro, sala 1201.
Zainteresowani pracą komputerową spotkają się
25 stycznia 1988 roku w XVIII Liceum Ogól-
nokształcącym, ul. Perła 11, o godzinie 17.00.

Uczestnicy pozostałych grup będą zawiado-
mieni o terminach i miejscu spotkań. Ponieważ
nie wszyscy mogli — z różnych powodów —
przybyć na spotkanie, informujemy, że nadal
można zgłaszać się do grup zainteresowań.
Zgłoszenia prosimy przysyłać pod adresem na-
szej redakcji.

„ODGŁOSY”

Co można bez wielkich inwestycji zmienić i ulepszyć w ochronie zdrowia?

2

W pierwszej części dyskusji o stanie ochrony zdrowia w Polsce i sposobach wyjścia z kryzysu, jaki ochronę zdrowia dotknął, opublikowanej w numerze 51/52 „Odgłosów”, przedstawiliśmy tylko niektóre sprawy: brak leków, wadliwą organizację pracy, zły system finansowania ochrony zdrowia, wady w strukturze ZOZ, przestarzałe biurowe w administracji, powody wadliwego wykorzystywania aparatury medycznej. Jest to obraz niepełny. Listę braków można powiększyć. Nie o to jednak chodzi. Szukamy odpowiedzi na pytanie: co można zmienić, poprawić, ulepszyć w ochronie zdrowia bez wielkich inwestycji?

Na przykład: w bieżącym pięcioletnim planie rozpoczęła budowę 24 szpitali, aby stworzyć warunki dla osiągnięcia w 2000 roku wskaźnika 100 łóżek przydadających na 10 000 mieszkańców. Wtedy dopiero znaleźlibyśmy się na średnim europejskim poziomie. A zatem inwestycja. Czy to jedyna droga? Oczywiście, że gdyby skrócił czas leczenia każdego pacjenta o 1 dzień, to w ciągu roku można byłoby przyjąć do szpitali o 300 000 pacjentów więcej. Można zatem usprawnić leczenie szpitalne i bez budowy nowych szpitali. Wymaga to zmian organizacyjnych i zmian w sposobie finansowania.

Inny przykład: 15 procent — niektórzy szacują, że więcej — łóżek w szpitalach zajmują ludzie starzy, którzy powinni przebywać w specjalistycznych domach opieki społecznej. Takie domy jednak nie powstają, choć ich budowa jest o połowę tańsza od budowy szpitali.

Tego rodzaju rozwiązania istnieją znacznie więcej. Dlaczego z nich się nie korzysta?

W naszej dyskusji udział biorą:

— **ANNA KWIETNIEWSKA** — przewodnicząca Rady Wojewódzkiej Federacji Związków Zawodowych Pracowników Ochrony Zdrowia.

— **TADEUSZ LEWY** — ordynator oddziału chorób wewnętrznych Wojewódzkiego Szpitala Zespolonego im. Mikołaja Kopernika.

— **RYSZARD MACHNIKOWSKI** — lekarz wojewódzki, dyrektor Wydziału Zdrowia i Opieki Społecznej UML.

— **ZBIGNIEW WĘGRZYN** — ordynator oddziału neurochirurgii Wojewódzkiego Szpitala Zespolonego im. Mikołaja Kopernika.

Dyskusję przygotowała i prowadziła **BOGDA MADEJ**.

— **Przypomnę może, że w poprzedniej części dyskusji ustaliliśmy, iż zasadniczymi pytaniami dla służby zdrowia są: kto zarządza i jakie narzuca struktury, kto i jak finansuje, kto i za co jest odpowiedzialny? No i może pytanie pomocnicze: czego pracownicy służby zdrowia spodziewają się po tym, co zwróciłmy nazwać II etapem reformy gospodarczej?**

T. LEWY: — Najważniejsze, co teraz trzeba zrobić, to walczyć o to, aby się nie pogorszył stan ochrony zdrowia. Musi zatem powstać bariera ochronna dla służby zdrowia. Trzeba pamiętać — o czym mówiliśmy wcześniej — że stale drożeje aparatura medyczna, drożeją leki, drożeją inne środki, potrzebne medycznie. Nie mogą zatem maleć nakłady na ochronę zdrowia. Musi więc powstać jakiś program minimum, który zapewniłby zaopatrzenie w leki i w aparaturę medyczną. Musi powstać system stwarzający ludziom pracującym w ochronie zdrowia motyw do wydajniejszej pracy.

Natomiast nie może być tak, że w wyniku II etapu reformy gospodarczej leczenie stanie się odpłatne. Nie chciałbym takiej chwili doczekać. Chyba, że dowiemy się, że na ZUS nie płacimy po 43 procent naszych poborów, ale tylko — powiedzmy — 10 procent. Wtedy co innego, wtedy niech każdy decyduje o swoim leczeniu. Ale nie sądzę, aby to było właściwe rozwiązanie.

A. KWIETNIEWSKA: — Byłoby to najgorsze rozwiązanie, gdyby chory człowiek musiał opłacić — choć w części — za swoje leczenie. Powiedzmy jasno — wielu ludzi nie byłoby na to stać. Musi zatem istnieć taki system ubezpieczeń, aby chory człowiek nie musiał sam decydować o tym, czy może się leczyć, czy też musi się sam skazać na śmierć, bo go nie stać na leczenie.

Z. WĘGRZYN: — No to może zapytać ZUS, co się dzieje z pieniędzmi, kiedy człowiek nie choruje?

A. KWIETNIEWSKA: — Byłam na spotkaniu z kierownictwem ZUS i wyjaśniono nam, że suma składek z całego naszego życia wystarczy na opłacenie dwuletniej emerytury!

T. LEWY: — Rozumowanie wydaje się teraz proste. Skoro służba zdrowia nie przynosi dochodu, tylko trzeba na niąłożyć z budżetu państwa, to traktuje się ją jak plate koło u wozu. Tymczasem Oskar Lange przestrzegł, że służby zdrowia nie wolno traktować jako działu nieprodukcyjnego, bo choć bezpośrednio dochodu nie daje, to pomnaża siłę biologiczną ludzi pracy i chroni tę siłę. I dlatego musi być inaczej traktowana. Ale u nas się o tym zapominało.

R. MACHNIKOWSKI: — Właściwie trzeba byłoby zapytać o istotę polityki społecznej państwa. Czy państwo podola wszystkim cięzarom ochrony zdrowia? Teraz na ochronę zdrowia pływają pieniądze z ZUS i z budżetu państwa. Utrzymać ten stan rzeczy, czy dać te pieniądze ludziom i niech oni sami decydują o swoim leczeniu? Ale skąd wziąć pewność, że ludzie przeznaczą te pieniądze na leczenie, a nie na inne cele?

A. KWIETNIEWSKA: — Ochrona zdrowia stała się coraz droższą i budżet państwa może już nie wytrzymać obciążenia na ten cel przeznaczonych. Chociaż bardzo mi się nie podoba odejście od bezpłatnej służby zdrowia, to rozumnie zasadnicze pytanie: kto ma finansować służbę zdrowia? W tezach do II etapu reformy gospodarczej mówi się o częściowej odpłatności leczenia. Nie konkretyzuje się jednak tego. Nadal nie wiadomo, kto i ile będzie płacił

na służbę zdrowia. Doszliśmy do momentu tragicznego, a jakiego wyjście trzeba znaleźć.

— Tym bardziej teraz, gdy wyniki referendum smuszają do rewizji niektórych założeń reformy, a przynajmniej tempa wprowadzania tych założeń w życie.

R. MACHNIKOWSKI: — Czy więc nie pozostać przy takim systemie finansowania, taki istniejący? Z drugiej strony proszę nie zapominać, że życie zmusza nas do odpowiedzi na inne bardzo istotne pytanie: kto ma zarządzać ochroną zdrowia? Przy słusznych tendencjach do oddawania wielu spraw samorządowi terytorialnemu — a więc radom narodowym — trzeba zastanowić się nad tym, czy służba zdrowia pozostanie pod zarządem centralnym, czy też przejdzie do samorządu. A jeśli tak, to jaka komórka terytorialna wysoko wyspecjalizowana będzie w stanie podjąć takiemu zadaniu? Przypuszczam, że do tej pory nie usłyszałem na to pytanie żadnej odpowiedzi.

T. LEWY: — A po co? Przecież odpowiedź już jest w ustawie o radach narodowych i samorządzie terytorialnym. Tylko że do tej pory nic z tego nie wynikło. Ochrona zdrowia podlega radom narodowym różnych szczebli, a przede wszystkim wojewódzkim radom naro-

Skąd wziąć pieniądze?

dowym. Ministerstwo Zdrowia i Opieki Społecznej powinno spełniać tylko rolę inspirującą. Zatem wojewódzka rada narodowa powinna ustalić zadania dla służby zdrowia na rok 1988, a głównym doradcą i specjalistą w tej dziedzinie powinien być naczelnik Machnikowski. Taka jest teoria, takie są zasady, ale praktyka jest inna, bo rada narodowa nie ma pieniędzy.

— **To się ma zmienić. Rady narodowe otrzymają budżety, własność komunalna, będą ściągali podatki.**

T. LEWY: — To by było piękne. Wreszcie Rada Narodowa Miasta Łodzi zajęłaby się sprawami województwa, a na przykład WRN w Piotrkowie Trybunalskim sprawami leśnictwa w swoim województwie. Bo przecież my teraz ciągle śladzimy na rzecz sąsiednich województw.

— **Nie wiem, czy to takie dobre, że każde z 49 województw będzie miało tylko o swoich mieszkańcach. Może dojdzie do tego, że każde województwo będzie dążyło do tego, aby na przykład mieć u siebie akademię medyczną.**

R. MACHNIKOWSKI: — Podzielimy pani wątpliwość. Służba zdrowia jest tak droga, że nie stać nas na to, aby w każdym z 49 województw była choćby pełna baza diagnostyczna. Nie ma na to ani pieniędzy, ani aparatury, ani ludzi. Województwa — po kilka — muszą się dogadywać i wspólnie rozwiązywać swoje problemy, ale na zasadzie pełnego partnerstwa, także finansowego.

Z. WĘGRZYN: — Oddział neurochirurgii w Szpitalu im. Mikołaja Kopernika świadczy usługi dla województwa sieradzkiego, piotrkowskiego, skierniewickiego oraz plockiego. Poprzednio mówiliśmy, że ampułka spętyfikacji potrzebnej do leczenia tętniaka mózgu kosztuje 9 000 złotych. Kiedy podaje się go trz razy na dobę, to koszt wynosi już 27 000 złotych. Tylko jedna doba. Jeśli dyrektor szpitala dowi się, że to idzie dla pacjentów spoza Łodzi, to może natychmiast posławić. Bo kto nam to zrefunduje? A przecież powinien.

A. KWIETNIEWSKA: — Mam poważną wątpliwość, czy rady narodowe podolają utrzymaniu służby zdrowia. Jeśli przeanalizować dotychczas ponoszone koszty na utrzymanie ochrony zdrowia, to udział pieniędzy z funduszu rad narodowych zamyka się w granicach 22—25 procent. Wniosek prosty: bez dotacji z budżetu państwa rady narodowe służby zdrowia nie utrzymają. Tym bardziej, że potrzebne są wysoko wyspecjalizowane jej działy, a to dużo kosztuje.

T. LEWY: — Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) opracowała zasady, na podstawie których powinno się tworzyć specjalistyczne placówki ochrony zdrowia. Jedna powinna służyć 250 000 mieszkańców. Czyli wszystkie województwa, które my obsługujemy mają podstawę do tego, aby mieć u siebie takie placówki. Ale w naszej sytuacji gospodarczej i finansowej byłoby to niemożliwe, byłoby to przejawem zwykłej rozrzućności. Ale gdyby w latach 1973—1974 powstały regionalne Zespoły Opieki Zdrowotnej, jak to pierwotnie zakładano, które zajęłyby się planowym rozwojem specjalistycznych placówek ochrony zdrowia, koordynacją ich działań, a także komasacją kosztów, to dziś nie dyskutowalibyśmy o tym i nie zastanawiali się, skąd wziąć pieniądze na ich działania i rozwój.

R. MACHNIKOWSKI: — Nie musimy odkrywać nic nowego, gdyż na świecie istnieją już systemy placowania za specjalistyczne usługi medyczne. Systemy rozliczeń. Trzeba je tylko zastosować w praktyce, a wówczas mało ważne jest, czy pacjent pochodzi ze Skierniewic, czy ze Szczecina. Jakaś instytucja płaci za jego leczenie.

T. LEWY: — Dlaczego jakaś? Płacić powinna rada narodowa.

R. MACHNIKOWSKI: — Może to być ZUS, gdybyśmy pozostali przy systemie ubezpieczeń społecznych.

T. LEWY: — Czy zwróciłbyś państwu uwagę, że dziś nikt jakos oficjalnie nie mówi o ZUS się nie wypowiada?

— **Tworzy się przecież programy rozwoju poszczególnych dziedzin leczenia. Czy to nie**

przyczynia się do wprowadzenia jakiegoś porządku?

A. KWIETNIEWSKA: — Za takim programem powinny iść konkretne ustalenia: jaka aparatura, skąd i dla kogo, skąd brać kadre. Takie wytyczne ośrodki powinny być wspomagane, ale i kontrolowane.

Z. WĘGRZYN: — Jest w tym racja, ale dla mnie dzielenie aparatury na najwyższym szczeblu zarządzania, to tylko pogłębianie bałaganu. Przebiła się na ogół ten silniejszy.

R. MACHNIKOWSKI: — Dużą wagę przywiązuję do prawidłowo skonstruowanego systemu. Jeśli ludzie zaczęli pracować w dobrym systemie, to nauczy się — bo system to wymusi — prawidłowo myśleć.

T. LEWY: — Na pewno? Brałem udział w opracowaniu programu rozwoju gastrofibroskopii. Stworzyliśmy taki system: wskazaliśmy, gdzie mają być rozmieszczone aparaty, kto i co ma badać. To był rok 1978. Program został zatwierdzony do realizacji przez Ministerstwo Zdrowia i Opieki Społecznej. I co? I nic. Byli i są nowi ministrowie, realizację tego programu nie było i nie ma. System jest, ale w teorii.

A z naszego podwórka. Mamy nowoczesny

oddział diagnostyki. I bardzo dobrze. Tylko, jak to jest wykorzystywane? Na 100 badań w 20 przypadkach potwierdza się podejrzenie choroby, a w 80 — nie.

— **To chyba dobrze? Przecież to ogromna ulga dla chorych.**

T. LEWY: — Tego nie neguję. Wątpię tylko, czy w każdym z tych 80 przypadków była potrzeba odwoływania się aż do takich skomplikowanych i drogich badań? Zastanawia mnie, czy przypadkiem nasi naukowcy koledyż nie kierują na te badania zbyt pochopnie? Bo to są w wielu przypadkach badania spoza szpitala. I też w zasadzie nie byłoby w tym nic złego. Ale rezultat jest taki, że my ze szpitala nie możemy się przebić z badaniami chorób już stwierdzonych i wymagających leczenia.

Z. WĘGRZYN: — Racja. Pierwszeństwo musi mieć pacjent, który leży w szpitalu. Nie tylko dlatego, że on się denerwuje, bo nie wie, co go czeka. Potrzebna będzie operacja, czy nie? Ja się denerwuję, bo nie wiem, co temu człowiekowi powiedzie. A może on niepotrzebnie leży w szpitalu? Na jego miejsce mógłby już przyjść inny pacjent, któremu bardziej potrzebne jest to łóżko. Więc się kłaniamy i prosimy o rentgen, o tomograf komputerowy.

R. MACHNIKOWSKI: — Ale była propozycja innego rozwiązania tego problemu. W „Koperniku” mieli na to pomysł.

— **I co się z nim stało?**

T. LEWY: — Ktoś się go przestraszył.

— **Na czym on polegał?**

T. LEWY: — Może zacząć od tego, jak jest teraz. Gdybym nie był pracującym, który lubi swoją pracę, to opłacałoby mi się ją „bimbać”. Nie miałbym łóżek zajętych średnio przez 362 dni w roku, nie stałbym na korytarzach, nie naprzykrzałbym się oddziałom pomocniczym. Miałbym ten sam personel, jaki i teraz mam, taką samą placę, taki sam status zawodowy. I pochwały. I nagrody.

— **I to chcieliście zmienić?**

T. LEWY: — Owszem. Chcieliśmy zburzyć spokój ministra, ale minister się nie dał.

— **Widać mieliście niebawmą niebezpieczne plany.**

T. LEWY: — Chyba tak. Średnie obłożenie łóżka szpitalnego w kraju wynosi 290 dni w roku. W „Koperniku” — plan wynosi 310 dni. Chcieliśmy pozostać przy tych 310 dniach. Zaproponowaliśmy jednocześnie, że jeśli przyjmemy więcej chorych niż to zostało określone w planie, to za każdego dodatkowego pacjenta dostaniemy — niedużo — 10 000 złotych. Dalej. Chcieliśmy zrezygnować z tylu asystentów, ilu nakazują nam mieć centralnie ustalone przepisy, a mieć tylu, ilu nam rzeczywiście potrzeba. Zorganizowalibyśmy im taką pracę, że byłoby właściwie wykorzystani, wydajni i zarabiliby tyle, że nie musieliby szukać pracy dodatkowej.

Z tych pieniędzy, które bym dostał, płaciłbym pracownikom pomocniczym za badania: 30 procent przeznaczane było dla nich. Ale nie płaciłbym za czekanie, tylko za pracę. Jak nie, to szukałbym innych możliwości.

— **I przestraszone się tych burzycielskich pomysłów.**

T. LEWY: — Przestraszone się. Dlaczego? A dlatego, że trzeba byłoby zabrać pieniądze tym, którzy ograniczyliby się tylko do 290 dni i dać tym bezczelnym łobuzom z „Kopernika”, którzy pracują więcej i lepiej. A wiecie przecież państwo, co się dzieje, gdy się zabiera pieniądze jednym i daje drugim. Burzy się spokój urzędnikom, bo wszyscy mają do nich o to pretensje. Tak więc dla świętego spokoju zrezygnowano z realizacji naszego pomysłu.

R. MACHNIKOWSKI: — W tym miejscu należałoby zapytać: czym jest placówka ochrony zdrowia? Jest to urząd czy placówka medyczna? Według mojej oceny jest to wysocy zbiurokratyzowana instytucja, w której nie liczy się prestiż lekarza, do którego nie ma się zaufania.

Z. WĘGRZYN: — I ten proces zbiurokratyzowania nadal postępuje. Administracja rozrasta się, chyba ponad potrzeby. Na przykład w Wojewódzkim Szpitalu Zespolonym im. Mikołaja Kopernika jest już aż pięciu wicedyrektorów. A czy nie wystarczyłby jeden zastępca i

jeden główny księgowy? Po co jeszcze sekcja planowania?

— **Rosnąca administracja — to zdaje się już nieuchronny proces. W końcu dochodzi do tego, że administracja wystarcza sama sobie i może funkcjonować bez szpitala na przykład. Ale myślę, że powrót do właściwych proporcji w tym przypadku, zależy od przywrócenia zaufania do lekarza. Jak to osiągnąć?**

R. MACHNIKOWSKI: — Określić pewne ramy, których nie można przekroczyć. Zaufać lekarzom, bo oni znają się na tym, co robią i wiedzą, co im potrzeba, aby robili więcej. Zrezygnować z gąszczu zbyt szczegółowych przepisów, które dziś stanowią gorset dla medycyny. Określić konkretne, ale i realne zadania, które jeśli będą przekroczone, to przyniosą wymierne korzyści finansowe.

T. LEWY: — I muszą być wreszcie uregulowane płace personelu medycznego. Jeśli tego nie załatwi się w II etapie reformy gospodarczej, to ochrona zdrowia poniesie nieodwracalną klęskę. Trzeba też wreszcie rozwiązać problem kadry organizatorów ochrony zdrowia. Musimy przestać tylko o tym mówić, a zacząć wreszcie kształcić organizatorów służby zdrowia z prawdziwego zdarzenia.

A. KWIETNIEWSKA: — W programie „Zdrowie 2000” zostało to zapisane.

T. LEWY: — Po raz kolejny. A już podobno w Polsce nie chodzi o zapisanie słusznych rzeczy, ale o ich realizację.

A. KWIETNIEWSKA: — W moim przekonaniu cały problem ochrony zdrowia rozbija się o pieniądze. Jeśli chcemy — a tak powinno być — żeby ludzie lepiej pracowali, to muszą lepiej zarabiać. Ochrona zdrowia cierpi na brak pieniędzy. Dotychczasowe propozycje niczego nie rozwiązują. Nasze są nie do przyjęcia w istniejących warunkach, inne — również, gdyż nie spełniają oczekiwań pracowników ochrony zdrowia. Skąd wziąć pieniądze?

— **Popularne powiedzenie głosi, że pieniądze leżą na ulicy.**

T. LEWY: — I jest w tym wielka prawda. Uważam, że nam nie brakuje pieniędzy. Jest ich mnóstwo, tylko trzeba je pozyskać. Na przykład koszty absencji chorobowej. Czy to nie są pieniądze? Ogromne. A kto je liczy? Przy sprawnie działającym lecznictwie chory powinien wrócić do pracy po 2—3 tygodniach, a kiedy wraca? Po 4 miesiącach. I za to mu się cały czas płaci.

— **Tak, ale z innego funduszu, paragrafu, rozdziału.**

A. KWIETNIEWSKA: — Musi być spełniony jeszcze jeden warunek. Pełne zaopatrzenie w leki i dostęp do sprzętu diagnostycznego. Bez tego nie uda nam się przyspieszyć leczenia.

T. LEWY: — Zgoda. Ale u nas ciągle działa dobrze zakorzeniony mit. Dobrze leczy ten, kto drogo leczy. To nieprawda. Nas nie stać na drogie leczenie. Przecież my wiemy, że taką samą operację można wykonać za milion złotych i za 250 000 złotych, nie gorzej. My musimy mieć taki system oceny pracy, żeby dyrektor mógł powiedzieć: — Panie doktorze mnie nie stać na pana drogie operacje. Albo pan będzie robił je taniej, albo poszukamy sobie kogoś innego. — Czy to też nie są pieniądze, które tylko trzeba podnieść?

Zwolnienia lekarskie. Pamiętam takie czasy, kiedy ludzie prosili, aby ich zwolnić ze szpitala, bo mieli za czas pobytu w szpitalu wypłacone tylko 20 procent zasiłku. Chcieli, aby ich szybciej i lepiej leczyć. Pacjent powinien mieć taki własny wybór: wybierać tego lekarza, ten szpital, gdzie go będą leczyć dobrze i szybko.

A. KWIETNIEWSKA: — Tylko szpitale muszą mieć do tego warunki. A jak jest — dobrze wiemy.

T. LEWY: — Zgoda. Mnie też czasem szlag trafia, gdy słyszę, jaką fetę robi się docentowi Relidze za transplantację, a ja stoję nad pacjentem i nie wiem, czym mam go leczyć.

— **Czy chce pan przez to powiedzieć, że należy zaniechać transplantacji?**

T. LEWY: — Uchowaj Boże! Medycyna nie może się zatrzymać w swoim rozwoju. Ale jesteśmy biedni i musimy dobrze obejrzeć każdą złotówkę, którą chcemy wydać. Boleję na przykład, że w naszej kardiologii nie robi się tyle zabiegów by-passów naczyni wieńcowych, ile potrzeba. Są tańsze, skuteczne, wypróbowane. Ale nasza kardiologia w tym kierunku nie rozwija się. A poprzez racjonalne finansowanie można byłoby ten kierunek kardiologii wymusić. Rozszerzenie programu by-passów — to pomoc dla wielu chorych. Transplantacja — to pomoc w szczególnych wypadkach.

— **Rozumiem, że kardiologia powinna tak się rozwijać, aby i jedno było możliwe, bo potrzebne i drugie, bo konieczne.**

R. MACHNIKOWSKI: — Co byśmy jednak o stanie naszej medycyny nie mówili, to choć nie mamy czas leczyć, to przecież nie odsyłamy i nie odsyłaliśmy pacjentów z kwitkiem. Staramy się każdemu pomóc w miarę możliwości. Jest to zasługa ogromnej reszsy ludzi.

— **Nie możemy wszakże na tym poprzestać. Nie może być tak, aby pacjent wychodził od lekarza, szedł do apteki i styszał: — Nie ma!**

Z naszej dyskusji wynika, że lekarze dobrze wiedzą, co im przyszkadza, co trzeba zmienić, co usprawnić, z czego zrezygnować. Dlatego ich się nie słucha? Dlatego nadal o rozwoju medycyny w PRL decyduje urzędnik a nie lekarz? Pytań jest wiele. Ochrona zdrowia to nie tylko jedna ze spraw do załatwienia. To sprawa najważniejsza. Czy można jeszcze dłużej zwlekać z niezbędnymi decyzjami?

Opracowała:
BOGDA MADEJ

Kiedy Józef Goebbels, długoletni szef hitlerowskiej propagandy (od lat poprzedzających dojście Hitlera do władzy), rozstawał się w 1945 r. ze światem liczył sobie 48 lat. Zazwyczaj w tym wieku dopiero otwierała się w tamtych czasach przed politykiem przyszłość, on miał jednak już poza sobą nawet jednolite sprawowanie — co prawda iluzoryczne — urzędu kanclerza Rzeszy. Co mógłby osiągnąć więcej?

Zresztą wszelkie perspektywy dalszej jego działalności politycznej przekreśliła nieodwołalnie armia radziecka, stojąca u wrót kancelarii Rzeszy. Jest całkiem nieprawdopodobne, żeby na procesie norymberskim, gdyby go Józef Goebbels dożył, mógł spotkać go inny los niż większość oskarżonych o zbrodnie przeciwko ludzkości, niż kara śmierci.

Był jedną z najważniejszych osobistości hitlerowskiej partii i państwa III Rzeszy. A jednak o Józefie Goebbelsie napisano znacznie mniej niż o innych równych mu znaczeniem i wpływami prominentach faszystowskiego państwa, np. o Heinrichu Himmlerze czy Hermannie Goeringu i bodaj także o Martinie Bormannie. Kto pamięta lata niemieckiej okupacji lub interesuje się historią tego okresu, ten oczywiście wie, iż ów drobny postać, utykający silnie z powodu przebytej choroby doktor praw wcześniej porzucił myśli o karierze prawnika i związał się już w 1924 r., mając lat 27, z partią hitlerowską, ściśle mówiąc z istniejącą od kilku lat i założoną bynajmniej nie przez Adolfa Hitlera Narodową Socjalistyczną Niemiecką Partią Robotniczą (w niemieckim skrócie NSDAP), ale wtedy właśnie przez Adolfa Hitlera oprowadzaną.

Jak to się jednak stało, że jeden z najbardziej wykształconych i najinteligentniejszych ludzi w ruchu narodowo-socjalistycznym, bezspornie utalentowany mówca i propagandzista, został bezkrytycznym wyznawcą mętnie intelektualnej, wręcz absurdalnej doktryny narodowego socjalizmu, jak do tego doszło, że uległ fascynacji osobowością politycznego dyktanta, zdeklarowanego megalomana o niewątpliwych cechach psychopatycznych?

Józef Goebbels wychowywał się w katolickiej rodzinie drobnomieszczańskiej. Był uzdolnionym uczniem, który na maturze uzyskał bardzo dobre noty z niemieckiego, łaciny i religii. W czasie studiów zaczął parą do dziennikarstwa, przybierając jako pseudonim szkolne przezwisko Ulex — od przebiegłego Ulisesa.

Od chwili wstąpienia do partii zaczął pisać dziennik, prowadzony do ostatnich dni życia. Od dzieciństwa cierpiał z powodu swojego upośledzenia fizycznego. Zanotował później: „Dzieci potrafią niekiedy być straszliwie okrutne, zwłaszcza wobec cudzych cielesnych ułomności. Miałbym coś o tym do powiedzenia”.

Miał też świadomość wielkiej roli do odegrania w życiu publicznym, poszukiwał tylko „wiary” — idei, która mogłaby go porwać i znaleźć ją w hitleryzmie.

Przejdźmy jednak do pamiętników Józefa Goebbelsa, z których, w trosce o ich przetrwanie dla potomności, zaczął sporządzać mikrofilmy. Ocalała do dziś znaczna część zarówno rękopisów, jak i stenogramów sporządzonych pod jego dyktando, jak wreszcie mikrofilmów. Nie zachowały się jednak — co wydaje się niewiarygodne — jakiegokolwiek zapisy dotyczące pożaru Reichstagu, puczu Ernesta Röhma, wkroczenia wojsk niemieckich do Nadrenii, „Anschlusu” — czyli przyłączenia Austrii, wkroczenia do Czechosłowacji, przygotowań do napaści na Polskę itp. Trudno przypuścić, aby te właśnie wydarzenia, których był bliskim świadkiem lub współautorem i które komentował propagandowo nie znalazły żadnego odbicia w jego notatkach.

Nie znaleźliśmy także niektórych, szczególnie „wstydliwych” dla autora faktów z życia osobistego, jak choćby zaręczyn z „półżydówką”, z którą rozstał się w 1926 r., gdy mianowany został przez Adolfa Hitlera Gauleiterem (przewodniczącym okręgu) Berlina. Znamienne, że wtedy właśnie krystalizują się i przybierają obłąkane postacie rasistowskie poglądy Józefa Goebbelsa.

Dlaczego tylko tak ważnych faktów nie znaleźliśmy w opublikowanych obecnie dziennikach? Jest niewykluczone, że zachodni Niemcy wydawcy,

którym swego czasu dość nieoczekiwanie rząd NRD po prostu sprzedał ten dokument, nie otrzymali całości materiału. Tak czy inaczej, dzienniki, sukcesywnie teraz publikowane (w przeszło dwadzieścia lat po zakupie) stanowią ważny materiał, nie tylko pomocny w charakterystyce postaci ich autora i bliższym ustaleniu odgrywanej przez niego roli, lecz przede wszystkim pomocne dla odtworzenia moralno-politycznego i umysłowego klimatu w najekskluzywniejszych kręgach promienickich Trzeciej Rzeszy.

Oczywiście, przy lekturze tego osobliwego dokumentu należy zachowywać krytyczny dystans i brać poprawkę na fantazyjne, noszące znamiona mistycznego kultu, uwielbienie autora dla postaci Adolfa Hitlera. Kwintesencją postawy Józefa Goebbelsa wydaje się zdanie, zanotowane w początkach jego narodowosocjalistycznej drogi: „Hitler jest moją bronią!” (brzmi to niemal jak aluzja do znanych słów: „Bóg jest moją twierdzą”). Zauważmy jednak do dziełników, drukowanych w kilku kolejnych numerach zachodniemieckiego tygodnika „Der Spiegel”, uporządkowanych w wyborze tematycznym. Oto niektóre fragmenty.

Krystalizacja poglądów — rok 1924.

„Brak nam w Niemczech silnej ręki. Koniec z eksperymentem i frazeologią! (...) Żydowska hołota, która nie zechce podporządkować się służbom celom narodowej społeczności wysadzić w powietrze! Niemcy zapragnione są Kogoś, spragnione Człowieka jak ziemia spragniona jest deszczu. Tęsknimy do władcy, który wskazałby swemu niemieckiemu narodowi cud”.

„Złowrogle siły ciągle działają. Jak długo jeszcze? (...) Kiedyś zabłyśnie jutrzienka naszej wolności”.

„Czy walka o byt pomiędzy człowiekiem a człowiekiem, państwem i państwem, rasą i rasą, jedną częścią świata a drugą, nie jest najokrutniejszym procesem, jaki zna świat? Prawo silniejszego! Musimy to prawo natury znów lepiej zgłębić, wtedy rozwleją się wszystkie mrzonki o pacyfizmie i wiecznym pokoju. Dzisiejszy pokój światowy zawarto kosztem Niemiec. Czy można mówić o pokoju, kiedy 60 milionów żyje w żyznym? (...) Istnieją czasy spokojne i niespokojne (...) Czas staje się wielki za sprawą człowieka: Aleksander, Cezar, Barbarossa, Napoleon, Fryderyk, Bismarck...”

„Kiedy nadejdzie godzina wybuchu? Gdyby dziś wybuchła wielka rewolucja, byłbym gotów wdzierać się na barykady z pistoletem w rękę”.

„W Wurzburgu przemawiał na masowym zgromadzeniu Julius S. (wydawca antysemitckiego „Sturmera” Juliusz Streicher). Jego czterogodzinny wywód porwał swoją namietnością tłumy, do tego stopnia, że w końcu rozległo się spontaniczne: „Niemcy ponad wszystko!”

„Jeszcześmy nie dojrżeli do władzy. Musimy czekać i mieć cierpliwość. Historię tworzy się stuleciami, a nie z dnia na dzień. Serce kurczy się w sobie na myśl, że jesteśmy jeszcze narodem niewolników, którzy będzie wiecznie płacić haracz zagranicznemu Żydom. Niemiecka żądza musi jednak stać się jeszcze głębsza żeby zaczęła działać pobudzająco i o zdrowie. Ludzka kanalia nie jest warta tego, żeby jej pomóc”.

„Polityka mnie wyjąława. Nie mogę zdobyć się na żadną konstruktywną myśl. Wszystko przyprawia mnie o obrzydzenie. (...) Do mego wnętrza wślizguje się wróg. Wróg mojej wiary”.

„Wczoraj wieczorem przemawiałem w Gladbach do znacznej liczby prawdziwych robotników. Ludzie garnęli się, bezgraniczny entuzjazm. Niech się ten płomień żarzy. Postalimy dobre ziarno i czekamy na żniwa”.

„W naszych szeregach może być wiele małości, połowiczności i schorzeń, ale wola i zapal są prawdziwe. Szukam Dążeń do nowej Rzeszy i szukam nowego człowieka! Znajduję to tylko w wierze. Wiara w naszą misję doprowadzi nas do ostatecznego zwycięstwa”.

Pierwsze lata spotkania z Hitlerem. Lata 1925—1926.

„Pojechaliśmy autem do Hitlera. Był akurat przy jedzeniu,



Dzienniki Józefa Goebbelsa.

To szatan w ludzkiej postaci...

JERZY KWIECIŃSKI

ale poderwał się i uścił mi dłoń jak stary przyjaciel. Te jego wielkie niebieskie oczy! Jak gwiazdy. Cieszy się, że mnie widzi. Byłem pełen szczęścia. Pojechałem na zebzdzy — z humorem, ironią, sarkazmem, ale i z powagą, życzliwie, nagradzane wielkimi o-

klaskami, i okrzykami. On był tam także. Uścił mi dłoń. Był swoją wielką mową całkowicie wykonany, ale potem przemawiał jeszcze dwie godziny — z humorem, ironią, sarkazmem, ale i z powagą, życzliwie, nagradzane wielkimi o-



człowiek ma wszystko, co potrzebne władcy. Urodzony trybun ludowy, wschodzący dyktator”.

„Przybywam do Plauen. Hitler tu jest, moja radość jest wielka. Pozdrawia mnie jak starego przyjaciela i obejmuje mnie. Jakże go kocham! Co za facet! I cały wieczór opowiada, a ja nie mam dość słuchania”.

Niewielkie zgromadzenie. Na jego życzenie mam mówić pierwszy, potem przemawia on. Jakże jestem mały, on daje mi wzór”.

„W drodze odjeżdżam do Monachium, Hitler mnie wesał, dzwonił do niego z kawiarni. Za kwadrans jest, wielki, zdrowi i pełni życia. Jakże go lubię! On jest zawydzający dobry dla nas. Samochodem do piwni. Hitler już tu jest. Serce mi bije jakby chciało wyskoczyć. Na sali grzmiące powitania. Otwiera Streicher. Ja przemawiam dwie i pół godziny, daję z siebie wszystko. Na koniec obejmuje mnie Hitler, a w oczach ma łzy. (...) Schylam się przed większym od siebie, przed politycznym geniuszem”.

„Cóż za wybitna osobowość. Mówca, który jednoczy w sobie, jak w cudownym trójdziwie, gest, mimikę — słowo. (...) Z tym człowiekiem można podbić świat”.

„Wczoraj z Hitlerem w Kolonii. Katedra, Ren, wystawa. On wie wszystko, geniusz! Znalazł ostateczną formułę dla niemieckiego socjalizmu”.

„Wczoraj przemawiał Hitler przed przemysłowcami w Essen. Bajecznie! Ale większość tych osobistości wcale go nie rozumiała”.

„Weimar. Jeden z ważniejszych etapów na naszej drodze, (zjazd partii hitlerowskiej latem 1926 r.) Mój referat o propagandzie przyjęty z entuzjazmem, a satyra „Kiedy przychodzi mowa” wzbudziła bezgraniczną wesołość. Hitler śmiał się do rozpuku. Potem przemawiał — o polityce, idei, organizacji. Głęboko i mistycznie. Z trwogą kroczy się z nim nad przepaścią bytu. Powiedzieliśmy sobie: to jest ostateczne. Dziękuję losowi, że dał nam tego człowieka”.

„Tak, temu człowiekowi można służyć. Taki jest twórca Trzeciej Rzeszy”.

„Tego nie da się powtórzyć, trzeba było przy tym być. Jest to geniusz, narzędzie tworzenia z bożej łaski. Stoję przed nim wstrząśnięty. To taki on jest? Jak dziecko miły, dobry, łagodny. Jak kto chytry, mądry i zreczny, jak lew potężnie grzmiący, gigantyczny (...) Brzmi to jak prorocтво. Na niebie biała chmura formuje się w Hakenkreuz. „Moja gło- wa nie wcześniej stoczy się w płasek, aż moja misja się wypełni” — to było wczoraj jego ostatnie słowo”.

„Czuje się związany z nim do końca. Wszystkie moje wątpliwości rozwiały się. Niemcy będą żyć. Hell Hitler”.

Wielką przydatność Józefa Goebbelsa dla ruchu narodowo-socjalistycznego dostrzegł Adolf Hitler bardzo wcześnie. Odczuwał pilną potrzebę wypracowania skutecznej pseudosocjalistycznej demagogii, która ułatwiłaby hitlerowcom odciągnięcie robotników od partii lewicy, przede wszystkim rosnącej w siłę partii komunistycznej. Było korzystne, iż Józef Goebbels uchodził wtedy wśród młodych nacjonalistów za najbardziej „lewicowego”, a jego przemówienie z 1925 r. „Lenin czy Hitler” uznane zostało przez Adolfa Hitlera za propagandowy majstersztyk.

„Niemcy staną się wolne — wywołał Józef Goebbels — kiedy 30 milionów z lewa i 30 milionów z prawa potrafią się porozumieć. Partie burżuazyjne nie potrafią tego celu osiągnąć, marksizm natomiast tego nie chce. Jedyny ruch polityczny, który jest w stanie tego dokonać, to narodowy socjalizm, ucieleśniony w osobie Adolfa Hitlera”.

W wyborach poprzedzających objęcie przez Józefa Goebbelsa w 1926 r. funkcji Gauleitera Berlina, najlepsze wyniki uzyskali narodowi socjaliści w dzielnicy Spandau, zaledwie 137 głosów, gdy na SDP głosowało 603 tys., a na KPD 347 tys. W całym Berlinie mieli hitlerowcy około tysiąca zwolenników. Wkrótce jednak przez zaaranżowanie przez Józefa Goebbelsa fizycznego starcia z komunistami i poturbowanie przechodniów o semickim wyglądzie uzyskał Goebbels pożądany rozgłos dla mało dotychczas znanej partii, której szeregi zaczęły szybko rosnąć. To Józef Goebbels rozegrał też propagandowo śmierć poniesioną w osobistych

porachunkach przez młodego hitlerowca Horsta Wessela i uczynił z niego męczennika „świętej sprawy”. Upragnione stanowisko głównego szefa propagandy całej partii uzyskał Józef Goebbels w 1929 r.

W przeddzień przejęcia władzy. Styczeń 1933 roku.

„1 stycznia. Leży w gruzach stary rok. Niech żyje nowy. Chcemy walczyć, zwyciężyć lub zginąć. Uścił nam dłoń Hitlera: „Życzę panu zdobycia władzy!”

6 stycznia. Sensacja: rozmowa Hitlera z Papenem w Kolonii (w domu bankiera Kurta von Schrodera).

8 stycznia. Intryguje się przeciwko mnie we własnych szeregach, usiłuje się udowodnić mi rzekome machinacje wekslowe. To bydlę! Prasa stała jeszcze buczy o porozumieniu Hitler-Papen.

10 stycznia. Hitler poinformował mnie: Papen idzie ostro przeciwko Schleicherowi (konkurent Hitlera, generał). Papen chce go całkowicie wyeliminować, a ma on (Papen) posłuch u starego (prezydenta, marszałka Hindenburga). Posunięcia przygotowywane w porozumieniu z nami: albo kancierstwo, albo ministerstwo dające faktyczną władzę — obrony i spraw wewnętrznych. Jak dobrze się tego słucha!”

Kurt von Schleicher w listopadzie 1932 zostając kanclerzem pozyskał dotychczasowego przyjaciela Józefa Goebbelsa z dawnej narodowosocjalistycznej „lewicy” Georga Strassera obietnicą urzędu wicekanclerza. Ale w styczniu Paul von Hindenburg dymisjonuje Kurta Schleichera i powołuje urząd Adolfa Hitlera. Wówczas Georg Strasser składa wszystkie partyjne funkcje na ręce Hitlera i zapewnia, iż będzie walczył w szeregach NSDAP jako szeregowy „towarzysz partyjny” (Parteigenosse). Ale do przyjaciół powie poufnie:

— Od dziś władza znalazła się w rękach urodzonego kłami- cy z Austrii (Hitlera), zwyrodniałego eks-officera (homoseksualisty Ernesta Röhma) i kuter- nogi (Goebbelsa). Wierzę mi, ten ostatni jest najgorszy, to szatan w ludzkiej postaci.

Do tego, co powyżej odnoszą się dwa zapiski w dziennikach Goebbelsa.

11 stycznia. U Goeringa z Hitlerem. Krótka rozmowa we trzech. Strasser chce walczyć pod hasłem: przeciwko Goeringowi i Goebbelsowi.

31 stycznia. A więc stało się. (...) Hitler został kanclerzem. Jak w bajce!”

Wierneopoddanie służba Józefa Goebbelsa Hitlerowi i jego Rzeszy trwała do końca. Wczoraj 1 maja 1945 r. w dzień po samobójstwie Adolfa Hitlera ze świeżo poślubioną Ewą Braun, żoną Józefa Goebbelsa, Magda zaczęła go po- naglać do pośpiechu w obawie, że żołnierze radziecy, znajdujący się w pobliżu, mogą się przedrzeć w każdej chwili. Nie chciała, by dzieci miały żyć w strasznych czasach, które nastąpią. Najpierw udala się do dzieci. Cała szóstka w wieku od 4 do 12 lat leżała w łóżkach. Uspokoiła dzieci, że wkrótce pan doktor da im za- strzyk, który utrzyma ich teraz wszystkie dzieci i żołnierze, po czym zaprzęgnięty lekarz dentysta z SS wstrzyknął dzieciom morfinę, a gdy po- snyły, matka wiała im do ust cyjanek z rozgniecionych kapsułek.

Dr Józef Goebbels spędził ostatnie godziny nad dziennikiem „czyniąc w nim jeszcze zapisy dla potomności, następnie ubrał się jak do wyjścia, nie zapominając nawet o rękawiczkach, a przechodząc koło swojego adiutanta, który czekał z naszykowanym kanistrem benzyny, podarował mu na pożegnanie fotografię Adolfa Hitlera, którą zawsze miał na biurku.

W ogrodzie Kancelarii Rzeszy oboje małżonkowie roz- gryźli ampułki z cyjankiem, wartownik dobił leżących strzałami i podpalił zwłoki.

Nie wiemy, co zapisał Józef Goebbels w ostatnich zdaniach swojego dziennika, nie wiemy, jakie zapiski czynił w latach wojny. Ostatni tom dziennika, zawierający okres wojny ukaże się bowiem dopiero w 1990 r.

Z Berndem jedziemy autobusem z Hamburga do Neuengamme.

Bernd Schmidt lat 23, jest znany w Hamburgu działaczem młodzieżowym. Przez pół roku pracował w Oświęcimiu a od kilku miesięcy jest pełnomocnikiem organizacji Akcja Pokuty i Służby Pokojowi (Aktion Sühnezeiten-Friedensdienst) do spraw byłego obozu koncentracyjnego w Neuengamme. Dzięki tej pracy uniknął służby wojskowej która w Republice Federalnej Niemiec trwa 15 miesięcy.

Wprawdzie bezpośrednio po zakończeniu II wojny światowej kościoły działające w Niemczech „złożyły” wyznanie winy i skruchy, niemniej proces przezwyciężania faszystowskiej przeszłości, zwłaszcza w kościele katolickim, trwał jeszcze bardzo długo. Wyrażone tendencje postępowe wykazywał kościół ewangelicki. Przełomowym dla tego kościoła był rok 1958, w którym zawarł on z rządem federalnym porozumienie o duszpasterstwie wojskowym. W tym samym roku podczas berlińskiego Synodu Kościoła Ewangelickiego w Niemczech (EKD) jego przewodniczący — Lothar Kreyssig, który w III

sznasta kraju, który ich ojcowie chcieli zniszczyć, a jego naród wytykać. Nie chcieliśmy naprawiać, bo trudno naprawić to, co uczynili rodzacy. Czy można odtworzyć ludzi z popiołów? Czy można postawić domy ze szklanych i ruin? Chcemy wyłączać uczyć się historii, a odwołując się do obozów i w nich pracując — niejako jej dotykać. Niemcom trudno często jest obcować z własną historią, czego dowodem jest brak wzmianki o niej przez długie lata w mediach. Wielu ludzi mówiło, że o nich nie wiedzieli. Blisko obozu koncentracyjnego — przebywało w nim w okresie wojny ponad 100 tys. więźniów, a 55 tys. zostało wymordowanych — mieszkali, ale nie nie słyszeli? Dla wielu wreszcie przezwyciężenie przeszłości wiązało się wyłącznie z problemem winy. Za dużo i za często z drugiej strony było moralnego rozgrzeszenia i wręcz unikania potępienia.

Od nawiązania pierwszych kontaktów z Polską ASF czynnie popierała politykę wchodzącą W. Brandta i W. Scheela. To ona wystąpiła w 1973 r. wobec kanclerza i ministra spraw zagranicznych z apelem w sprawie zadośćuczynienia dla

osób, którzy ich ojcowie chcieli zniszczyć, a jego naród wytykać. Nie chcieliśmy naprawiać, bo trudno naprawić to, co uczynili rodzacy. Czy można odtworzyć ludzi z popiołów? Czy można postawić domy ze szklanych i ruin? Chcemy wyłączać uczyć się historii, a odwołując się do obozów i w nich pracując — niejako jej dotykać. Niemcom trudno często jest obcować z własną historią, czego dowodem jest brak wzmianki o niej przez długie lata w mediach. Wielu ludzi mówiło, że o nich nie wiedzieli. Blisko obozu koncentracyjnego — przebywało w nim w okresie wojny ponad 100 tys. więźniów, a 55 tys. zostało wymordowanych — mieszkali, ale nie nie słyszeli? Dla wielu wreszcie przezwyciężenie przeszłości wiązało się wyłącznie z problemem winy. Za dużo i za często z drugiej strony było moralnego rozgrzeszenia i wręcz unikania potępienia.

W jednej części obozu utworzono więc zakład karny, a w jednym z długich baraków znalazł się zakład naprawczy jachtów, które kanałami Łaby od czasów II wojny światowej mogły tu, do Neuengamme swobodnie i bez przeszkód docierać.

A przecież najcięższą pracą — stwierdza prof. dr Jürgen Bracker, dyrektor Muzeum Hamburga — wykonywała grupa licząca do 2 tys. więźniów przy uszlachetnianiu Łaby i przy budowie kanału prowadzącego do kłótni. Popaniani, zykani, nie dożyłszy i cienko ubrani więźniowie tej grupy umierali w dużym odsetku.

Na początku dostawałem przydział do Kommando Elbe — wspomina w wydanej w 1983 roku książce „Tyle śmierci i tak mało” Wawrzyniec Węclawicz, po wojnie przewieziony statkiem Czerwonego Krzyża do Szwecji, gdzie już pozostał. Budowa tego kanału ma swoje miejsce w historii bestialstwa hitlerowskiego. Do tej pracy, wykonywanej przy użyciu najprymitywniejszych narzędzi, wymagającej nieustannego brożenia w błocie i w wodzie, wybierano szczególnie chętnie przedstawicieli inteligencji polskiej. Kto nie miał spracowanych robocizniczych rąk, nadawał się właśnie do Kommando Elbe. Codziennie po porannym apelu tysiąc dwustu więźniów pędzono na budowę kanału, odległą od obozu o jakieś dwa do trzech kilometrów. Pracowałem przy pogłębianiu kanału. Łopatami wydobywaliśmy z dna grube pokłady mułu — ładowaliśmy go na taczki i wywoziliśmy po ośmiu kładce ułożonej na błotnej topiel. Nikt nie zliczył tych, którzy w niej utonęli. Bicie grzło każdemu, kto sam albo z pomocą współtowarzyszy wydobył się z bagniska. Za utratę taczki wymierzano już w obozie surowe kary. Słabszych więźniów wykańczano w tych warunkach bardzo szybko. Wielu z nich, żeby pokazać łoskot, przekraczało dozwoloną linię poruszenia się. Esemani z Poskenketty tylko na to zryli. Zabitych, rannych i wyčerpanych do ostateczności składano w oznaczonych miejscach. Wieczorem zabierali ich samochody — wypróbkę i zsympyal, jak grus albo żwir pod barakiem rewiru. Na drugi dzień na ich miejsce wchodził nowy.

W tym miejscu nie ma obecnie żadnego śladu panoszącej się kiedyś śmierci i ludzkiej męki.

Przerazająca jest ta praktyczność, skłonność do wykorzystania i uprzydatnienia każdego skrawka ziemi, nawet tego zbroczonego krwią.

Dobry gospodarz — siko mentował Bernd. — Rząd Hamburga długo opierał się żądaniom byłych więźniów upamiętnienia tego miejsca zagłady — mówi dalej Bernd. — Twierdził nawet, że wystarczy umieścić tablicę informacyjną, a wszystkie inne propozycje były przyjmowane z głęboką niechęcią. Po prostu: wychodził z założenia, że „to” nie powinno być kosztować. Członkowie organizacji młodzieżowych wtedy publicznie oświadczyli, że jeżeli Senat Hamburga nie prześle funduszy na budowę muzeum w Neuengamme, wtedy oni zrobią zbiórki z całej Europy. Dopiero wtedy deputowani doszli do wniosku, że lepiej będzie ze względu na politycznych te pieniądze przekazać.

Dom Dokumentów, spełniający rolę muzeum obozu w Neuengamme, został zbudowany w połowie 1981 roku, a 18 października tamtego roku pani Aubry, przewodnicząca Międzynarodowego Towarzystwa Przyjaciół Neuengamme, dokonała uroczystego otwarcia stałej ekspozycji dokumentów poświęconych obozowi.

Minęło sporo czasu — stwierdza prof. J. Bracker — zanim ten doniosły temat historii Hamburga doczekał się należnego mu prawa i wraz ze sobą ekspozycją włączony został do naszego muzeum jako nowy dział. Aktywnemu poparcię se

strony byłych ofiar i sumien nym pracom hamburskiej placówki badawczej do spraw historii nazizmu nad istniejącymi jeszcze świadectwami należy zwrócić uwagę na wystawie nawet w tak późnym czasie autentycznych dokumentów. Wystawa obnaża w bezpośrednim powiązaniu z centralnymi miejscami zbrodni „niepodważalne świadectwa” okrucieństwa nazizmu i udaremnienia próby ruszowania, kwestionowania faktów historycznych i zwyczajowego już zaprzeczania im. Nieludzki charakter polityki sprowadza się zawsze do zacierania w świadomości prawd niewygodnych...

Po otwarciu Domu Dokumentów — mówi dalej Bernd — stwierdziliśmy, że zwiędzający nie mogą sobie wyobrazić wielkości tego obozu. Wtedy padł pomysł budowy drogi wokół obozu. W latach wojny więźniowie pracowali także w ceglarni. Walczymy teraz o to, by nie została ona zburzona. Zebraliśmy już 18 tys. podpisów. Nie jesteśmy w tej akcji sami, są także młodzi ludzie z Danii i Szwecji, którzy piszą listy do Senatu, który z kolei nie może być na nie głuchy.

Bernd uważa dlatego, że nastroje neonazistowskie wśród młodzieży RFN należą do rzadkości. Tego optymizmu nie zmąca wybrki grup prawicowych w Hamburgu i w innych krajach RFN. Policja wprowadziła nie zawsze ingeruje w działalność tych grup, to jednak ich wpływ na postawy szerokiej oświaty młodzieży jest znikomy.

Ankieta — jedna z wielu — przeprowadzona w 1985 r. wśród 2 tys. osób w wieku 16—18 lat przez dwóch socjologów frankfurckich Klausę Allerbecka i Wendy Hoagę wykazała, że 84,2 proc. dostrzega w narodowym socjalizmie „więcej złego niż dobrego”. Wynik identycznie sformułowanej ankiety z 1962 roku brzmiał: 62,7 proc.

Bernd: — Tak jak znikomy ułamek procentu całego społeczeństwa zachodniemieckiego stanowią sympatie do narodowego socjalizmu. Generacja, która uczestniczyła w tej straszliwej wojnie już odchodzi — zgodnie z naturalnymi prawami biologicznymi. Wiele z historii ona zrozumiała, a na pewno przekazała nam przede wszystkim słowa przestrogi.

To optymistyczne i uczciwe przekonanie Bernda Schmidta wszyscy podzielają. Alfred Deebelin, powieściopisarz niemiecki, który od 1933 roku przebywał na emigracji (zmarł w 1957 roku) często mawiał, że zbrodniarze hitlerowscy nie spadli z nieba. Nielotna garska ludzi grupująca się wokół Hitlera przerodziła się w masę, które wchłonęły praktycznie cały naród niemiecki. A Heinrich Albert, pastor, w okresie III Rzeszy związany z antyfaszystowskim odłamek niemieckiego Kościoła Ewangelickiego, na spotkaniu zorganizowanym przez PEN Club w 50 rocznicę palenia książek przez hitlerowców tak powiedział:

— Niemcy w Republice Federalnej znają swoją przeszłość równie słabo jak chrześcijanie Nowy Testament — a właściwie można powiedzieć, że przytłaczającej większości w ogóle nie znają!... To wszystko po 1945 r. przyszło tak szybko i z góry, bez określonych rozważań terminów, bez przemysłu i czasu na zastanowienie się, bez jakiegokolwiek ogólnonarodowego. To wszystko jest dobrze znane, ale o tym się prawie nie mówi. Za cenę podziału i ponownego uzbrojenia obu części Niemiec przeciwko sobie powiodło się „oswojenie” Niemców w sposób tak doskonały, jak nigdy w przeszłości nie udało się po wojnie wobec zwyciężonych. Zrodziła się równocześnie iluzja, że trująca faszysta została zniszczona. To przyniosło nam — i to w obu państwach, choć z określonymi różnicami — pomyślną odbudowę, o której nikt nie mógłby nawet marzyć na gruzach powojennych — oraz tak trudną do opisaną pustkę wewnętrzzną, w której zdani jesteśmy, jak karły wśród olbrzymów, na przyszłość, którą inni dla nas określają.

Robotnicy przymusowi i jeńcy wojenni w Trzeciej Rzeszy



1936-1945	
26430	
17546	
5964	
4371	
3784	
3413	
3132	
2480	
2140	
1693	
1162	
672	
450	
20	
14	
14	
9	
2	



Młodzi Niemcy mają kłopot ze swoją najnowszą historią.

Czas pokuty

WACŁAW OPACKI

Rzeszy był prześladowany za obronę — jako sędzia opiekun — dzieci upośledzonych i skazanych przez hitlerowców na śmierć, protestował też przeciwko umarzaniu śledztw z powodu niewykrycia sprawców tych zbrodni, a który zmarł 5 lipca 1988 roku w Moenchengladbach w wieku 88 lat — zaproponował utworzenie w ramach Fundacji Dyktanda EKD samodzielną organizację — Akcja Pokuty Służbyaby ona zbliżeniu i pojednaniu z krajami, z którymi Niemcy hitlerowskie znalazły się w stanie wojny. Apel podpisał następnie tak w bitni i znani w świecie działacze pokojowi, jak Martin Niemöller i Gustav Heinemann. W 1969 roku organizacja przybrała dodatkową nazwę „Służby Pokojowi” i swoją działalność objęła wiele krajów na Wschodzie i Zachodzie: USA, Anglię, Belgię, Holandię, Norwegię, Finlandię, Jugosławię, Grecję, Izrael, Polskę, w latach osiemdziesiątych także Związek Radziecki. W 1985 roku organizacja liczyła około 300 członków aktywnych i 1100 wspierających, a w akcji wyjazdów do byłych obozów koncentracyjnych i miejsc zagłady dotychczas uczestniczyło ponad 10 tys. ochotników w USA pracują oni w slumsach i przytułkach dla bezdomnych.

Roczny budżet ASF wynosi około 3 mln marek. Dwie trzecie dochodu pochodzi z darowizn: od EKD, kościołów krajowych, Federalnego Ministerstwa Młodzieży, Rodziny i Zdrowia, Federalnego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych... Organizacja wspiera także komunistów. Także osoby indywidualne, a wśród ofiarodawców wymienić się było i obecnego prezydenta RFN Carla Carstensa oraz Richarda von Weizsäckera. Organizacja od kilku lat przeżywa tarapaty finansowe. Deficyt finansowy wyniósł np. w 1984 r. ok. 250 tys. marek, co implikuje konieczność ograniczenia liczby wyjazdów i odcinanie, liczby wycieczek oraz zmniejszenia zatrudnienia w zachodniobermberskiej centrali ASF.

— Ale — jak twierdzi Gertrud Gumlich, przewodnicząca organizacji — brak pieniędzy nie wpływa negatywnie na pomyślną realizację założeń Akcji.

Jedna trzecia budżetu pochodzi ze składek

Do Polski ochotnicy wyjeżdżają od 1967 roku, gdzie pracują przy porządkowaniu pamiątkowych miejsc — muzeów w Oświęcimiu, Majdanku i Stutthofie.

— Młodzi ludzie — mówi Bernd Schmidt — są żądni po-

pozostających jeszcze przy życiu ofiar zbrodni hitlerowskich w Polsce.

„Polityka wschodnia rządu RFN — pisało w oświadczeniu ASF — wzbudziła w wschodnich ludźmi w kraju i za granicą, którym leży na sercu sprawa pokoju i Europy, nadzieję i oczekiwanie... Szczególne znaczenie Układu Warszawskiego tkwi w historycznym zobowiązaniu naszego narodu wobec narodu polskiego. Podkreślił to Kanclerz Federalny w swoim przemówieniu telewizyjnym z Warszawy 9 grudnia 1970 r.: „Nis wolno nam zapominać, że narodowi polskiemu po 1939 r. przypadło najgorsze, co w swojej historii musiał przeżyć. Ta wyrażona krzywdą nie pozostała bez skutków... Nazwy takie jak Auschwitz będą towarzyszyć obu narodom jeszcze długo i przypominały nam o tym, że piekło na ziemi jest możliwe, myślimy je przetrwać. Ale właśnie to doświadczenie zmusza nas do zdecydowania do podejmowania zadań przyszłości. Ucieczka od rzeczywistości tworzy niebezpieczne iluzje. Stwierdzam więc, że tak wobec Układu dla pojednania i pokoju, jest także przyznaniem się do całości niemieckiej historii. To przyznanie się zobowiązuje nas do solidarnej odpowiedzialności za żyjące w Polsce ofiary faszystowskiego terroru — byłych więźniów obozów koncentracyjnych, robotników przymusowych, deportowanych, uczestników ruchu oporu, wdów i sierot po pomordowanych...”

Wymaga to konkretnych kroków politycznych. Dlatego oczekujemy od rządu federalnego, że opowie się za tym zobowiązaniem w ramach ustawowych i finansowych możliwości, stworzy przesłanki dla moralnego i materialnego zrealizowania tego obowiązku...”

Z okazji 40 rocznicy zakończenia wojny ASF wraz z Akcją Pokuty (Aktion Sühnezeiten) w NRD wezwwały obydwa rządy niemieckie do jak najszybszego podjęcia rozmów o rozbrojeniu. Rozbrojenie pozwoliłoby przeznaczyć zaszczerpane środki na „program rozwoju krajów III świata”. Mimo różnych systemów społecznych — głosiło oświadczenie — byli sojusznicy powinni utworzyć koalicję, która postawiłaby sobie zadanie przezwyciężenia głodu.”

Bernd mówi, że przykład z Akcją Pokuty wzięły wszystkie postępowe organizacje młodzieżowe, zrzeszone w krajowej lub federalnej Federacji, które jeszcze w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych sprawami wojennej przeszłości narodu niemieckiego nie zajmowały się.

— Po II wojnie światowej — opowiada Bernd — wielu Niem-



Stefania Toczyska



Katarzyna Sobczyk

Foto: Marek Kamiński

STEFANIA TOCZYSKA: — Nie należy chodzić po linie...

— Bardzo dużo jeździ pani po świecie, gdzie więc miejsce na życie prywatne?

— Mam dwie córki: 17-letnią Katarzynę i dwuletnią Marię. Mąż jest profesorem muzyki. O ile to tylko możliwe staramy się jeździć razem po świecie. Na stałe mieszkamy w Gdyni, ale na czas zagranicznych kontraktów mam apartament w Wiedniu.

— Jak do tej pory odnosi pani sukcesy, jak pani to ocenia?

— Sukces to splot wielu wypadkowych. Człowiek sam jest za słaby, potrzebni są ludzie, którzy pomagają. Na szczęście natrafiłam na życzliwych i oddanych mi ludzi, na czele z mamą, profesorem historii z liceum pedagogicznego, gdzie śpiewałam wszystkie solowe partie w chórze, dyrektorem Opery Bałtyckiej Zbigniewem Chwedeżukiem aż do moich dwóch cudownych profesorów śpiewu: Janiny Buchowieckiej i Barbary Iglikowskiej. Osobny rozdział to udział w konkursach wokalnych liczących się w świecie i nagrody, które tam zdobyłam. Wreszcie pierwszy angaż do teatru i spotkanie z ludźmi, od których mogłam się wiele nauczyć.

— Luciano Pavarotti powiedział, że śpiewak przez całe życie balansuje na linie jak cyrkowiec. Co pani na to?

— Nie należy chodzić po linie, tylko po drodze wybranej przez siebie, gdzie są dobre drogowskazy, które prowadzą do celu.

— Spełniły się więc pani marzenia?

— Moje marzenia stały się rzeczywistością. Chciałam początkowo chciałam być piosenkarką i śpiewałam piosenki. Dopiero mój pedagog śpiewu zainteresował mnie na poważnie operą. Dziś pozostały mi tylko marzenia o nagraniu płyt z piosenkami. Chciałabym też zagrać w filmie, bo marzyłam o zawodzie aktorki.

— Czy sukcesy na scenach świata nie zmieniły pani?

— Szkoda, że nie znał mnie pan wcześniej, bo doszedłby do wniosku, że nie zmieniłam się wcale jako człowiek.

KATARZYNA SOBCZYK: Często robię rachunek sumienia.

— Czy jest pani szczęśliwa?

— Mam syna, z którym jestem związana emocjonalnie i uczuciowo. Ubolewam, że nie mogę z nim przebywać tyle czasu, ile powinienam. Na szczęście jest wyrozumiały i zna charakter mojej pracy. Rozłąka jest dla nas bardzo przykra, ale on znosi to dzielnie i po meksku.

— Pani mąż, Henryk Fabian, zawsze żył w oślecie żony-gwiazdy. Nigdy się nie buntował?

— Decydując się na związek ze mną wiedział, że tak to będzie wyglądało. Początkowo cieszyły go moje sukcesy i godził się z drugorzędną rolą, jaką spełniał. Ale nie było to korzystne dla naszego małżeństwa, w niektórych przypadkach mało przyjemne. Mąż swojej żony — to niezbyt budująca pozycja w domu.

— Zbuntował się?

— Nie odczuwałam tego buntu, o ile był, to raczej wewnętrzny. Bardzo dużo nad sobą pracował i starał się uzyskać taki poziom, który mógłby go satysfakcjonować. W najtrudniejszych momentach popadał w zło nalogi, co też miało swoje znaczenie dla naszego małżeństwa i mojej kariery.

— Dziecko na tym nie ucierpiało?

— Dziecko nie odczuło tego tak mocno, dlatego, że zbyt rzadko z nami przebywało. Na szczęście.

— Osiemnaście młód lat, to nie grzech, a osterdżelci dwa?

— Grzechów przybyło i ciągle przybywa, wraz

Mówią o sobie: Stefania Toczyska, Katarzyna Sobczyk, Maria Probosz, Renata Kretówna, Gayga.

Intymne zwierzenia artystek

z czasem, którego się nie boję, bo często robię rachunek sumienia. Mam nadzieję, że nie które będą mi odpuszczone.

— Czy nadal pani pije i pali?

— Owszem, ale nie jestem w nalogu. Po prostu miękam słabości.

— I miewa pani także kłopoty ze strunami głosowymi?

— Mam, ale jestem leniwa i nie dbam o higienę głosu. Ponieważ jestem otoczona wspieranymi przyjaciółmi, obiecali, że zaniosą mnie do foniatry.

— Nie będzie pani oponowała?

— Nie będę. Niech mnie niosą.

MARIA PROBOSZ: Kocham mężczyzn!

— Zauważyłam, że piękne aktorki, którym powiodło się w zawodzie są nieszczęśliwe w życiu prywatnym. Pani niedawno rozstała się z mężem i nie mogła sobie poradzić z samą sobą przez długi czas...

— Najpierw szukałam męża po całej Polsce i Czechosłowacji, aby wziąć z nim rozwód, a kiedy udało mi się go złapać, okazało się, że oboje nie mamy czasu. Przekonałam się, że związek ślub to takie proste, natomiast z rozwodem jest o wiele gorzej.

— Ale w końcu rozwód stał się faktem dokonany?

— Tak. Były mąż przebywał od pół roku w Hollywood, telefonuje do mnie, podczas jednej z rozmów oświadczył mi się ponownie.

— I co pani na to?

— W styczniu jadę do Hollywood.

— A obecny narzeczony?

— Powiedział w chwilach napadu szału, że musi mnie bogato wydać za mąż.

— Podobno pani wyjątkowo lubi mężczyzn i często zmienia sympatie?

— Ja kocham mężczyzn!

— I lubi pani zakochiwać się w swoich partnerach ekranowych?

— Zakochać się to za duże słowo, raczej przyjaźnić. To zawsze ułatwia współpracę na planie i co tu ukrywać, jest przyjemne.

— Najnowszy narzeczony wie o tym i nie stara się oponować?

— Oboje dobrze wiemy, że niezbędnymi czynnikami do przetrwania miłości jest tolerancja i zaufanie. Nigdy wcześniej nie spotkałam miłe tyle zrozumienia, pogody i troskliwości, co z jego strony. Ze Zbyskiem czuję się bardzo bezpieczna i spokojna. Jest dla mnie wszystkim, bo go kocham.

— To on zapewnia pani to luksusowe opakowanie? A co z pożywkami dla duszy artystki?

— Jack Nicholson mając przepiękną willę z lasem w Hollywood jest megagwiazdą i doskonałym aktorem. A Dustin Hoffman, Al Pacino, Jessica Lange itd.? Dobrobyt i chęć życia w komfortie wcale nie świadczy o tym, że ktoś nie ma wnętrza. Cierpienie uszlachetnia, to nieprawda, że pustoszy. To straszne, że u nas młodzi, zdolni aktorzy muszą uganiać się za chałturą, za wynajęciem mieszkania. Czy to mają być odpowiednie warunki do rozwoju talentu?

— Czy są pani już kobietą czy jeszcze dziewczynką?

— Ktoś mi powiedział, że we wszystkim co robię i co będę robić pozostanę do końca małą dziewczynką i chyba tak jest.

RENATA KRETÓWNA: — Bo już trochę podrosłam!

— W środowisku aktorskim jest pani znana z wyjątkowo burzliwego życia prywatnego. Jak w efekcie ono się pani ułożyło?

— Życie prywatne miałam rzeczywiście wyjątkowo burne i w efekcie nie ułożyło mi się nawet przeciętnie. Może dlatego, że pierwszą i największą miłością był zawód. Ale cieszę się, że poprzez wzloty i upadki, burze zawodowo-osobiste i związane z nimi przeżycia zostałam człowiekiem i budząc się rano mogę spokojnie popatrzeć na swoją twarz w lustrze.

— A mówi się, że jest pani diabłem, który schował się w skórę anioła?

— Od kogo słyszał pan taką opinię?

— Tak mówią ci, którzy panią poznali.

— Mężczyźni czy kobiety?

— Jedni i drudzy.

— Powiem panu tylko tyle, że zawsze marzyłam, aby być aniołem, bo chciałam być uwielbianą i nadal chcę.

— Anioł z takim zachrypniętym, demonicznym głosem?

— No cóż i wśród aniołów zdarzają się wyjątki.

— Był taki okres w pani karierze, że znalazła się pani w środku niepokojącej ciszy...

— Nastąpił on po okresie burzy i zamieszania wokół mojej osoby. Po prostu poczułam się straszliwie zmęczona i chciałam się ukryć i zaprzestać jakichkolwiek działań w tym zawodzie. Po zachłystnięciu się robieniem kariery, mam obecnie spokój i świadomość tego, co chcę robić. Teraz chcę tylko śpiewać.

— Jest pani zadowolona z tego, co ma?

— Z tego, co mam na dziś jestem zadowolona, ale tylko dziś.

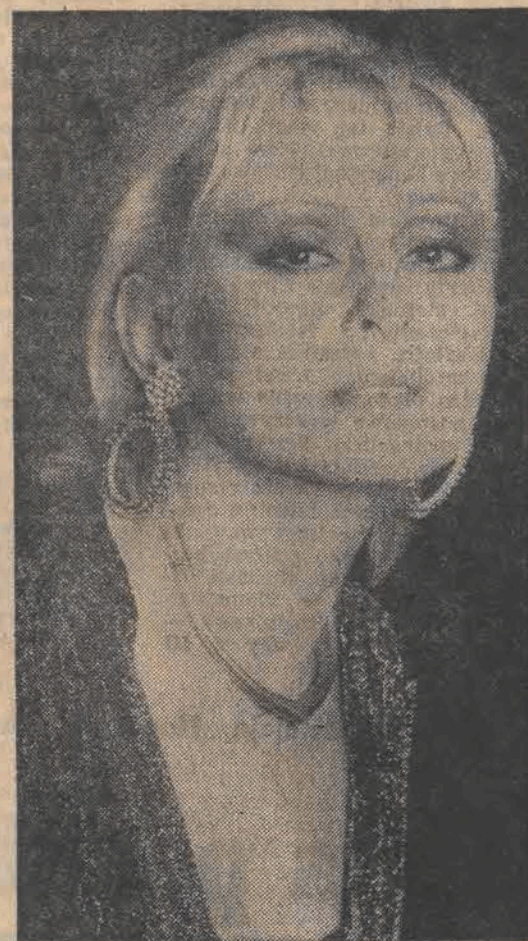
— To cudowne, kiedy można zmieniła, przestawić, rozwalić ściany. Muszę to robić, bo to wynika z mojej natury.

— Co na to wszystko mąż?

— Myśl podobnie jak ja. Na szczęście.

— Jaka jest pani dewiza życiowa?

— „Audaces fortuna iuvat” — śmiały los sprzyja.



Renata Kretówna



Maria Probosz

Foto: Grzegorz Gałasiński



Gayga

Foto: Zdzisław Walter

Rozmawiał:
BOHDAN GADOMSKI

Władysław Reymont w swoim łódzkim, krępkim mimo upływu lat arcydzieło podzielił ulicę Piotrkowską na trzy wyróżniające ją odcinki. Od Gajewskiego Rynku (dzisiejszy plac Reymonta) do Nawrot miała ona charakter fabryczny, od Nawrot po Nowy Rynek (plac Wolności) charakter handlowy, a dalej, jako że kiedyś była ulicą dłuższą i biegła szlakiem Nowomiejskiej i Zgierskiej aż do Starego Miasta, charakter tandeciarsko-żydowski. Wielki i doceniony za życia, choć zawsze traktowany przez łajogłów z lekkim przyzwyczajeniem oka, pisarz wyłożył ubiegłowieczną Piotrkowską czarnym, płynnym błotem i trokami zmieniającymi się przed każdym prawie domem — to były z kamienia, to z betonu, to z drobnofabrycznego bruku, który kłuł przez podszewy.

„Rynsztokami płynęły ścieki z fabryk i ciągnęły się niby wągry brudnozielone, czerwone i niebieskie, z niekiedy domów i fabryk położonych za nimi przypłyły był tak obfity, że nie mogąc się pomieścić w

Najpiękniejszej Ulicy Świata na pierwszym miejscu postawiłbym bez wahania parcie „Centrału”, supermarketu, który z leniwym i niewymuszonym wdziękiem stanął na czele polskich domów handlowych. Do niedawna „Central” przepuszczał dzień w dzień przez parter i obydwa swoje piętra sto pięćdziesiąt tysięcy klientów, przed świętami, z uwagą na realną możliwość regulacji cen, przepuszcza ich zapewne dwa razy tyle. Dyrektor Lech Sosnowski święci swój zastużony triumf — wie zapewne, iż na placach, w zakładach, w bramach i na wszystkich okolicznych parkingach tłoczą się samochody z najbliższych stron kraju, a ludzkie mrowie wypełnia każdy wolny metr przestrzeni. Telewizja poddała, że „Central” doczeka się filii w nie wykorzystanym do tej pory gmazysku przy alei Adama Mickiewicza. Pierwotnie, kiedy chłanie wody było jeszcze w Polsce cnotą, zamierzano zorganizować tam restaurację z dansingiem, czemu sprzeciwiali się gorący mieszkańcy Manhattanu w sprawliwej obawie, iż rozbawieni pijacy i rozochoceni, skłoni do wypiewywania góralskich

Madrycie, że kiedy jeden z głośniejszych filologów hiszpańskich przyjechał do Polski, był mile zaskoczony mnogością i pomysłowością „cygaństwa”, tak bowiem określił handlujących na rogach ludzi. Miał powiedzieć: — *Supremamente jak w Kastylii i Andaluzji, przypominacie pod tym względem Hiszpanów.* Zrobiliśmy od tego czasu postępy. Milicja nie czepia się już detalistów, owych mrówek (ci, co pod sklepami jubilerów, pod „Baltunami” i „Pewexami” robią w bonach, dolarach i zlocie, są mrówy, a na ich czele stoją skorumpowane termity, których należałoby włożyć do worka i grzmotnąć z całej siły o ścianę) zarabiających z bezprzykładną cierpliwością na chleb. Reprowatyzacja mrówek, rozgniatanie jeszcze niedawno obcasami, wzbogaciła koloryt polskich miast. Kupisz więc w podziemnym przejściu przy Piotrkowskiej wszystko — kiczowaty obraz, horoskop, pierścionek z tombaku i obrączkę ze szczyrego kruszcu, którą Felek podwędził żonie; kupisz psa, który na razie wygląda rasowo, a potem wyrośnie z niego kum-

— *Składamy. Na wakacje będzie albo kupi się komputer.* — *Lub wideo — wiraż! nie bez pewnej nerwowości młodzieży brat. I dodał: — Czekaj, białe postędy wczoraj przy wiede. Ma pan wideo?* — *Nie.* — *No to nie ma co czekać, tylko brać gazetę i wstać!* — *Jeno nie wiem, jak to zrobić — zafrasował się skryba.* — *O Jezu! — westchnął starszy brat z politowaniem i przyjrzał się dziennikarzynie badawczo. — Musi pan iść do „Ruchu” na Zamenhofa i podpisać umowę, a wtenczas oni dadzą panu gazetę w komis. Zaczni pan od stu egzemplarzy, bo żeby opędzić wiecej, to trzeba zdobyć doświadczenie. My jutro weźmiemy po dwieście i zarobimy parętyka.* — *Jad zażadności zalał serce reporter. Nazajutrz przeprowadził oficjalny sondaż i ustalił, że umowę z „Ruchem” mogą podpisać tylko osoby pełnoletnie, tym zaś, skoro jest umowa, skoro jest reforma i trzeba będzie zaciągnąć pas, wolno odelegować do sprzedaży gazet każdego, a więc i dziecko. Reporter nie widzi w tym nic złego, wzięwszy pod uwagę kariery niektórych amerykańskich pacybutorów, właśnie handel prasą może być w Polsce zaczął fortunę. Sprzedają „Express Ilustrowany” dwie studentki Wydziału Socjologicznego. Ładne? Ładne! Zadowolone? Zadowolone! Zarabiają! No i zbierają przy okazji materiał do prac naukowych, które będą miały z pewnością pełniejszy i prawdziwszy wymiar niż wydumane w bibliotece czy w zaciszu domowym dzieła kolegów. Sprzedają „Express” licealiści i emeryci, sprzedaje pewien zbankrutowany playboy, który nie stracił bynajmniej na humorze i po robocie maszeruje Piotrkowską wymachując wytworknym, skórzanym, przyczepionym do kłosa neserem.* — *„Express”! komu, bo idę do domu. Kto nie kupi, ten głupi!*

Najpiękniejsza ulica świata.

Reprowatyzacja mrówki

plytkich rynsztokach, występował z brzegów, zalewając chodniki kolorowymi falami, aż po wydeptane progi niezachowanych sklepików, zięjących z czarnych zabłoconych wnętrza brudem i zgnilizną, zapachem śledzi, jarzyn gnijących lub alkoholu”.

Obechnie Piotrkowska, bez błota i rynsztoków, również ma swoje wyróżniki, można by rzec — swoje eksplozujące akcenty, z których jeden przypada na plac Niepodległości — już to ze względu na „Uniwersał” i „Polnożyty”, już to na rynek, hałe targową i węzeł tramwajowy o przeznaczeniu wewnętrznym i podmiejskim.

Drugi akcent to okolice „Centrału” — dzielnica wielkich domów towarowych i wieżowców, którym brakuje tylko paru pięter, aby nazwać je bez cobyby drapaczami chmur. W tym rejonie Piotrkowska zachowała ciąg sędziwych, lecz zdrowych kamienic niewysławionej urody o frontonach, których nie powstydziłby się pałac sultana.

Trzeci akcent przypada na skrzyżowanie z ulicą Andrzeja Struga i Juliana Tuwima, poetę, którego za życia nie opuszczało dobre samopoczucie, twierdził bowiem, że Gałczyński Kostek z trudem sięga mu do kostek i że po śmierci drzeć się będzie o niego pazurami kilkanaście sławnych miast. Punkt ten traci ostatnio na znaczeniu; zjechał tłok, wycofano z torowisk tramwaj numer 24, nocą „Delikatesy” przestały sprzedawać alkohol a z gmachu przy Piotrkowskiej 86 uciekły bezpowrotnie wszystkie redakcje poza „Dziennikiem Łódzkim” i Polską Agencją Prasową. Egzystuje tu wciąż bufet, stołówka, agenda SD PRL i Biuro Ogłoszeń, a za szynkwasmem w Klubie Dziennikarza ciągle jeszcze uśmiecha się do bywalców Zosia, najpogodniejsza kobieta w tym mieście. Jest to wszelako uśmiech z pieczęcią nostalgii — obłaza z tynku dawno nie malowane mury, krzące wrony na zaśmieconym podwórku, a z obydwoj klatek schodowych wionie smutkiem opuszczenia.

Czwarta wreszcie i ostatnia dominanta Piotrkowskiej jest tam, gdzie ulica wpływa do placu Wolności. Znajdziesz tu zabytkowy ratusz, którego zegar wygrywa z uderzeniem godziny „Prześniłkę”, wielką aptekę, muzeum, kościół garnizonowy, u stóp którego dziedzi zbiera do czapki mrużące pod nosem pacierze, a naprzeciw w bramie chłopostwo z okolicznych wiosek sprzedaje odpustowe maszkarony.

Z owych czterech wymienionych przeze mnie punktów

szmoucesów, dziewczęta zakładają im nocny wypocinek. Tak czy owak, nawet jeśli „Central” zarekwiruje budynek, dyrektor Lech Sosnowski powinien oddać ostatnie piętro gastronomii, żeby popuszczyć groźną z krezusów, którzy po udanych zakupach chętnie przepłakaliby gardło kieliszkiem francuskiego koniaku i rozrząskali w zębach szpikowaną muszczem kuropatkę.

Jak mchy na urodzinowym torcie w Senegalu, tak żerują na klientach dyrektora Sosnowskiego pod „Centralem” drobni, pożyteczni skądinąd przedsiębiorcy. Stoją bok w bok wzdłuż muru wytyczającego płatny aż do samochodów osobowych cztery przyczepy kempingowe, w których możesz kupić parówkę, frytki, zapiekankę z pieczarkami, za sześćdziesiąt pięć złotych i hamburgera z rybą, której pasadny aromat już z daleka daje się we znaki nozdrzom. W innych przyczepach, a także w autach zagranicznych próby, czatują na ciebie agenci Polskiego Monopoli Loteryjnego — jest tu zaprawę do wygrania wszystko w ciągu kilku niejakiej „Błyskawicy” i niejakiej „Fortuny”; są pieniądze, są fiaty, trąbany i polonezy. Szczęście, krótko mówiąc, wyciąga do ciebie rękę, ale nigdy jeszcze nie widziałem, aby ktoś wygrał na ulicy i wydał z siebie triumfalny wrzask.

Pod „Centralem” prosperują także dwie kwiatarnie, a od strony Piotrkowskiej po obydwu stronach jezdni przyczepny do ścian drewniane, schłodzone niewątpliwie kłoski, w których nabędiesz po cenach umownych warzywa i owoce. Prawdziwy jednakże, rozpasany handel uprawiają rodacy w podziemnym przejściu krzyżującym Mickiewicza z Piotrkowską — znajdziesz tu od południa oficyn „Ruchu”, zaś od północy rząd wybebeszonych automatów telefonicznych, z których nie zadzwonisz do kochanki bądź Pogotowia Ratunkowego, bowiem częściej interesują się nimi wandale niż konserwatorzy. Pośrodku, od zachodu, architekt wciął w mur dwa bunkry toaletowe, cieszące się nadzwyczajną frekwencją. Bunkier damski jawi się obyczajnie, męski natomiast penetruje do czasu do czasu narkomani, pijacy i homoseksualiści. Palnie sobie jeden z drugim w kabinie flaszki waleriany, trzeci znowu śleczy godzinami w kacie i wdycha, dając znać, że chętnie złożyłbyja najmnniejszą komórkę rodzinną pod warunkiem, że nie byłoby w niej miejsca dla kobiety.

Doktor Urszula Aszyk z Iberytyki warszawskiej powie-

del. Kupisz wydawnictwa religijne, które leżą na kawałku gazetki obok literatury rozrywkowej, a ku twemu oburzeniu i zgłoszę portret papieża wala się na zabłoconej posadzce wśród zabawek wojennych, takich jak colty i pepesze.

— *Express! Express Ilustrowany! Najnowsze wiadomości z kraju i ze świata!*

Tak wykrzykuje w czwartek jeden ze sprzedawców. A drugi:

— *Uwaga uwaga! Express czytamy codziennie, a nie tylko piątkowe wydanie z magazynem. Kto kupi gazetę dzisiaj, jutro dostanie ją u mnie za darmo. Śmiało i odważnie, proszę państwa. Raz, dwa, trzy, za jedynę dziesięć złotych!*

Reporter słuchał tego ze zdumieniem. „Express” bez tłoku i po cenie bez złodziejskiego narzutu ściągane w restauracjach i kawiarniach, w Grandzie i Klubie Plastyka przez smoluchy-małowaty cuchnące na odległość nie doprąga bielizną, papierosami i winem!

Podszedł reporter do dwóch chłopców, którzy wyglądali schludnie. Obydwaj trzymali na przedramieniu szybko topniejące pliki „Expressu”.

— *Jak to się dzieje — zapytał — że sprzedajecie gazetę nie na tym nie zarabiacie?* — *Ala! — oburzył się niższy. — Zarabiamy, proszę pana, zarabiamy!*

— *Ile?* — *Dwa złote od egzemplarza. Wczoraj wzięliśmy po sto pięćdziesiąt sztuk i zarobiliśmy razem z niewielkim napiwkiem siedemset złotych.*

— *Bo my jesteśmy bracia — pochwalił się wyższy. — Jak się nazywacie?* — *Rafał i Mariusz Kwiatkowscy.*

— *Gdzie mieszkacie?* — *Przy Armii Czerwonej.* — *Do szkoły chodzicie?* — *Chodzimy.* — *I jak tam z nauką?* — *W porządku. Są czwórki i piątki, ale nierzadko trafi się i bomba.* — *Ile macie lat?* — *Ja piętnaście, a bratucha dwadzieście.*

— *Tak jest! — przytaknął bratucha.* — *I rodzice wiedzą, że sprzedajecie gazetę?* — *Wiedzą.* — *I gniewają się?* — *Nie gniewają.* — *Ale pewnie zabierają wam część pieniędzy?* — *Nie zabierają.* — *I co z nimi robicie? O pieniądzach mówię, nie o rodzicach.*

— *Składamy. Na wakacje będzie albo kupi się komputer.* — *Lub wideo — wiraż! nie bez pewnej nerwowości młodzieży brat. I dodał: — Czekaj, białe postędy wczoraj przy wiede. Ma pan wideo?* — *Nie.* — *No to nie ma co czekać, tylko brać gazetę i wstać!* — *Jeno nie wiem, jak to zrobić — zafrasował się skryba.* — *O Jezu! — westchnął starszy brat z politowaniem i przyjrzał się dziennikarzynie badawczo. — Musi pan iść do „Ruchu” na Zamenhofa i podpisać umowę, a wtenczas oni dadzą panu gazetę w komis. Zaczni pan od stu egzemplarzy, bo żeby opędzić wiecej, to trzeba zdobyć doświadczenie. My jutro weźmiemy po dwieście i zarobimy parętyka.* — *Jad zażadności zalał serce reporter. Nazajutrz przeprowadził oficjalny sondaż i ustalił, że umowę z „Ruchem” mogą podpisać tylko osoby pełnoletnie, tym zaś, skoro jest umowa, skoro jest reforma i trzeba będzie zaciągnąć pas, wolno odelegować do sprzedaży gazet każdego, a więc i dziecko. Reporter nie widzi w tym nic złego, wzięwszy pod uwagę kariery niektórych amerykańskich pacybutorów, właśnie handel prasą może być w Polsce zaczął fortunę. Sprzedają „Express Ilustrowany” dwie studentki Wydziału Socjologicznego. Ładne? Ładne! Zadowolone? Zadowolone! Zarabiają! No i zbierają przy okazji materiał do prac naukowych, które będą miały z pewnością pełniejszy i prawdziwszy wymiar niż wydumane w bibliotece czy w zaciszu domowym dzieła kolegów. Sprzedają „Express” licealiści i emeryci, sprzedaje pewien zbankrutowany playboy, który nie stracił bynajmniej na humorze i po robocie maszeruje Piotrkowską wymachując wytworknym, skórzanym, przyczepionym do kłosa neserem.* — *„Express”! komu, bo idę do domu. Kto nie kupi, ten głupi!*

Reporter zdobył się na odwagę i zaczął udzielać sprzedającym rad i pouczeń. — *Każdorazowo przed wejściem do akcji powinniście prześledzić gazetę i przyswoić sobie na pamięć rewolwerowe nagłówki, aby wywrzasnąć później: — Trup w wannie, trener Łazarek optymistą, bomba w Zatoce Perskiej, Regan ma rak!* — *Znowu eksplodują gazy w Łodzi! — zawył podjudzony przez reporterów nastolatek.* — *Gazeciarze założyli już związek zawodowy, na czele którego stanął obywatel K. „Express” w porozumieniu z Totokiem i jedną z firm polonijnych zamierza sprawić im firmowe torby. Doprowadzi szef „Expressu”, Adam Lewaszkiewicz, człek z pozoru cichy i spokojny, demonstruje siłę piorunującej reakcji.* — *Czy można by również sprzedawać w ten sposób „Dziennik Łódzki” i „Głos Robotniczy”?* — *Można, tyle że trzeba by wstać przed świtem — odpowiadał gazetciarz.*

Reporter westchnął i odmaszerował w dół Najpiękniejszej Ulicy Świata. Jego myśli biegały mniej więcej tym samym torem, co sto lat temu spekulacje Moryca Welta.

— *Cudne miasto — szepnął stojąc na rogu pasażu Meyera i przywrotnym oczyma patrząc po tych nieskończonych długich groblach, domów, co ścisnęły ulice. — Cudne miasto, ale co ja na tym zarobię?*

Wyła i płakała dusza skryby. Jęczał półgłosem u zbiegu Zamenhofa i Piotrkowskiej, gdzie od szóstej rano zbiera się tłum spekulatorów — emerytów i rencistów, pijaków, wałkonów i wstrętnych bab, gotowych jedną drugą wydrapać oczy w walce o bluzkę lub sweter.

— *Wszyscy robią geszeft, a ja nie. Konie robią geszeft, fajniki robią geszeft, a ja się przyglądam.*

Wrócił reporter do domu, chwycił pióro i napisał z rozmachem:

Szanowny Panie Redaktorze! W związku z głodową pensją dziennikarską i brakiem perspektyw dorobienia się stosownego majątku w literaturze, uprzejmie proszę o dodatkowe pół etatu, w ramach którego będę sprzedawał „Ogłoszy” w ruchliwych rejonach Piotrkowskiej. Co się zrobi, to się zrobi, a resztę to się doszpiculuje, docynkuje, dospekuluje i doźberze, za co ja z góry Wielmożnego Pana Redaktora dziękować.

Z wyrazami oddania —

ANDRZEJ MAKOWIECKI



Mówi: Krzysztof Materna

— *We wszystkich programach telewizyjnych jest pan śmiertelnie poważny. Czy potrafi się pan śmiać?* (Odpowiedział jest szczerzy, rozbawiający uśmiech) — *Potrąfię się śmiać, ale śmiech traktuję jako rzecz wynikającą z mojej powagi. Choć jestem człowiekiem „na serio”, bardzo lubię dobre żarty. Sam też lubię żartować — nie śmiejąc się.* — *Z siebie również?* — *Gdybym się z siebie nie śmiał, nie miałbym poczucia humoru. A uważam, że mam.* — *Gdzie podział się cykl programów, robionych razem z Wojciechem Mannem?* — *Chyba leży jeszcze na półce w archiwum.* — *???* — *Nie ma sensu wyświeślać go po raz trzeci.* — *Czyżby koniec tandemu Materna — Mann?* — *Nie. Jesteśmy na etapie realizacji programu z nowego cyklu zatytułowanego „Z duchem czasu”. W tej chwili robimy czwarty odcinek; aby zacząć, musimy mieć ich kilka na zapas.* — *Kiedy premiera?* — *Już była.* — *Pańska twarz znana jest także z innych imprez estradowych...*

— *Określam siebie jako człowieka show-businessu i dlatego postanowiłem w swym życiu spróbować wszystkich rzeczy, na które mnie w tej dziedzinie stać. W momencie, kiedy uznano, że dość sprawnie posługuję się językiem polskim i potrafię odmieńać przez przypadki (co wcale nie jest takie popularne wśród ludzi, których słyszymy z mass mediów), to mogłem mówić: „Dobry wieczór państwu”. W ten sposób osiągnąłem pewien pulap. Z początku jest to zajęcie ciekawe, ale później po prostu nuży i nie rozwija. Wziąłem się zatem za to, co mnie pociąga najbardziej, czyli pisanie scenariuszy widowisk, a następnie reżyserowanie ich i realizowanie różnymi technikami — nie wyłączając telewizyjnej.* — *Omnibus?* — *Sądze, że najlepiej robi się rzeczy własne. Jest to jednak bardzo trudne do zrealizowania w Polsce. Bo z jednej strony demoralizacja wykonawców, z drugiej — brak konkurencji, z trzeciej — brak zaufania i na dodatek jeszcze różnice gustów powodują, że bardzo trudno jest zrobić coś, co byłoby szczytnym marzeniem, tzn. napisać scenariusz, mieć do dyspozycji wykonawców i zrobić to tak, aby wszystkim się opłacało i aby wszyscy robili to w sposób, w jaki zostało pomyślane. Dlatego też najpopularniejszą formą estradową w kraju są składanki słowno-muzyczne, w których głównym problemem jest: kto po kim wystąpi.* — *Dlaczego wykonawcy są zdemoralizowani?* — *System przepisów doprowadził do sytuacji, że pieniądze, które mogą otrzymać z państwowych agencji impresaryjnych, w ogóle nie przystają do tych, jakie proponują agencje prywatne, żyjące z „odcinania kuponów” od tego, co ktoś inny wylansował.* — *Czy to tylko sprawa pieniędzy?* — *Nie, nie tylko. Gdyby w Polsce był nawyk kupowania biletów na imprezy, na które naprawdę chce się iść, a nie na te, na które aktywność „wciśnię” działowi socjalnemu biletu, to mielibyśmy na koncertach publiczność, która wie, czego naprawdę chce. Miałaby zatem prawo wymagać od wykonawców przynajmniej czegoś nowego. A ponieważ ludzie przychodzą na imprezę zupełnie przypadkowo i na dodatek bilet mają za 1/3 ceny — to nie potrafią polskiego „artysty” po prostu zlinicować i — nawet nie gwizdając — oglądają go po raz siódmy w tym samym monologu.*

— *Czyżby niektórzy wykonawcy panu „podpadli”?* — *Po prostu nie lubię szmirusów! Nie będę ich wymieniał po nazwiskach — ale oni i tak wiedzą, że to o nich chodzi. Totalnie omijają mnie z daleka i nawet nie próbują do mnie dzwonić i proponować, bym ich zapowiadał. Wiedzą doskonale, że nawet za podwójną czy potrójną stawkę pewnie nazwiska mi nie przejdą przez gardło!*

— *Pańska droga do kariery?* — *Zakładając, że rzeczywiście zrobiłem karierę.* — *Przecież Krzysztof Materna jest jakąś firmą!* — *Miło mi to słyszeć, choć z drugiej strony martwi mnie to.*

W Polsce utarło się, że jeśli ktoś występuje w TV — to jest „firma”. Ludzie, widząc na ulicy piosenkarza, satyryka czy aktora, których nie lubią, z którymi się nie zgadzają lub których po prostu nie cierpią, nie powiedzą: „O, idzie ten szmirus!”, ale „O, idzie ten z telewizji!”. Na Zachodzie opluliby go i musiałby chodzić z obstawą.

— *To może inaczej: droga do tego, co pan robi obecnie.* — *To już jakby lepiej. Zaczęło się od i miejsca na ogólnopolskim konkursie recytatorskim, później studia w krakowskiej Szkole Teatralnej (które nie ukończyłem, bo „oblałem” przysposobienie wojskowe), rok w jednostce Ludowego Wojska Polskiego, teatrzyk poezji w tejże jednostce i nagrody Ministra Obrony Narodowej, kabarety studenckie, współtworzenie radiowych spotkań z balladą (które w programie III były elitarnie, a w „Jedynce” bardzo się spopolnowały), kabarety krakowskie, „Fama”, festiwale opolskie — od reżyserowania, poprzez „jurorowanie” do „dyktowania”, praca w Redakcji Satyry III programu, współtworzenie magazynu „60 minut na godzinę”, praca w charakterze asystenta reżysera przy najważniejszych imprezach estradowych w kraju (przy czym uznaje prymat mojego mistrza — Jerzego Grucy), dwuletnia praca w Teatrze Współczesnym w Szczecinie i Teatrze Jaracza w Łodzi (robiłem tam m. in. „Fachowców”), dwuletni pobyt w Łodzi jako II reżyser filmów „Klakier” i „Akademia Pana Kleksa”, stanowisko dyrektora artystycznego w Zakładzie Widowisk Estradowych... To już chyba wszystko...*

— *Uff, sporo tego. Może parę słów o sobie?* — *Hmm... Wzrost: 180 cm, waga: 72 kg, znak zodiaku: Skorpion...*

— *Czy to dobry znak?* — *Dla mnie bardzo dobry. Co jeszcze?...* — *Ulubiona potrawa?* — *Uwielbiam kuchnię chińską. A najbardziej lubię żebarka na słodko.*

— *A co z umiejętnością posługiwania się pałeczkami?* — *To mam opanowane.* — *Czy lubi pan gotować?* — *Uwielbiam.* — *Specjalność kuchni?* — *Zapraszam przy następnym spotkaniu.* — *Ulubiony typ kobiety?* — *„Z rasą i z klasą”.* — *Co na to żona?* — *Ma rasę i superklasę.* — *Dziękuję za rozmowę.*

Rozmawiał: WITOLD WERNER

Arme ubrała się. Wy-
dającą wodę z mo-
krych włosów, zbli-
żyła się do Fulki i
rzekła twardo:

— Opanuj się,
Fulko. To był naprawdę Pia-
stun, który wygnał Helgundę.
Dlatego jest tak, że nawet kla-
sztorna dziwka ma czasem wię-
cej rozumu od grafa?

— Idź precz! Do niego —
spłunął jej pod nogi.

— On sam przyjdzie po mnie
— odrzekła. — I po ciebie.

Fulko poczuł się upokorzony.
Uważał się za jednego z naj-
sławniejszych rycerzy, za naj-
waleczniejszego z walecznych,
najsprytniejszego ze spryt-
nych, najokrutniejszego z

okrutnych. Po ojcu odziedziczył
tytuł grafa i zamek w Alama-
nii, ale zdradził swego króla i
poszedł na służbę do cesarza
Lothara. Jego też zdradził, po-
dobnie jak później po wielokroć
zdradzał tych, którym służył,

ponieważ kochał się w awantu-
rach, intrygach i spiskach. Lu-
dwik Teutoński nazwał go ogra-
mą sumę za jego głowę, ale
w odpowiedzi podniósł do wal-
ki Obodrytów i także ich zdra-
dził, ponieważ tajny wysłannik

Lu dwika spytał go o złoto. U-
ciekł do Jumna, gdzie poznał
dziwkę klasztorną z Brabancji
i na prośbę księcia Hoka po-
jął się do podróży do księżnej
Helgundy i dać jej siebie oraz

czterdziestu wojowników. Czy
słyszał o Piastunie? Tak. W
Jumnie mówiono, że jest nim
jakis klauisni szaleniec, który
postanowił stworzyć własne

państwo. I zrobił to, wypędza-
jąc Helgundę, każąc moim
i wywysysając prostacków. Ma-
rzyło się Fulce, że pokona owe-
go szaleńca przy pomocy wojsk

Karakas, a wtedy weźmie i
Helgundę i to nowe państwo u-
czyni własnym. Czy możliwe,
że ów nagi człowiek był Pia-
stunem, bezbronnym, sam je-
den, upokorzył Fulkę, który

przewodził czterdziestu zbroj-
nych. Jakże teraz pokona owe-
go Piastuna, jeśli tamten sta-
nie naprzeciw niego nie nagi i
bezbronny, ale na czele swo-
ich wojsk? I czy możliwe, że

jest na świecie ktoś okrutniej-
szy od Fulki, ktoś sprytniejszy
i waleczniejszy, jeszcze więk-
szy awanturnik i obieżyświat?

Widział Fulko leżące na pia-
sku i obmywane wodą, rzeki
obdarł już do naga ciało wo-
jownika, który uderzył Piastu-
na. Czy to nie dziwne, że wy-
starczyło jedno słowo tamtego

człowieka, aby spełniono jego
rozkaz, choć on, Fulko, czynił
tego nie chciał? Tamten czło-
wiek mówił coś o majestacie i
o władzy Fulko pomyślał, że

podobnie jak tego trupa na
brzegu obdarł już do zbroi i
odzieży, tak tego obdarł do
majestatu grafa i z władzy nad
ludźmi.

Nie wiedział Fulko, że ów
człowiek jest zaledwie o kilka-
set metrów od niego, w lesie.
I że wreszcie odnalazł swego
białego ogiera, przebrał się w
strój Piastuna, wskoczył na
siodło i pognął w kierunku Le-
stków.

Do Fulki podszedł wojownik,
który przed chwilą zabił tego,
co dzielił białym nagim.

— Bóg Rzki powiedział pra-
wę, panie. Szukałeś brodu
przez rzekę. Po co? Aby nas
zaprowadzić do Krainy Zmar-
łych?

I pokazał dłonią drugi brzeg
rzeki, gdzie z lasu wylaniały
się setki żołnierzy Pałuki i w
trzęcinach nadrzecznych trwał
ruch: zsuwano na wodę dzie-
lątki tratw z bali drzewnych.

Ale nie wydawało się, aby to
wojsko miało zamiar przepra-
wiać się na drugą stronę. Tak
było w istocie, gdyż Pałuka o-
trzymał rozkaz, aby przysta-
wić tratwy dla przeprawy ar-
mii Dagona.

— Oni czekają na Piastuna
— domyśliła się Arne. — A to
znaczy, że za naszymi plecami
też są setki wojowników.

Powiedziała to w języku Te-
utonów. Ale podobnie chyba
myśleli żołnierze Fulki.

Nagle pięciu wojowników o-
toczyło Fulkę, obezwładniło go,
odebrało mu miecz i nóż.

— Bóg Rzki żąda jeszcze je-
dnej ofiary — powiedział ktoś
z nich.

— Jakiej?
— Twojej głowy, panie. Mój
miecz jest ostry i nie będzie
cię bolało.

— Arne, przemów tym lu-
dziom do rozsądku. Jestem
chrześcijaninem i wiem, że
rzeka nie ma żadnego Boga.

Arne wzruszyła ramionami:
— A jednak będzie lepiej je-
śli umrzesz. Bez ciebie Piastun
może nam okazać łaskę.

— Dziwka! — wrzasnął Ful-
ko. — Czy nie rozumiecie, że
beze mnie pójdziecie do Krainy
Zmarłych. Jeszcze jest dość
czasu, aby stać uciec, bo woj-

sko znajduje się po drugiej
stronie rzeki.

Lecz kiedy rozjaśnił się wo-
kół siebie, zobaczył, że za ich
plecami na skraju skarpy stoi
ponad pięćset konnych wojo-
wników w białych rycerskich
płaszczach i błyszczących pa-
nierzach. Człowiek, którego u-
znali Bogiem Rzki znajdował
się wśród nich na białym ko-
nieniu, polyskiwał złotawo kamie-
nem przepaski na jego włosach i tak
samo polyskiwała w słońcu
drogocenna zapinka na prawym
ramieniu.

— Darujcie życie grafiowi
Fulce, ponieważ widzę trupa
człowieka, który podniósł na
mnie rękę — powiedział do
nich Piastun z wysokości skar-
py i grzbietu swojego ogiera.

— Daję wam też wybór: służ-
bę u mnie lub drogę do Krai-
ny Zmarłych. Ja bowiem je-
stem Dago, Pan i Piastun, któ-
remu Ludwik Teutoński dał
złoty łańcuch i tytuł hrabiego,

ale je odrzuciłem ze wzdę-
ciem, ponieważ nie zwykłem służyć
obcym królom. Zrodziła mnie
zwykła kobieta, ale poznał mnie
olbrzym, dlatego zabiłem nie-
zwykłego hrabiego Nibelun-
ga, a potem zdradziłem go

hrabiego Fredegara. To ja zni-
szyłem Smoka, który nękał
Ludzi Wolnych. I to ja stworzy-
łem tutaj potężne państwo Po-
lan. Zwyciężyłem Pomorców, a
także Estów. Również i inne
ludy podbiłem i uczyniłem własnym
ludem. Zawsze płaciłem dobrem
i sprawiedliwością i zawsze od-
płacano mi złem za dobro. Oto
na oczach setek moich żołnie-
rzy rozsielano ciało księżnej
Helgundy, ale księżę Karak wy-
nalazł jakąś kobietę i nazwał
ją Helgundą, roszcząc sobie

prawo do tronu Popiołowo-
sych. Czy w sprawiedliwej
sprawie posłał was tutaj ksa-
żę Hok? Czy chcecie służyć
prawdzie czy kłamstwu. Uczy-
łem się u cesarza Rhomajów
sztuki rządzenia ludźmi, posia-
dłem nauki wojne od rozumu
i zależne od rozumu, nikomu
z was nie uczyniłem krzywdy,
a jednak smagnięto mnie tutaj
batem. Dlaczego?

Milczeli. Przeraziła ich tak
nagle odkryta potęga Piastuna,
o którym myśleli, że jest jak-
imś nic nie znaczącym wodzem
plemiennym.

— Okaż im, panie, łaskę. Nie
znali cię przecież — wstawiła
się za nimi Arne.

Upomniał ją Piastun:
— Zamierz, kobieto. O twoim
tytule zadecydujemy później,
teraz rozmawiam z mężczyzna-
mi.

I zwrócił się do kogoś w tłu-
mie otaczających go rycerzy.
— Wystąp, Spicimirze, który
rozumiesz nie wypowiedziane
przez mnie słowa i rozkazy.

Uczył to, o czym myśleł.

Na krawędź skarpy wyjechał
wojownik niskiego wzrostu, z
garbem na piersiach i twarzą
pooraną bliznami. Miał złoco-
ną kołczugę i biały płaszcz o-
raz długi miecz frankoński.

Mógłby wzbudzić śmiech swoją
pokraczną sylwetką, gdyby nie
jego oczy — niezwykle przeni-
kliwe i o groźnym wejrzeniu.

— Złóćcie broń — rozkazał
Spicimir.

Ociągając się rzucili miecze,
łuki, tarcze i topory pod pia-
szczysty nawis skarpy rzecznej
i wracali do swoich koni. Fulko
zrobił to jako ostatni, ale gdy
chciał wrócić do konia, za-
trzymał go rozkaz Spicimira:

— Ty, hrabio, pozostaw tak-
że swój hełm z pawimi pióra-
mi. Nie godzi się, abyś z na-
krytą głową stał przed Piastu-
nem.

Aż zatrząśło hrabia Fulko z
bezsilnej wściekłości. Nikt go
tak dotąd nie upokorzył, a
przecież przeszedł on w swym
życiu już niemało. Posłusznie
zjął jednak hełm i rzucił go
na stos broni, gdyż nie chciał
pójść do Nawli.

Spicimir oświadczył:
— Wynajął was księżę Hok,
abyście przeszli przez kraj Pia-
stuna i dopomogli Lze-Helgun-
dzie w odzyskaniu tronu Popio-
łowskich. Jesteście więc jako
te psy, które gryzą z rozkazu
tego, co trzyma łańcuch. Na-
sze prawa mówią, że ten, kto
pomaga Lze-Helgundzie i go-
dzi w Piastuna, zasługuje na
stryczek. Ale wy nie znacie
naszych praw. Tedy słysząc nie
wypowiedziane przez Piastuna
rozkazy, powiadam wam, że
możecie wybrać: powrócić wol-
no do Jumna albo stać się
psami łańcuchowymi Piastuna.

Nie dotyczy to jedynie hrabe-
go Fulki.

— Dlaczego? Ja też chce
mieć możliwość wyboru — zawo-
łał hrabia. — Tak samo jak
oni zostali wynajęty przez
Hoka.

— Ty, hrabio, zagrasz z Pia-
stunem w zaczarowaną grę. I
to po dwakroć. Reszta zaś bę-
dzie wybierać. Kto przejdzie
przez narysowany na piasku

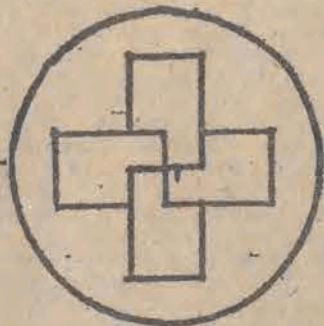
Arne

ZBIGNIEW NIENACKI

(2)

tajemny znak Piastuna i oka-
że się, że służył dla niego,
żywym zostanie i będzie mu
służył. Kto okaże fałsz i zdra-
dę, zginie. Kto nie zechce
przejść przez znak, niechaj
bezbronny wraca do Hoka.

Zeskoczył Piastun ze swego
białego ogiera, a potem na pia-
sku nadbrzeżnym narysował o-
strzem swego noża:



Spicimir dał ręką znak i wszy-
scy najmiści zaczęli przechodzić
przez magiczny znak na pia-
sku, starając się go nie nade-
pnąć. Ich serca pełne były lę-
ku, ponieważ wierzyli w magi-
czną moc wszelkich znaków.

Otoczając ich świat rzucił się
nie znanymi im prawami, wy-
pełniały go duchy tych, co
umarli i tych, co się mieli na-
rodzić, a jedyną obroną i języ-
kiem porozumienia z niedostrze-
galnymi siłami były czary.

Jeden z najmiłotów nadeptał
na krawę wyrysowany nożem
Piastuna i wtedy Spicimir błys-
kawicznie wyciągnął miecz z
pochwy i pchnął go w brzuch.

— Tyś był zdrajcą! — za-
krzyknął.

A kiedy tamten chwycił się
za brzuch i upadł na ziemię,
Spicimir uciął mu głowę tak,
jak to robił z innymi.

Teraz najmiści zaczęli kolejno
knieć przed Piastunem, a on
na ich głowy kładł pole
swego wyszarzonego białego
płaszcza i mówił:

— Biorę cię w swoje piasto-

wanie, otrzymasz moją opiekę,
złotą, strawę i kobiety.

— A ja? — zapytał Fulko.
— Zaczekaj do zmroku — od-
parł Spicimir.

Do nocy było jednak jeszcze
daleko. Mimo to zapalono og-
niska tak po jednej jak i po
drugiej stronie rzeki, wojsko
Pałuki i wojsko Piastuna roz-
mawiało ze sobą nakrywając
ogniska płaszcami lub je od-
krywając przez co dym nagie
znikał lub się ukazywał na nie-
bie. Potem ponad trzydzieści
tratw przedostało się na pra-
wy brzeg Noteczy, posadzono
na nie niewolników i niewol-
nice, które odpłynęły na lewy
brzeg. Wojsko Piastuna miało
się przepawić dopiero nazaj-
tuz. Żołnierze położyli się
przy ogniskach, najmiłot
zwrócono broń i też im pozwo-
lono zasnąć przy własnych og-
niskach.

Arne i graf Fulko siedzieli
osobno, tylko we dwoje. Oby-
dwaj milczeli, zastanawiając
się nad zadziwiającą zmienno-
ścią własnych losów. Przypa-
dali się ruchliwej krzątającej
żołnierzy, tratwom, ogniskom
po obydwu stronach rzeki.

— To zadziwiające — ode-
wał się w końcu Fulko — że
Hok, Obodryci i Wilkowie tak
lekceważą siebie wleści o owym
Piastunie. Nie mają pojęcia, że
jest tak dobrze zorganizowany
i ma potężną armię. Pewnego
dnia spadnie na nich jak orzeł.

Widziałas tego białego pta-
ka, którego noszą na tarczach? To
właśnie jest orzeł. Co oni ze
mną zrobią?

— Zagrasz z Piastunem w
zaczarowaną grę — wzruszyła
ramionami Arne.

— Nie cie nie obchodzi mój
los, choć mówiłaś, że mnie ko-
chasz i żyć bez mnie nie mo-
żesz. Wydaje ci się, że swoim
tyłkiem uratujesz życie. A może
on odda cię swoim żołnierzom?

— To możliwe — westchnęła.
— Od pierwszego chwili, gdy go
ujrzałam nagiego na drzewie,
przeczuwałam w nim jakąś
niewidzialną siłę. Aż pali mnie
podbrzusze, tak go pożadam.

— Jesteś zwykłą dziewczyną.
— A ty? Jesteś dziwką woj-
ny.

Zapadał zmierzch. Arne wsta-
ła, przeciągnęła się i ruszyła
brzegiem rzeki poszukując og-
niska, przy którym siedział
Piastun. Nikt jej nie zatrzy-
mywał ani nie zaczepiał. Żoł-
nierze byli syci kobiet, gdyż
mieli wiele niewolnic, które
właśnie odsyłali na drugi brzeg.

Ta kobieta nosiła miecz u bo-
ku i może dobrze nim włada-
ła. Stała się zresztą własnością
Piastuna, gdyż wszystko pozos-
tawiało jego własnością, zanim
łupów nie rozdał między żoł-
nierzy.

Piastun siedział przy ogniu
i jadł kawałek pieczonej woło-
winy. Na białych włosach po-
lyskiwał mu jak gwiazda zło-
ty kamień.

— Czego chcesz? — zapytał
ją, gdy zbliżyła się do ogniska.
— Ciebie, panie. Widziałam
twoje przyrodzenie i od tej
chwilii aż pali mnie moje łono.

— Odejdź — rzekł twardo.
— Tej nocy będę grał z Fulką.
To zaczarowana gra i wymaga
czystości. Miał cię już zbyt
wiele i dlatego mógłbym się
zbrukać.

Wzruszyła ramionami:
— Iu ludziom, panie, poda-
wałeś rękę, a przecież nie sta-
łeś się przez to brudny. Wie-
lu wchodziło w moje łono, ale
mężczyźni jeszcze nie miałam.
Dlatego czuję się czysta.

Spojrzała na nią z zaciekawie-
niem. Twarz miała o jasnej
cerze i małych ustach. Była to
twarz dziecka. Jasne długie
włosy równo leżały na jej ra-
mionach, przypominał sobie jej
nie duże piersi, paski brzuch,
smukłe uda i mocno owłosione
łono, co w jego wyobraźni
świadczyło o namietności. Gdy
siedział nagi na drzewie, wy-
dała mu się ładna. Teraz —
piękna.

— Ile masz lat? — zapytał.
— Osiemnaście.

— Dam ci najpierw Spicimi-
rowi. On cię wypróbuję.

To nie ma znaczenia, pa-
nie, kto mnie wypróbuje. Otrzy-
małaś to, co może mu dać każda.
Ty zaś dostaniesz to, czego nie
dała ci żadna inna.

— Skąd wiesz?
— Po prostu: wiem.

Dago skinął ręką na siedzą-
cego przy drugim ognisku żoł-
nierza.

— Odpędźcie stąd tę kobietę.
Dajcie jej też i pić, ale niech
śpi daleko ode mnie.

Żołnierz wstał od ogniska,
ale ona odeszła sama. O kilka-
dziesiąt kroków rzuciła się na
trawę w lesie i zaczęła bezgło-
śnie płakać, chyba po raz pier-
wszy w życiu z prawdziwego
żalu i pożądania. Nikt jej tak
nigdy nie upokorzył.

To dla niej biskup stracił łaski arcy-
biskupa. To dla niej pojedynko-
wali się rycerze. Za noc z nią
spędzoną płacono w Jumnie
złoty numizmatami. Jeśli
chciała, mogła mieć każdego.

Nawet Fulko tarzał się u jej
stóp, błagając, żeby mu się od-
dała z dobrej woli. Bo tylko
gdy naprawdę chciała, potrafiła
się oddawać i kochać do utraty
przytomności. Jako dwunasto-
letnia dziewczynka namówiła
do miłości swego ojca, a potem
oskarżyła go o gwałt, za co mu-
siał iść do kościoła w worku
pokutnym, bez miecza, w ka-
putrze. A raz zakosztowała
z nią rozkoszy, błagał ją potem
o następną miłosną uciechę, ob-
sypywał złotem, rabował dla
niej po gościach, a wreszcie
gdy mu zdecydowanie odmówi-
ła — powiesił się. Sześć lat już
się kochała z różnymi mężczy-
znami, była nalożnicą starego
księcia Hoka, dla niej zabił
własne żony i ją chciała uczynić
księżniczką. Wolała jednak u-
ciec z Fulką, ponieważ wyda-
wał się jej podobnym do niej,
także spragnionym zmiany i
przygód. Pierwszy raz ktoś nią
pogardził, a ona — zamiast od-
czuwać do tego człowieka nie-
nawiść — pragnęła go jeszcze
mocniej.

Rozpalono duże ognisko nad
rzeką. Zawołano tam Fulkę,
przyszło wielu żołnierzy, a
także nadszedł Piastun. Żar od
ognia już na odległość palił
twarz.

— Grafi Fulko. Ten tylko
ma prawo władać innymi ludź-
mi, kto posiada sztukę seidr.
Oto rzucam do ogniska złoto-
go solidę. Wyjmij go z żaru
gołą dłonią, a będziesz wolnym.
Jeśli ja to uczynię, ty zosta-
niesz moim niewolnikiem.

To mówiąc Dago rzucił złotą
monetę w środek ogniska, tam,
gdzie był największy żar.

— Nie — odparł Fulko. —
Nie wyjmę tej monety, gdyż
żar spalił mi twarz i dłoń.

Spicimir podał Dagonowi
misę pełną jakiejś gęstej cie-
czy. Dago umazał w niej swoją
dłoń, która stała się czarna.
Pomazał ową cieczą swoją
twarz, która również zrobiła
się czarna. Wówczas pochylił
się ku ognisku i wyciągnął z
żaru złotą monetę. Przez chwi-

lę podrzucał ją na otwartą
dłoń, a potem cisnął na pia-
sek.

— Jesteś moim niewolnikiem,
Fulko — oświadczył. — Mam
w tej chwili moc, aby każdego
człowieka zmienić w węże, w
wilka, konia lub żubra. Mogę
też uczynić z ciebie robaka i
zdeptać jak robaka.

Leśnikowie odsunęli się od o-
gniska. Wiedzieli, że ich wład-
ca zna sztukę czarów, słyszał
o tym od wielu. Teraz jednak
byli świadkami czegoś tak nie-
zwykłego, że ogarnęło ich prze-
rażenie.

Fulko słyszał, że na wscho-
dzie tamtejsze ludy znają wie-
le tajemnic i posługują się
czarami, które darował im szan-
tan, Pan Ciemności. Teraz czuł
się już jak martwy. W ustach
miał dziwną suchotę, język był
jak z drewna. Z trudem wy-
bełkotał:

— Miał być dwie gry, pa-
nie...

Piastun poszedł do rzeki, u-
mył w niej dłoń i twarz z
czarnej mazi, która je pokry-
wała. Spicimir wylał na ziemię
czarny płyn z naczyń.

— Kłękni — rozkazał Pia-
stun grafiowi Fulko.

A kiedy tamten kłęknił i po-
chylił głowę, oświadczył uro-
czyście Dago:

— Oto niewolnika, Fulko,
czynie człowiekiem wolnym. Czy
potrafisz to samo? Uczynię
mnie niewolnikiem, a potem
wolnym? Ogień, który tu pło-
nie i z którego wyjąłem złotą
monetę, spalił wszystkie
twoje przysięgi dla księcia
Hoka. Odtyd będziesz dowodził
swoimi dawnymi ludźmi w mo-
jej służbie. A jeśli zrobisz choć
jeden zły krok, zrodzi się w to-
bie choćby myśl o zdradzie, po-
chłonę cię ogień.

Sklonił się Dago ognisku i
odeszł już bez słowa, a Fulko
stał jak martwy. Zdumienie i
przeżalenie odebrały mu wszel-
kie siły, nie był w stanie po-
ruszyć ani ręką, ani nogą. Og-
nisko rozpalalo się coraz bar-
dziej, sęgało mu już do stóp,
zaczęła się na nim tlić odzież,
a on tak stał ciałem jak ska-
mieniał, aż jego własni żoł-
nierze w pewnej chwili rzucili
się na niego, odciągnęli od o-
gniska i zagasiili tliące się na
Fulce ubranie.

Znowu usiadła obok niego
Arne.

— Zostaw mnie samego —
poprosił Fulko. — Nie należysz
do mnie. Nie już do mnie nie
należy.

Odeszła, znowu odrzucona i
nikomu niepotrzebna. Ale już
nie płakała.

Do północy siedziała w lesie,
oddalona od ogniska i pogwa-
ru wojskowego obozu. Raptem
obok niej zaszaleły liście,
trzasnęła sucha gałązka i wie-
działa, mimo ciemności, że jest
przy niej Piastun. Milczący i
nieruchomy stanął obok niej
jak gdyby na coś czekając. Wie-
działa, że przyszedł tu po mi-
łość. Wstała z ziemi i zaczęła
pośpiesznie zrzucić z siebie o-
dzież. Naga przytuliła się do
Piastuna, zarzucając mu ramio-
na na szyję.

Powiedział jej półgłosem:
— Słyszałem od Fulki, że
twój ojciec oszalał dla ciebie
z miłości i wreszcie się powie-
sił. Słyszałem też, że pewien
biskup stracił przez ciebie pa-
stora i infule. Oszalał dla cie-
bie księż Hoka i pozabijał swo-
je żony, ale ty wolałaś uciec
w świat razem z tym awantur-
nikiem.

— To prawda, panie — cało-
wała jego twarz, nie śmiejąc
jednak dotknąć wargami jego
ust, ponieważ wciąż mówił do
niej:

— Przestrzegano mnie, że mi-
łość może opanować człowieka
tak samo mocno jak szaleństwo.
Sądze, że znasz sztukę miłos-
nych czarów. Uczyla mnie je-
dnak olbrzymka Zely jak się
przed takimi czarami ochronić.

To powiedziawszy odwrócił ją
tyłem i wszedł w jej zad w
najbardziej obrzydliwy sposób,
gardząc jej kobiecym sromem.
Stęknęła z bólu, lecz on nie
zwrócił na to uwagi, głaszcząc
jej plecy o ciele tak delik-
tajnym jak najszlachetniejsza ma-
teria z kraju Serów. A zaspo-
koitwszy żądze odszedł tak sa-
mo cicho jak nadszedł. Ona
zaś, naga i dygocząca od chło-
du, usiadła i położyła dłoń w
miejscu, gdzie mocno biło jej
serce. Nikt jej tak nigdy nie
wziął, nie obraził jej kobiecej
dumy, a przecież nie umiała
przed sobą skłamać, że sprawi-
ło jej to zadziwiającą przyjem-
ność.

Fragmenty drugiej części II to-
mu „Dagome Index”.



Rys. Janusz Brymański-Glane

Urządzono polowanie na nas. Byliśmy w pewnej sprawie w pobliżu Mińska. W nocy zaczął lać deszcz. Do rana przeszliśmy z lasów Archieryjskich do lasu Starosieleckiego.

Zrobiliśmy dniówkę w lesie, w pobliżu traktu na 19 wiorstę do Mińska. Zmokliśmy do ostatniej nitki. Niedługo przed południem deszcz ustał i roznieśliśmy ognisko, aby się ogrzać i wysuszyć rzeczy. Dym ogniska mógł zdradzić, lecz nie zwracaliśmy na to uwagi. (...)

W pewnym momencie w pobliżu naszej kryjówki przeszło dwóch pastuszków. Chłopcy zatrzymali się na chwilę, zerkając ciekawie ku nam.

— No, czego tam? — krzyknął do nich Grabarz. — Szorujcie dalej!

Pastuski pośpiesznie zniknęli w krzakach. A za godzinę czasu (ja wówczas wysuszyłem ubranie i stałem na warcie) posłyszałem w lesie jakiś szmer. Obróciłem głowę w lewo i nagle spojrzenie moje przelotnie się spotkało ze spojrzeniem patrzących ku mnie z gęstwy krzaków oczu. Pozałem dostrzegłem czarną skórzaną czapkę z czerwonym, pięciopięciennym, emalowaną gwiazdką. Wiedziałem, że jestem obserwowany, więc nie okazałem zaniepokojenia, tylko odbezpieczyłem rewolwer i postawiłem nogę w ognisko. Koledzy, zdumieni, spojrzeli na mnie. Ruchami rąk pokazywałem im, aby przeczekać. Zrobili to nie tracąc ani chwili czasu, lecz nie ukazywali się z ukrycia. Wskazałem im drogę w kierunku pobliskich krzaków. A tam rozlegały się coraz wyraźniejsze szmery i przytłumione szepciska. Słyszałem je z prawa i z lewa. Nagle w pobliżu szczytów krótko pisał. Wówczas się pochyliłem i szepciskiem do chłopaków:

— Granatyl! Zryw!

Koledzy odbezpieczyli sześć francuskich, odpornych granatów i dali mi dwa. Wówczas rzuciłem jeden granat prosto w grupę krzaków, przed siebie. Obróciłem się i drugi trochę dalej. Szczer i Grabarz, w tej chwili, rzucili granaty w prawo i w lewo. Po kilku sekundach granaty zaczęły eksplodować. Las zadymiał. W powietrzu poleciały fontanny ziemi. Trzeszczały gałęzie drzew. Rozległy się krzyki i tupanie uciekających ludzi. A my natychmiast poszliśmy ku zachodowi. Staraliśmy się nie sprawić hałasu.

Dłuższy czas panowała cisza, a potem padł strzał karabinowy. Następnie rozpoczęła się gęsta strzelanina. Nie odpowiedziałem ani strzałem i wciąż podążałem naprzód. Po pewnym czasie z tyłu rozległo się szczykanie psa.

— Niedobrze! — rzekł Szczer. — Tropią nas z psem, a do wieczora daleko...

— Żeby była terpentyna albo amoniak, można by wyłazić z niego. Skower nie poszedłby daleko za nami. A teraz marnie! — powiedział Grabarz.

Zbliżaliśmy się ku brzegowi lasu. Przed nami rozciągały się daleko otwarte pola. Do granicy było 12 wiorst, do najbliższego lasu, prowadzącego ku granicy, przeszło 4 wiorsty, a zmierzchni powinni być nastąpić nie wcześniej jak za 3 godziny, więc wyjść z lasu w pole było zbyt niebezpieczne.

Poszliśmy skrajem lasu ku południowi. Przedostaliśmy się na drugą stronę traktu i środkiem lasu zawrócili na wschód.

(...) Szedłem pierwszy. Aby nie gubić kierunku i nie przedłużyć drogi, prowadziłem kolegów podług busoli. Zbliżaliśmy się do brzegu lasu. Stąd było widać Stare Sioło i jadące traktem wozy. Skreśliłem na północ. Znalazłszy dogodną chwilę, gdy nie było nikogo w pobliżu, przeszliśmy na drugą stronę traktu i znaleźliśmy się w tamtej części lasu, z której wycofaliśmy się przed godziną. Byliśmy teraz na tyłach oblavy, która posuwała się powoli naprzód o dwa kilometry przed nami.

Mijamy nasze, wygasające, ognisko. Widzimy leje, które wyrzyły w ziemi granaty. Od tego miejsca kierujemy się na północ, a potem znowu podążamy ku zachodowi — w ślad za oblavą. Coraz wyraźniej słyszymy szczykanie psa i hałas, sprawiany przez idących przed nami ludzi. Słyszymy, że oddalają się na południe, — przeszli trakt. Wówczas zbliżyliśmy się ku brzegowi lasu i tu zatrzymujemy się. Znowu widzimy przed sobą pola... A do zmierzchu jeszcze 2 godziny.

Nie idziemy już po raz drugi dookoła po lesie, bo wiemy, że spóstrzeżenie nasz wybieg i zrobienie zasadzki lub skierują oblavę w tył, a sądząc z poprzednich strzałów karabinowych i sprawnego hałasu, mają znaczne siły. Zaczynamy się w grupie krzaków w pobliżu brzegu lasu i czekamy. Mamy w pogotowiu granaty i rewolwery... Czas wlecieć się nieskończenie... Do wieczora daleko...

Po upływie godziny oblawa obeszła wokół po lesie i znowu zaczęła się zbliżać ku nam. Co parę minut rozlegało się szczykanie psa.

— Ja tego skowra sprzątnę! — mówi Grabarz ze złością. — Wy zaczekajcie tu.

Wsuwa rewolwery do kieszeni i odbezpiecza 2 granaty. Potem idzie lasem naprzeciw zbliżających się ku nam ludzi.

Przez kwadrans panuje cisza. Oblawa jest coraz bliżej. Nagle rozlega się wybuch granatu i przewala się daleko po lesie... Drugi wybuch. Pies zamknął. Zupelna cisza... Potem zaczyna gnać karabiny. Za parę minut zbliża się ku nam Grabarz.

— Trafieś skowra? — pyta go Szczer.

— Nie wiem. Ale oni wstrzymują się na pewno. Do zmierzchu jeszcze przeszło godzina czasu.

Wychodzimy w pole. Nie można czekać w miejscu, aby nie dać się otoczyć. Szybko podążamy prosto ku czerniejącemu w 4 wiorstach od nas lasowi. Gdy przemierzaliśmy trzecią część drogi, z tyłu rozległy się strzały. Obiecaliśmy się. Polem biegli ze nami żołnierze z karabinami w rękach i, zatrzymując się od czasu do czasu, strzelali do nas. Poszliśmy jeszcze przed.

W połowie naszej drogi leżała wieś. Chcąc skrócić sobie drogę, aby mieć równe szanse z naszymi przeciwnikami, którzy na pewno pójda przez wieś, weszliśmy w wąską, tonącą w błocie ulicę Broni nie chowaliśmy. Mieliśmy w rękach granaty i rewolwery.

Posrodku wsi stał tłum ludzi. Jakies zebranie. Tłum otaczał jakiś wóz, na którym stał jakiś mężczyzna i, ożywienie gestykulując rękami, coś do nich przemawiał. Nagle ktoś z tłumu dostrzegł nas. Coś krzyknął! Wszystkie spojrzenia obróciły się w naszą stronę. Nie zwracając na to uwagi szybko podaliśmy naprzód. Wtem mężczyzna, który przemawiał do zebranych na ulicy ludzi, zeskoczył z wozu i pobił na pobliskie podwórko. Szczer przeraźliwie krzyknął:

— Trzymaj!

Grabarz kilka razy gwizdnął na palcach.

Tłum zaczął topnieć. Ludzie rozbiegli się na wszystkie strony. Idąc dalej pustą ulicą, widzieliśmy tylko, gdzieś tam, ukrytymi wyglądających z okien mieszkań i zza rogów chat, ludzi.

Wypadliśmy na drugi koniec wsi i poszli na przełaj przez pola. Z dala nieustannie rozbrzmiewały strzały ścigających nas żołnierzy, którzy chcieli w ten sposób zaalarmować ludność wsi, aby nas ścigano, lecz narobili jeszcze większego popłochu i osłabli jedynie to, że chłopcy się pochowali, gdzie kto mógł.

Wreszcie dotarliśmy do lasu, który zalegał już wieczorne cienie.

— Możemy zaczekać tu na nich — powiedział Grabarz, stając na ściętym pnju brzozy. — Widzę, że im bardzo pilno do piekła...

2.

Teraz już nikt z nas nie może swobodnie się ukazać w miasteczku. Idziemy tam po większej części wszyscy razem i tylko wieczorami Szczer przemyka się do mieszkań swych informatorów i zbiera od nich wiadomości o pracy powstańców, o różnych zajęciach na granicy, pograniczu i w miasteczku. Potem idziemy razem do sklepów i kupujemy potrzebne dla nas rzeczy. Parę

razy poznawano nas, lecz nikt nie miał śmiałości wejść nam w drogę lub donieść natychmiast na policję. A później wymyśliliśmy się z miasteczka i szli na melinę do gorzelni w Pomorze, szczytnie lub w okoliczne lasy. Częściej w lasy — tam było nam najbezpieczniej.

Znowu straciliśmy parę dni na zeronie w jedno miejsce i przeniesienie do pasera zebranych i ukrytych w różnych miejscach towarów. Zarobiliśmy sporo. Pieniądże już nie cieszą mnie. Jaka różnica: ile ich posiadam, jeśli nie mogę kupować za nie wszystkiego, co mi się podoba. Składam większą część ich, przeważnie złoto i drobniejsze banknoty, do naszego banku — w dziupli starej lipy.

Wczoraj Szczer poszedł sam do miasteczka. Czekaliśmy na niego na cmentarzu. Przyniósł kilka flaszek spirytusu, sporo jedzenia i powiedział do mnie:

— Jest dla ciebie nowina.

— Jaka?

— Tylko ty się nie przejmuj tem... Jutro, w niedzielę, będę Feliną żarczyną.

— Nie może być... A z kim?

— Zgadnij.

— Nie mogę się domyślić.

Szczer krzywo się uśmiechnął i wycedził powoli:

— Z pa-nem Al-fre-dem A-liń-czu-kiem...

Zaniemówiłem. Szczer spostrzegł, jakie to wywarło na mnie wrażenie i rzekł:

— Mnie też to, bracie, przeraziło. Rozmyślałem nad tem długo... Bardzo długo... Tak sobie medytowałem: czy to może być, aby taki szkop wziął siostrę Saszki i korzystał z posagu, któ-

Zielona granica, granaty, strzelanina — czyli niemal western, choć dzieje się na Wschodzie.

Zareczyny Felicji

SERGIUSZ PIASECKI

Nie zostałby pewnie Sergiusz Piasecki pisarzem, gdyby nie jego pobyt w więzieniu. Tam bowiem napisał swoją najgłośniejszą książkę pt. „Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy”. Rękopis z więzienia na Świętym Krzyżu wysłał do Melchiora Wańkowicza, który zachwylił się piśmiem i stał się gorącym zwolennikiem jego uwolnienia. Zabił Wańkowicza oraz kilku innych pisarzy przyniosły efekt i Sergiusz Piasecki odzyskał wolność. Ale zanim to nastąpiło w roku 1937 w wydawnictwie „Rój” ukazał się „Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy” ze wstępem Melchiora Wańkowicza. Książka szybko zdobyła dużą popularność i do 1938 roku ukazały się jej aż trzy wydania. Po wojnie jednak w kraju nie była wznawiana. Zdobyła natomiast uznanie na Zachodzie. Była tłumaczona na wiele języków. Najwięcej, bo aż 18 razy była wznawiana we Włoszech, gdzie na jej podstawie został nakręcony film.

Zyciorys Sergiusza Piaseckiego sam w sobie mógłby posłużyć za temat ciekawej książki lub filmowego scenariusza. Urodził się w 1901 roku. Jego ojciec był nauczycielem począty w Łachowiczach, matka zaś służącą. Z gimnazjum trafił pierwszy raz do więzienia dla nieletnich za pobicie inspektora i gospodarza klasy. Z więzienia uciekł. Czas rewolucji w Rosji spędził w Moskwie. Później pomagał polskiemu oddziałowi w szajmowaniu Mińska. W 1922 roku został agentem polskiego wywiadu. Przy okazji wielu przebiegł przez granicę ZSRR uprawiając przemyt. Złapany podczas jednej z przemytniczych przepraw dostał się po raz drugi do więzienia w Nowogrodzie, gdzie przebywał przez dwa lata. Następnie został wydany z wywiadu i planując na życie zaczął zdobywać siłę. W 1928 roku za napad na kolejkę został skazany na karę śmierci. Wyrok najprawdopodobniej na skutek zabiegów II Oddziału, został zamieniony na 15 lat więzienia. W czasie wojny służył w Armii Krajowej. Pełnił w Wilnie funkcję szefa komórki odpowiedzialnej za wyroki śmierci. Od 1946 roku na emigracji. Ostał w Londynie, gdzie w dalszym ciągu pisał. Powstało wówczas kilka powieści. Zmarł na obczyźnie w roku 1964.

Drukujemy fragment „Kochanka Wielkiej Niedźwiedzicy” — książki która w 1938 roku ma się ukazać w Wydawnictwie Łódzkim.

ry Saszka za cenę życia swego dla niej uzbierał? ... Tak właśnie myślałem. I powiedziałem sobie: rąbnę go!... A potem ja lepiej rozważyłem sobie i powiedziałem inaczej: nie trzeba i nie można!... I ty to zrozum... A wiesz dlaczego?

— No?

Szczer poprawił palącą się w butelce świecę, a potem uniósł w górę dwa palce i przymrużył oczy. Na twarzy jego wykwitł krzywy uśmiech.

— A dlatego, że oni sobie walcili... Rozumiesz?... Jeśli ona zgadza się wyjść za niego za mąż, chociaż wie, co to za ananas, to... warta go. A on wart jej!... I ples im mordę lizali! A ty pluć i głowy sobie nie zawracaj!... Siostra Saszki nie powinna była tego zrobić, a jeśli to zrobi, to jest zwykłą... ścierką... Ot jak!... Może to i lepiej...

Długo mówiłem. W głowie mi przewalało się mnóstwo myśli. Później uścisnąłem mocno dłoń Szczerą i rzekłem:

— Masz rację!

Szczer skinął mi głową i wesoło błysnął oczami. A trochę później powiedział:

— Wiesz, co ja wymyśliłem?

Pytając spojrział mu w oczy.

— Pójdziemy jutro we trzech na zareczyny Felin... Co?... Nie spodziewają się takich gości. Sama śmietanka będzie. A ty my wpadniesz i składamy życzenia wesołego aleluja dla panielki i dla choluja!... Co wy na to?

— Dawaj! — rzekł wesoło Grabarz. — Pierwsza kategoria!

— Dawaj! — krzyknął i ja (...)

Nazajutrz, późnym wieczorem, udaliśmy się do miasteczka. Do mieszkania Weblinów był wygodny dostęp ze wszystkich stron. Przeleźliśmy przez kilka parkanów i znaleźliśmy się w ogrodzie. Stąd można było wygodnie obserwować cały ruch w domu i na podwórku.

Zaczął padać deszcz i dziedzińiec opustoszał. Przez otwarte, jak skrawo oświetlone okna mieszkania, słyszeliśmy dźwięki gramofonu. Skradłem się pod okna domu i zajrzałem do środka. Zobaczyłem kilkanaście osób, siedzących za stołem zastawionym do kolacji. Fela siedziała obok Alfreda, który coś mówił do niej, przymilnie zaglądając dziewczynie w oczy. Ciągłe się uśmiechał, muskał palcami wąsika, lecz twarz dziewczyny była spokojna i surowa.

Prócz nich zobaczyłem w izbie wszystkich braci Alińczuków, Karola i Zygmunta Fabinich, Aliganta, Słowika, który miał gitarę na kolanach. Pozałem było jeszcze kilku nie znanych mi

mężczyzn, starszych i młodszych, zapewne krewnych Alińczuków i Felin. Z dziewcząt były: Beika, która się pogodziła z Alfredem, Andzia Soldat, kuzynka Felin, Zosia i jeszcze kilka kobiet, znanych mi tylko z widzenia.

Na stole stało sporo wypróżnionych flaszek. Towarzystwo było ułulane, lecz zachowywało powagę. Do mnie zbliżył się Szczer i Grabarz. Zaczęli wraz ze mną patrzeć w okno. Gramofon umilkł. Dostrzegłem, że Lutka Zubik mówi coś Słowikowi. Pewnie prosi go, aby zagrał lub zaśpiewał. Przyglądaliśmy się do niej inne dziewczyny. Spostrzegłem, że Słowik się zarumienił. Poprawił się na krześle, wziął kilka akordów na gitarze i zaczął śpiewać. Lecz śpiewał nie naszą, przemysłową piosenkę, która w rymu układała, a inną, smutną, rzewną:

Step, bezbrzeżny ste-ap...
Serce gniecie za-a-all...
Jak skazańca
Piosenka leci w dal.
Jak skazańca jęk
Piosenka le-e-ci w da-all...

Szczer położył mi rękę na ramieniu.

— Chodź!

Idę wraz z nimi do sieni. Piosenka kończy się. W mieszkaniu przez chwilę panuje cisza. W tym momencie Szczer otwiera szeroko drzwi do izby. Podajemy za nim. Wszyscy obracają ku nam zdumione oczy. Wtem dostrzegam poruszenie wśród Alińczuków. Alfred sięgnął ręką do kieszeni. W tej chwili Szczer błysnął dwoma parabellami, kierując je ku obecnym w izbie ludziom. My również wyjęliśmy broń. Szczer powiedział, zwracając się do wszystkich:

— Przyszliśmy tu w imieniu brata Felin, Saszki. Saszka był moim kolegą, a zmarł u niego na rękach! — wskazał ruchem głowy na mnie. — Więc, gdyby żył, zaprosiłby nas przed, niżli wielu z was, na zareczyny siostry. A kawaler — Szczer się zwrócił do Alfreda — niech uspokoi się i trzyma rączki w porządku, bo zamiast zareczyn zrobimy parę pogrzebów.

Szczer śląda do stołu, pomiędzy odsuwającymi się na bok Lutką Zubik i Zosią, naprzeciw Alfreda. Wszyszcze milczą. Wtem rozlega się głos Felin, która patrzy mi w oczy i mówi:

— O to ładnie, panie Władysławie, z bronią w gości przyjeżdż! — Broni w ręce nie miałem — odparłem jej ponuro. — Wyjaśnim broń dopiero wtedy, gdy Alfred po nią sięgnie, bo wiem, że nawet zza płotu strzelać dla niego nie pierwszyna!

— To dla mnie obraza! — mówi Fela i na czole jej ukazują się długie, płonowa zmarszczka.

— A!... to panna Felicja taka obrażliwa... Nie wiedziałem o tem. Myślałem inaczej, bo widzę, że ten, który rok czasu temu pannę k... nazywał, o czym Felicja dobrze wie, jest teraz jej narzeczonym.

— A co to ciebie obchodzi? — wyrzekł przez zęby Alfred.

Wtrącił się Szczer:

— Bardzo go to obchodzi! Bardzo, bo jest twoim kumotrem!

— A kto was tu prosił? — rzekła Fela.

Wówczas powiedziałem:

— Pani mnie kiedyś zapraszała. Przyszedłem podpity... wysłała mnie pani. Teraz przychodzę trzeźwy, z koleżkami — znowu się nie podoba.

— Z bandytami! — rzucił Alfred.

— Nie z takimi żłobami jak ty, co z zapłotu do chłopaków strzelają, na lewo na policję donoszą z podpolnikami w Sowietach kolegują i chłopaków syplą! — rzekłem do niego.

— Wy sami nikomu pracować nie dajecie! — rzekł Alfred.

— Nie dajemy takim żłobom jak ty! I nie damy! Skończy się dla was złote dno! Wam drwa rąbać, wodę nosić i pociużyć, a nie fatować! — rzekł Szczer. — Przez ciebie zgina! Krucek, przez ciebie zgina! Gwóździ! Ty napuszczasz na nas powstańców. Ty doprowadzasz czekistów. Więc pamiętaj: dla was granica zamknięta i jeśli od dziś dnia złapie którego z was pięciu. — Szczer kolejno tykał przez stół palcem w piersi Alińczuków — za granicą, to rąbnę w łeb! bo granicę zapaskudzasz. I jeśli złapie którego z powstańcami, a ja złapie, to też kości pogruchoczę. Powiedźcie im. A teraz dość gadania. Przyszliśmy tu wypić i życzyć Felin szczęścia. A swoje interesy załatwimy gdzieś indziej.

Szczer wziął ze stołu dużą karafkę i nalał wódki w trzy szklanki: dla siebie, dla mnie i dla Grabarza.

— No, chłopaki, siach! — rzekł wesoło. — Wypijemy za zdrowie siostry Saszki Weblina, króla granicy, Felicji!

Wypiliśmy duszkiem wódkę.

— A teraz, chłopaki szklanki o podłogę! Żeby nikt nie wypił niemi za zdrowie Felicji Alińczukowej, żony Alfreda!

Twarze obecnych w izbie ludzi wyrażały wiele różnych uczuć. Szczer się zbliżył do Słowika, wziął z jego rąk gitarę i powiedział: — Śpiewałem Saszce nieraz. Zaśpiewam siostrze ostatni raz! Szarpnął struny gitary i zaczął śpiewać. Piosenka była bardzo frywolna i komiczna. W sposób humorystyczny opiewała niedolę i ryzyko zawodu przemysłnika. Spostrzegłem na niektórych twarzach, szczególnie u dziewcząt, wesołe uśmiechy. Szczer skończył piosenkę i rzekł:

— A teraz, moi, droga Felu...

— Nie twoja i nie droga! — warknął Alfred przez stół.

Szczer zmrzął oczy i rzekł:

— Że nie moja, to twoja racja, a że droga, to moja racja, bo ma posag, na który się lasisz więcej jak na nią.

— Czuję pies sadiol — odezwał się Grabarz.

Fela porwała się z miejsca.

— Czy panowie długo zamierzacie tu pozostać? — rzekła wesoło, brzydkim głosem. — Jeśli tak, to ja stąd pójdę!

— Nie — odparł Szczer — zaraz idziemy... A na zakończenie chce złożyć pannie Felicji prezent słubny, bo nie spodziewam się aby nas na wesela zaprosiła!... I nie przyszlibyśmy — rzekł od chwilowego milczenia. — Otóż, złota pani nie trzeba, bo Saszka dość go zarobił dla... Alfreda, więc złota nie dam. Dam pani inny prezent, który i Saszka chętnie by przyjął.

Szczer przechylił się przez stół i położył na serwecie przed Felą granat. Grabarz poszedł za jego przykładem. Wówczas rzekłem:

— A ja sprezentuję pani co innego: upominek, który mi kiedyś Alfred posłał. Nie pobiegłem z nim na policję, tylko pokazałem Saszce, a teraz daję pani.

Położyłem obok granatów kulę browninga, która na jesień 1922 roku wyjąłem ze ściany domu Trofidów, po zamachu na mnie.

Wszyszcze milczeli. Fela patrzyła zdumiona oczami na leżące przed nią granaty i kulę. Niektórzy głosie odsuwali się wraz z krzesłami od stołu. A Szczer powiedział:

— No, chłopcy, hajda w drogę! Niech oni tu smrodzą i dzieci płodzą, a na nas czeka czarna noc, czarna ścieżka, zielony las i zielona granica!

Wyszliśmy z mieszkania. Będąc w sieniach posłyszałem głos Alfreda:

— Trzeba na policję!... Cóż to jest?... Toż grandall!... Mamy świadków!...

W następnej chwili rozległ się spokojny, niski, o metalicznym brzmieniu, głos Felin:

— Usiadno, ty... ty... — nie dokończyła.

Wyszliśmy na ulicę i zanurzyli się w ciemnościach listopadowej nocy. Szedłem i wciąż myślałem: „Jaki wyraz rwał się na usta Felin, gdy mówiła do Alfreda? Drogo dałbym za to, żeby się dowiedział! Drogo dałbym!”

W Sekretariacie umiał się wykażać, pamiętał, kto, gdzie, kiedy, na jakim stanowisku pracował, miał w głowie setki nazwisk. Urodzony kadrowiec. W 1930 roku ON zrobił go kierownikiem wydziału kadry KC, i nie pomylił się. W ciągu dziesięciu minut Jeżow dawał wy-czerpującą informację o każdym pracowniku nomenklatury, w tym także o każdym członku Biura Politycznego, dla tego karta nie było autorytetów, dla niego stał partyjny, pochodzenie społeczne, dawne zasługi nie grały żadnej roli. Wszystkie te pojęcia uważane za anachroniczne, nawet szkodliwe, ponieważ dawały im posia-daczowi iluzoryczne prawo do wyjątkowości. Kiedy Jeżow referował materiały dotyczące członków Biura Politycznego, jego fiolkowa oczy stawały się obojętne, dla niego członko-wie Biura Politycznego nie różnili się od osób z nomenklatury. Jako jędrny w Sekre-tariacie nie miał żadnych prywatnych powia-zań, nikomu wcześniej nie znany pracownik partyjny z Kazachstanu, właśnie dlatego nie-nawdził kadry, cementowaną dawnymi oo-wizjami, te szeregi rozciągał bezlitosnie, a-suwając z nich najważniejsze rodziwa, wcielając w życie JEGO politykę rozdzielania ludzi w aparacie. Oczywiście, Jeżow — to samotnik, w walce z potężnymi szeregami walczył o się-bie i swoją pozycję. Niewątpliwie, ślepa nie-nawidź w polityce jest cechą ujemną, przeszkadza w podejmowaniu właściwych decyzji. Ale i ujemne cechy można wykorzystać, Jeżow — to nie „białe rekawiczki”. Jeżow — to „czarne rekawiczki”, ale i one są pożyteczne dla sprawy. Nie dyskutuje, lecz działa, pozba-wiony wszelkich hamulców moralnych, nie li-zący się z względami etycznymi. Z pozoru skromny, jednak próżny, chciałby rządzić ludź-mi, decydować o ich losach, ale sekretnie, ze swoimi gabinetami, ze swoim biurkiem, ze swoi-mi teczkami, ze swoją wszechpotężną kartote-ką. Już praktycznie kontroluje organa NKWD i Jahoda go nienawidzi — tutaj istnieje prze-ciwność. Na Siedemnaście Zjeździe ON wpro-wadził go w skład KC — jedna z niewielu zmian, które mu się wtedy powiodły. Teraz trzeba go wprowadzić do Sekretariatu, żeby miał nadzór nad organami NKWD, sądu i pro-kuratury — wtedy równowaga zapanuje osta-tecznie. Z Jeżowem i Jahodą, dwoma partne-rami, nienawidzącymi się wzajemnie, o ten odcinek można być spokojnym.

Stalin pokazał na krzesło. Jeżow usiadł i położył przed sobą notes. — Jest propozycja — rzekł Stalin — aby zmienić strukturę KC, uzupełnić aparat KC nowymi wydziałami. Kiedy towarzysz Stalin mówił „Jest propo-zycja” znaczyło to, że propozycja pochodzi od sa-mego, Stalina. — Co spowodowało tę propozycję? — Sta-lin jakby samemu sobie zadał to pytanie. — Na nie odpowiedział: — Sądę, że spowodowały ją słuszne racje. Jeżow patrzył w notes, trzymając w goto-wości ołówek. — Wybaczyliśmy wówczas towarzy-szowi Riazanowowi jego postępek — powiedział Stalin — wybaczyliśmy dla-tego, że do tego postępkowi został sprowoko-wany przez Piatakowa. Jednak postępek ten sam w sobie jest oburzający. Aresztować cen-tralną komisję! Nie zdecydowałby się na to żaden z sekretarzy komitetów obwodowych. Ale dyrektor przedsiębiorstwa zdecydował się, nie uzgodniwszy nawet z sekretarzem komitetu miejskiego. Jest to poważny sygnał. Stalin zrobił pauzę. Jeżow, nie podnosząc głowy, pisał. — O czym świadczy ten sygnał? — znowu zapytał sam siebie Stalin. I sam odpowiedział: — Ten sygnał świadczy o tym, że kadra kierownicza przemysłu jest nie kontrolowana. Aparat przemysłowy z aparatu radzieckiego przekształcił się w aparat technokratyczny. Sta-nowi to wielkie niebezpieczeństwo. W tym miejscu Stalin zrobił tę szcze-gólną pauzę, oznaczając, że zaraz wygłosi sentencję-uogólnienie, z którym powin-no zostać zapoznane jak najszybciej audyto-rum. Jeżow skoncentrował się, żeby je do-kładnie zapisać. — Aparat technokratyczny dąży do przeję-cia władzy ekonomicznej, władza ekonomiczna jest władzą polityczną, to elementarna prawda marksizmu. Dopuszczać do ekonomicznej, a co za tym idzie, politycznej władzy technokracji nie możemy, to oznaczałoby koniec dyktatury pro-letariatu. Odczekawszy, aż Jeżow zapisze, Stalin powie-dział: — Niestety, towarzysz Ordżonikidze nie do-cenia tego niebezpieczeństwa. Jeżow przestał pisać wszystko, co dotyczyło członków Biura Politycznego, powinien zap-miętywać, nie zapisywać. — Zresztą, towarzysz Ordżonikidze powtarza błąd wielu naszych czołowych działaczy, którzy wierność swojego aparatu im osobiście biorą za wierność tegoż aparatu partii i państwu. Aparat technokratyczny rzeczywiście jest oddany towarzyszowi Ordżonikidze. A dlaczego nie miałby mu być oddany? Towarzysz Ordżonikid-ze na wszystkie możliwe sposoby chroni ten aparat, broni go, usuwa spod kontroli partii popiera jego autonomistyczne tendencje, sprze-ciwia się aresztowaniu każdego inżyniera-sa-botysty, sprzeciwiał się nawet procesowi Prompartii. Oczywiście w tej sytuacji aparat technokratyczny jest mu oddany. Ale oddany d-czasu, oddany, donosić rośnie w siłę. No, a kiedy już urosną w siłę, obejdzie się bez towarzysza Ordżonikidze. Riazanow aresztował i przegonił komisję powołaną przez Piatakowa. Ale prze-cię Piatakowa — to zastępca towarzysza Ordżonikidze. Gdzie mamy gwarancję, że jutro to-warzysz Riazanow nie przegoni komisji, powo-lanej przez samego towarzysza Ordżonikidze? Przeglądajmy komisję Moskwy, towarzysz Riazanow dokonał aktu politycznego. A dlaczego swojego politycznego kroku nie uzgodnił z kie-rownictwem politycznym w osobie sekretarza Komitetu Miejskiego towarzysza Lominadze? Towarzysz Lominadze osobiście nie jest au-torytetem dla towarzysza Riazanowa? Założmy Ale, jakkolwiek byłby towarzysz Lominadze jednak on stoi na czele organizacji partyjnej a organizacji partyjnej nikomu nie wolno po-mijać...

Kiedy Stalin przestał mówić o Ordżonikidze i przeszedł do Riazanowa, Jeżow znowu zaczął notować. — Towarzysz Riazanow — ciągnął Stalin —

już nie liczy się ani z Moskwą, ani z miejsco-wym kierownictwem partyjnym. Co to ozna-cza? To oznacza, że aparat technokratyczny po-czuł, że jest bezkarny, że się wymknął spod kontroli. Dlaczego? Stalin znowu zrobił pauzę, zapowiadając uogólnienie, Jeżow pochylił się nad note-sem — Aparat gospodarczy — kontynuował Sta-lin — poczuł, że się wymknął spod kontroli dlatego, że nie ma nad nim odpowiedniej kontroli partyjnej. Jaką rolę może odegrać komórka partyjna Ludowego Komitetu Prze-myślu Ciekłego, jeśli na czele Ludowego Ko-misariatu stoi członek Biura Politycznego? Jaką rolę mogą odegrać komórki partyjne w cen-tralach, zjednoczeniach, zakładach i fabrykach, jeżeli naczelniczy zjednoczeń i dyrektorzy zakła-dów są członkami komitetów obwodowych, a nieraz i KC partii, a sekretarze komitek par-tyjnych są w najlepszym razie członkami ko-mitetów dzielnicowych partii? Na tym szcze-blu rola organizacji partyjnych praktycznie równa się zero. Sprawa Riazanowa podpowia-da nam rozwiązanie zadania najwyższej wagi: kontrolę nad działalnością aparatu gospodarcze-go należy zrealizować na odpowiednim szcze-blu partyjnym. Aparat partyjny powinien kontrolować wszystkie aparaty w kraju, w

ANATOLII RYBAKOW

Dzieci Arbatu



tej liczbie i gospodarce państwową, a przede wszystkim aparat przemysłowy, dysponujący najbardziej samodzielną, wykształconą i skuteczną kadra.

Przy słowie „butną” w żółtych oczach Stalina błysnął gniew; po pauzie dodał: — Wszelkie próby stworzenia w naszym kra-ju technokracji powinny być zniszczone w za-rodku, doszczętnie zlikwidowane. Dlatego jest propozycja, aby do obecnie istniejących trzech wydziałów KC dodać jeszcze trzy: przemysłu, rolnictwa i transportu. W ten sposób podsta-wowe gałęzie gospodarki narodowej — przemysł, rolnictwo i transport — będą bezpośrednio po-łączane z Komitetem Centralnym partii. Dzięki temu partia będzie mogła skutecznie pomagać najważniejszym odcinkom gospodarki narodo-wej. Kierownicy tych nowych wydziałów po-winni być działaczami tej samej, a może i większej rangi, niż komisarze ludowi, wtedy mieć będą znaczenie i autorytet. Przygotujcie projekt uchwały o reorganizacji organów par-tii i pokażcie mi. Wyszukajcie kandydatów na stanowiska kierowników nowych wydziałów i też mi pokażcie. Prowadzić każdy wydział bę-dzie sekretarz KC, a może i członek Biura Po-litycznego. Wydział przemysłu, jako najważniej-szy, powinien, bezwzględnie, prowadzić członek Biura Politycznego. Na przykład towarzysz Ki-rowski. Przecież on ma, zdaje się, wykształcenie techniczne. Nawłasek mówiąc, przyniescie mi jego akta personalne.

Stalin wstał. Pośpiesznie podniósł się i Jeżow, zamykając notes i wsuwając do kieszonki na piersi wiecz-ne pióro.

Już stojąc, Stalin rzekł: — Ukarać Riazanowa w tym momencie zna-czyłoby usprawiedliwić prowokacyjną akcję Piatakowa. Ale zasady centralizmu demokra-tycznego nie możemy naruszać, nawet, jeżeli centrum nie ma racji. Niech to rozpatrzy teraz Komitet Obwodowy partii. Niech Komitet Ob-wodowy zażąda wyjaśnień, niech przeprowadzi dochodzenie, a materiały przekaże nam. Incy-dent powinien być odnotowany.

12.

Jeszcze włosną, przed ukończeniem studiów, do Szaroka zadzwoniła Malkowa i kazała za-meldować się następnego dnia rano w wydzia-le kadry Ludowego Komisarjatu Sprawiedliwości.

A więc, jego problem jest rozwiązany. Jeśli przedsiębiorstwo — pięknie, jeśli sąd albo pro-kuratura, to bez wątpienia. Moskwa, inaczej nie wzywaby go do komisariatu ludowego. W instytucie już wszyscy dostali nakazy, pra-cy, i wszystkich porzucił po prowincji.

Następnego dnia o wyznaczonej porze Jura zgłosił się u Malkowej. Kiedy się zjawił, wsta-ła, rzuciła krótko i sucho: — Idziemy!

Przyprowadziła go do małego, prawie nie u-meblowanego pokoju o gołych ścianach, stało tam tylko obskurne kancelaryjne biurko bez szafek, pokryte zielonym, poplamionym atra-mentem, arkuszem brystolu i trzy krzesła. Z sufitu zwisała na przewodzie żarówka bez kla-sza, zapomniany, nie wiadomo do czego prze-znaczony pokój.

Koło metra, dawno nie mytego okna stał niewysoki mężczyzna. Odwrócił się, kiedy we-szli Malkowa przepuściła Szaroka przedem i zaraz wyszła, starannie zamknąwszy za sobą drzwi.

(28)

Za kilka dni zadzwonił Djakow i kazał przy-jechać do Ludowego Komisarjatu Sprawiedli-wości. Przyjechał. Djakow czekał na niego w biurze przepustek. Pojechali windą na trzecie piętro i weszli do tego samego pokoju, gdzie os-tatnim razem przyjmował go Djakow.

Przy oknie siedział i czytał gazetę zwalstły mężczyzna w mundurze z czterema rombami na naszywkach wojskowej bluzy. Naszywki były malinowe — wojska OGPU. Jura skulił się w sobie — zrozumiał, do jakiej pracy chcą go wziąć.

— Towarzysz Bieriezin — poinformował Dja-kow.

Bieriezin opuścił gazetę, Jura zobaczył eski-moską twarz i znowu poczuł lek.

Gestem ręki Bieriezin zachęcił Jurę, aby u-siadł.

Djakow nadal stał i usiadł dopiero w czasie rozmowy, kiedy Bieriezin kiwnął głową także w jego kierunku, pokazując na krzesło.

Bieriezin milcząc przyglądał się Jurze, potem wyrzekł powoli:

— Organizacja partyjna rekomenduje was do pracy w organach NKWD. Zapoznałem się z waszymi aktami personalnymi. Wasz brat został skazany za przestępstwo kryminalne. Zna-licie tych, którzy byli skazani razem z nim? — Po raz pierwszy widziałem ich na roz-prawie.

— Byliście z bratem zaprzyjaźnieni?

— Jest ode mnie starszy o cztery lata. Ja miałem swoich przyjaciół, on swoich.

— Podziwujecie z nim kontakt?

— Pisz do ojca, do matki... Oni odpisują.

Przekazują moje życzenia, wyjście z więzienia i powrotu do uczciwego, pożytecznego życia.

Czy moje rady pomogą, nie wiem.

Bieriezin interesuje nie brat, tylko on, Jura rozumiał to doskonale, i trzeba odpowiadać tak, żeby nikt nie wątpli w jego szczerość, ale też tak, żeby go nie wzięli do bezpieki. Oni powin-ni zdecydować z niego sami. Bieriezin nigdy nie będzie mu wierzył, jest taki sam, jak Bu-diagin, z żelaznej kohorty.

— Kim są wasi przyjaciele? — spytał Bierie-zin.

— Nie mam specjalnie bliskich przyjaciół — ostrożnie zaczął Szarok, pojmując, że to wła-snie jest najważniejsze pytanie. Tylko o kim chce się dowiedzieć Bieriezin: o Saszy Pankra-towie czy o Lenie Budagin?... Ale ani Sasza, ani Lena już dawno nie są jego przyjaciółmi. — Nie mam specjalnie przyjaciół — powtórzył Szarok. — Mam kolegów z instytutu, ze szkoły, w której się uczyłem, z domu, w którym mie-szkam.

— Uczyliście się w szkole numer siedem?

Tak to jasne... Chodzi o Saszę albo o Lenę.

— Tak.

— W zaulku Kriwoarbackim?

— Tak.

— To dobra szkoła. Z którymi ze szkolnych kolegów się spotykacie?

Zbliża się do Saszy Pankratowa. Przemilczę?

A po co? I tak wiecie. Ale czy mogą mu z te-go robić zarzut? Żadnej przyjaźni między nimi nie było, przeciwnie, była wrogość. Ale o wro-gości także nie należy mówić, ponieważ, że obgaduje aresztowanego. Niczego między nimi nie było — ani przyjaźni, ani wrogości. Miesz-kali w tym samym domu, byli rówieśnikami, to znaczy, że uczyli się w tej samej szkole, po-tem pracowali w tej samej fabryce, wszystko to było dawno...

— No, wiecie — Jura dokładnie rozważał każde słowo — właściwie to my się ze sobą nie widujemy. A i przedtem spotykaliśmy się tak, przypadkowo — no bo mieszkaliśmy w tym samym domu. A teraz rozeszliśmy się w różne strony. Kostin Maksim, na przykład, ukończył szkołę piechoty, wyjechał na Daleki Wschód. Pankratow Aleksander jest aresztowany, za co, prawie mówiąc, nie wiem. Iwanowa Nina jest nauczycielką, spotykamy się czasem na podwor-ku, dzień dobry — do widzenia. No, i jeszcze Marasiewicz Wadim, mieszka nie w naszym domu, ale na Arbacie, nieraz się widzimy, jest filologiem... Kto jeszcze? Lena Budagina mieszka w Piątym Domu, też się prawie nie widu-jemy.

— Córka Iwana Grigorjewicza?

— Tak.

— Macie narzeczoną, przyjaciółkę?

To pytanie, zadane zaraz po tym, jak Szarok wspominał o Lenie, że sa poinformowani, i oo-winni być poinformowani i celem pytań jest nie tyle poznanie szczegółów, jego życia, ile sprawdzenie jego prawdomówności.

— Na razie nie zamierzam się ożenić — u-smiechnął się Jura.

— Lubicie teatr, kino, potanczyć...

Wiedzą, że był z Leną w lokalach.

— Lubie potanczyć.

— Z ładnymi pannami?

— Lepiej z ładnymi.

Bieriezin pomilczał chwilę, potem spytał:

— Wspomnieliście o Pankratowie. Czy to jest Pankratow Aleksander Pawłowicz?

— Tak, mówiliśmy na niego po prostu Sa-sza. Był u nas sekretarzem organizacji kom-somolskiej. Ale został aresztowany...

— Jaki to człowiek?

Szarok znowu wzruszył ramionami.

— To było dawno. Minelo osiem lat, wtedy wy-dawał się porządnym chłopcem, uczciwym — uśmiechnął się — działaczem komсомolskim. No, a co się stało potem to już nie wiem.

Inaczej nie mógł odpowiedzieć. Negatywna, nawet powściągliwa opinia wywołałaby pytania, co miałby na nie odpowiedzieć? po co? Wtedy Pankratow był uczciwym chłopcem, wtedy Sa-sza miał piętnaście lat, wtedy Szarok też miał piętnaście lat, wtedy patrzył na wszystko mło-dzieńczo i ufnym i oczyma. Teraz też patrzy ufnym oczyma, z pewnością nie jest im po-trzebny taki otwarty, szczery i do tego z brat-em-kryminalista.

C.D.N.

Tłumaczyła:
EWA-KATARZYNA NOWAK

W liście do redakcji Mirosław Poniecki napisał: „Spośród powołanych do życia przez hitlerowców wojskowych formacji kolaboranckich szczególną rolę odegrali tzw. wlasowcy, tak ze względu na liczebność, jak i ogrom popełnionych zbrodni... Szczególnie okrutną „slawę” okryli się wlasowcy podczas Powstania Warszawskiego, gdzie ich przeważnie pijane hordy dopuszczały się licznych zbrodni zarówno na powstańcach, jak i ludności cywilnej... Wyjątkiem była Polska, gdzie nie powstał nie tylko planowany „Legion polski”, ale nawet najmniejszy oddziałek, kompania, pluton w służbie okupanta”.

Poglądy wyłożone w tym liście wynikają z ostrożnej nieznajomości faktów, a opierają się na obiegowych opiniach, które — niestety — upowiadają do powyższych mniemań. Pomijam już policję granatową, która nie w całości poszła na służbę do okupanta na rozkaz podziemia. Owszem, byli w policji granatowej ludzie, którzy służyli tam na rozkaz podziemnych organizacji, ale byli i tacy, którzy służyli dobrowolnie i ciągnęli z tego odpowiednie ryki. Nie wszyscy też zasłużyli po wojnie na

grup tych narodów — w ich mniemaniu oczywiście — do Trzeciej Rzeszy. Na tej naradzie piki hrabia Claus von Stauffenberg domagał się szybszego wykorzystania wziętego pół roku wcześniej do niewoli gen. Andrieja A. Własowa, za co wkrótce po tej naradzie został przeniesiony na front do Afryki. W styczniu 1943 roku komisarz Trzeciej Rzeszy w okupowanej Holandii obergruppenführer SS Arthur Seyss-Inquart zwrócił się do Reichsführera SS, szefa policji niemieckiej i ministra spraw wewnętrznych Heinricha Himmlera z wnioskiem o zmianę polityki wobec narodów podbitych, co mogłoby — według niego — dać do miliona żołnierzy. Jego zdaniem rozwój partyzantki na Białorusi był wynikiem bankructwa polityki hitlerowskiej wobec Białorusinów. Również w tym czasie dr Joseph Goebbels, minister propagandy i niepokojem obserwował rozwój sytuacji i doszedł do wniosku, że musi nastąpić zmiana polityki wobec narodów na Wschodzie. Zwrócił się z wnioskiem do ministra Rzeszy do spraw terenów okupowanych, Reichsleitnera Alfreda Rosenberga, aby wystąpił razem do Adolfa Hitlera, aby ten ogłosił proklamację do narodów wschodu. Joseph Goebbels miał poparcie ministerstwa spraw zagranicznych i niektórych kół we Włoszech. Jednak Alfred Rosenberg nie zgodził się na ta-

śmowisko, głoszącą rekrutowanie Polaków do pomocniczych oddziałów Wehrmachtu — „Hitler”. Udało się sformować oddział w mieście około 300 osób.

Władysław Studnickiego to nie zadowalało. Był on zaciętym antykomunistą i w marcu 1945 roku zwrócił się wprost do Heinricha Himmlera z propozycją utworzenia Polskiego Komitetu do Walki z Rosją oraz zwolnienia wszystkich więźniów Polaków z obozów koncentracyjnych i wcielenia ich do polskich oddziałów pozostających na niemieckim żołdzie. Ale i ta propozycja została przez Niemców zignorowana.

KOGO NAZYWANO WŁASOWCAMI?

Utarło się przekonanie, że wszyscy żołnierze pochodzący z Armii Radzieckiej — a więc jeńcy wojenni — bądź z terenów okupowanych na wschodzie przez Niemców podczas drugiej wojny światowej byli wlasowcami. Sprawa jednak wcale nie jest taka prosta.

W wydanej w 1975 roku jednotomowej „Encyklopedii II wojny światowej” tak pisze się o wlasowcach:

„WLASOWCY, jednostki tzw. „Roskiej Oswobodzicielskiej Armii” (ROA), organizowane z inspiracji zdrajcy gen. A. Własowa; potoczna nazwa tych jednostek oraz innych formacji, m.in. tzw. legionów wschodnich. Formacje wlasowców — podporządkowane Wehrmachtowi — częściowo wchodzące w skład wojsk SS — działały na froncie wschodnim na Krymie oraz w Jugosławii, Polsce, we Francji, w Belgii, Niemczech i Czechosłowacji; używane również do ochrony strategicznych szlaków komunikacyjnych, do akcji przeciw partyzantom i pacyfikacyjnych na terenach okupowanej Europy; na okupowanych ziemiach polskich dopuszczały się licznych zbrodni, okrucieństw, rabunków (np. białostockiej skierowanej w sierpniu 1944 do powstającej Warszawy części brygady Kamińskiego, działającej głównie na Ochocie i w Kampinosie wstawiały się szczególnym okrucieństwem wobec powstańców i ludności cywilnej)”.

Z poprzednich części tego szkicu wiemy, że Brygada gen. Bronisława Kamińskiego należąca do Waffen SS nie miała nic wspólnego z ROA gen. Andrieja Własowa i nosiła nazwę Roskiej Oswobodzicielskiej Armii — RONA. Dopiero po rozstrzelaniu 26 sierpnia 1944 roku w Warszawie gen. Bronisława Kamińskiego Brygadę wycofano w Kampinos, następnie jesienią tego roku przekształcono w 29 Dywizję Grenadierów SS, a 31 grudnia 1944 roku wyłączono z SS i przekazano do ROA gen. Andrieja Własowa.

Karol Grünberg w książce „SS — czarna gwardia Hitlera” i Czesław Madajczyk w książce „Faszyzm i okupacja 1938—1945” zgodnie stwierdzają, że A. Własowowi podporządkowano 29 i 30 Dywizję Grenadierów SS. Czesław Madajczyk pisze:

„W 1943 roku z zaciąganych przymusowo w republikach nadbałtyckich i ochotników utworzono brygadę SS, w 1944 r. powstały trzy dywizje SS — dwie lotwickie i jedna estonska. Na innych obszarach powstała wiosną 1943 roku Dywizja SS „Gottstein”, m.in. z oddziałów policyjnych złożonych z nacjonalistów ukraińskich, a z tzw. batalionów wartowniczych ewakuowanych z okupowanych terytoriów radzieckich do Protektoratu Czech i Moraw utworzona pod koniec wojny 29 i 30 dywizje SS, podległe gen. A. Własowowi. Dywizje Własowa (...) utworzono pod patronatem SS dopiero w drugiej połowie 1944 r.”.

Heinrich Himmler dopiero we wrześniu 1944 roku wyraził zgodę na sformowanie trzech dywizji składających się z „ochotników” — jeńców radzieckich — oraz z „Hitlerów” i one zostały na ROA. 30 grudnia 1944 roku przesłał do gen. Andrieja Własowa telegram: „Z chwilą podpisania niniejszego rozkazu Führer mianuje pana dowódcą dwóch rosyjskich dywizji: 600 i 700. Gdy powstaną nowe formacje i jednostki rosyjskie, obejmie pan naczelną dowództwo również i nad nimi. Orazemu pan władzę dyscyplinarną wodza naczelnego i jednocześnie prawo mianowania oficerów aż do podpułkownika włącznie.”

Tak więc dywizje będące pod dowództwem gen. Andrieja Własowa i należące do Waffen SS zostały z SS wycofane i ostatecznie weszły w skład ROA.

Powstaje teraz pytanie, czy wlasowcy byli w powstającej Warszawie i brali udział w tłumieniu powstania. Otóż w potocznym pojęciu tego terminu tak, gdyż byli w Warszawie w tym czasie obokrajowcy, pochodzący z terytorium ZSRR, którzy służyli hitlerowcom. Formalnie jednak była tylko koczująca kawaleria, która gen. Erich von dem Bach-Zelewski zaliczył w swoim sprawozdaniu złożonym dla Instytutu Pamięci Narodowej do wlasowców. Charakteryzując grupę bojową gen. por. Heinza Reinhartha tak stwierdził:

„Kozacy 9 armii, którzy należeli do armii Własowa, składali się z 1 batalionu piechoty i 5 szwadronów jazdy. Byli użyci dla zamknięcia Żoliborza i tworzyli na zachodzie Warszawy drugą linię za frontem. W ten sposób miało się przeszkodzić przenikaniu partyzantów przez linię frontu”.

Pod koniec wojny — w maju 1945 roku — armia gen. Andrieja Własowa stacjonowała w pobliżu Pragi w Czechosłowacji. 5 maja — pisze Czesław Madajczyk — w stolicy Czechosłowacji wybuchło powstanie, które przetrwało dzięki postawie oddziałów gen. A. Własowa, chcących w ten sposób zdobyć alibi, by dostać się do niewoli w ręce Anglosasów. Na nic im się to nie zdało. Ręce Anglosasów karmiąca reka sprawiedliwości. Jak już wspomnieliśmy — w 1946 roku gen. Andrieja Własowa schwytał żołnierze radzieccy, gdy próbował dostać się do amerykańskiej strefy okupacyjnej. Stał przed sądem wojskowym w Moskwie, został osądzony i stracony. Takli los spotkał też innych zdrajców. Jednak tylko imię Własowa stało się na trwałe synonimem zdrady.

Kogo nazywano wlasowcami?

Przeklęte imię zdrady

WITOLD BOROWY



Gen. Andriej Własow przed frontem oddziału na służbie niemieckiej

(4)

łaskę. Lubimy na ogół innym zaglądać za siebie niż uczucie i rzetelnie porozmawiać o własnych sprawach, które przecież nie są tak mrow do końca wyjaśnione i znane.

Jeśli chodzi natomiast o stosunek Adolfa Hitlera do narodów podbitych na Wschodzie, to stał on na stanowisku, że należy je opanować, rządzić nimi, eksploatować je, ale w żadnym wypadku nie dawać im broni. Stał na stanowisku, że na zachód od Uralu broń mogą nosić tylko Niemcy. Z czasem pod wpływem zmieniającej się sytuacji wojennej Trzeciej Rzeszy zmienił swój stosunek do problemu uzbrajania ludzi ze Wschodu, ale była to zmiana w gruncie rzeczy niewielka.

CO WYDARZYŁO SIĘ NA FRONTACH W 1942 I 1943 ROKU?

Warto sobie to przypomnieć, gdyż zmieniała to jakościowo sytuację Niemiec hitlerowskich. Przedewszystkiem na terenach okupowanych przez Trzecią Rzeszę rozwinął się ruch partyzancki. Latem i jesienią 1942 roku Niemcy do walki z partyzantami na zajętych przez nich terytoriach ZSRR skierowali około 350 000 żołnierzy i oficerów. W maju 1943 roku walczyło tam z partyzantami — według danych niemieckich — 327 000 żołnierzy i oficerów bądź to Wehrmachtu, Waffen SS, żandarmerii, bądź wojsk satelickich. Było to około 10 do 15 procent wojsk własnych. Obszar Białorusi był w 1/3 zajęty przez partyzantów. Kontyngenty ścigano jedynie z 1/5 pól.

W połowie 1942 roku Wehrmacht rozpoczął ofensywę na Kaukaz i na Stalingrad. 23 września 1942 roku rozpoczęła się brytyjska ofensywa w Afryce Północnej pod El-Alamejn. Marsz Korpusu Afrykańskiego Erwina Rommla w kierunku Kanatu Sueskiego został zatrzymany. W dniach 8—11 listopada 1942 roku w Afryce Północnej i Północno-Zachodniej ludzka wojska brytyjskie i amerykańskie. 19 listopada tegoż roku rozpoczyna się ofensywa wojsk radzieckich pod Stalingradem, która kończy się 2 lutego 1943 roku likwidacją 6 armii Wehrmachtu i wzięciem do niewoli feldmarszałka Friedricha von Paulusa. Inicjatywa strategiczna na froncie wschodnim przechodzi w ręce Armii Radzieckiej. Trwa jeszcze bitwa o Kaukaz. W lipcu i sierpniu 1943 roku rozegra się — zwycięska dla Armii Radzieckiej — bitwa pancerna pod Kurskiem. Kończy się już powodzenie Niemców na frontach drugiej wojny światowej, choć jeszcze Europa jest w ich rękach.

Sytuacja militarna Trzeciej Rzeszy zmusza niektóre kół — przede wszystkim wojsko — do zastanowienia się nad polityką wobec ludów podbitych. Przedewszystkiem Niemcy potrzebują żołnierza. Na początku 1943 roku Adolf Hitler ogłasza „totalną mobilizację”, ale rezerwy kadrowe narodu niemieckiego są już poważnie wyczerpane. Trzeba szukać „mięsa armatniego” wśród ludów podbitych. A to oznacza zmianę polityki, na którą nie chce się zgodzić Adolf Hitler.

18 grudnia 1942 roku odbyła się w Reichsministerium für die besetzten Ostgebiete narada, na której przedstawiciele Wehrmachtu domagali się zmiany polityki wobec narodów podbitych. Domagali się oni pewnych ustępstw, które mogłyby zmienić stosunek niektórych

kie rozwiązanie i sam zreferował 12 lutego 1943 roku tę sprawę Adolfowi Hitlerowi. Uzyskał jedynie przyzwolenie „na ograniczoną kolaborację polityczną”, zgodę na eksponowanie kwestii kozackiej, co miało się wyrażać niepewnymi obietnicami, że być może Kozacy otrzymają takie same prawa i przywileje, jakie mieli w carskiej Rosji, natomiast odmówił się z rezerwą do projektu wykorzystania będącego w niewoli gen. Andrieja Własowa.

Mimo wszystko Adolf Hitler zmienił nieco ton swej polityki wobec podbitych narodów. Jak wynika z dyrektywy Josepha Goebbelsa z 15 lutego 1943 roku w propagandzie i działalności „praktycznej” podtrzymywano tezę, że głównym celem walki na Wschodzie jest pokonanie „żydowskiego bolszewizmu” i temu należy podporządkować wszelkie siły, ale należy zaprzestać traktowania ludzi na Wschodzie jak „barbarzyńców”, nie należy mówić o stałym zniewoleniu i o tym, że Niemcy chcą mieć kolonie na wschodzie, nie mówić o wysiedleniach, poniechać wszystkiego, co przeszkadzałoby współpracy koniecznej dla zwycięstwa.

Sporo czasu minęło nim Adolf Hitler wypowiedział się w kwestiach poruszanych przez wojskowych, a odnoszących się do polityki wobec ludów podbitych na Wschodzie. Stanowisko swoje ogłosił 1 lipca 1943 roku w przemówieniu do wyższych dowódców wojskowych ze wschodniego frontu. Było to na 4 dni przed rozpoczęciem niemieckiej ofensywy pod Kurskiem. Powiedział wtedy, że rezygnacja ze zdobyczy na Wschodzie zdemoralizowałaby niemieckich żołnierzy, gdyż mogliby dojść do wniosku, że nie mają o co walczyć. Nie miał nic przeciwko temu, aby obecni narodowocci żołnierzy wykorzystywać w batalionach warownicznych i jako siły pomocnicze. Zgodził się też na wykorzystanie gen. Andrieja Własowa w akcji politycznej poza frontem. Nadal sprzeciwiał się tworzeniu „wojsk narodowych” i komitetów narodowych. Zrobił wyjątek tylko dla „legionów kaukaskich”, na których tworzenie zgodził się.

PO KLĘSCIE NIEMCÓW POD KURSKIEM W SIERPNIU 1943 ROKU

sytuacja uległa znacznej zmianie. Adolf Hitler musiał ustąpić ze swej dotychczasowej pozycji. Czesław Madajczyk w książce „Faszyzm i okupacja 1938—1945” (tom I) tak pisze:

„W praktyce miało się okazać, że po niepowodzeniach pod Kurskiem i późniejszych wypadkach wiele poczynił, mniej lub bardziej odbiegających od stanowiska Hitlera z czerwca i lipca 1943 roku, szczególnie w odniesieniu do republik bałtyckich. Jeżeli z nieufnością odrzucił się on do różnych propozycji z kół Wehrmachtu i Reichsministerium für die besetzten Ostgebiete, by za cenę ustępstw próbował pozyskać część ludności terytoriów okupowanych do współpracy, to pewnym zaufaniem darzył poczynania Himmlera i jego aparatu SS w tym zakresie. Był przekonany, że ten aparat potrafi utrzymać tworzone z podbitej ludności jednostki policyjne czy SS w karbach posłuszeństwa. Dotyczyło to zarówno dokonanej na Łotwie czy w Estonii banki, tworzenia ukraińskiej dywizji

Ktoś niedawno wyraził wątpliwość na łamach „Odrodzenia” w prawdziwość tej sceny, uznając ją bardziej za propagandowy chwyt niż przekaz historyczny. Można się z tym zastrzeżeniem zgodzić, że niemniej jednak zgoda gen. Andrieja Własowa na współpracę z Niemcami hitlerowskimi przysporzyła mu tylko pogardę. Również Adolf Hitler odnosił się wobec gen. Andrieja Własowa z niechęcią. W końcu przyjął go Heinrich Himmler i on się nim zapiekiował.

„Na zajętych terytoriach radzieckich — pisze Czesław Madajczyk w drugim tomie wspomnianej książki „Faszyzm i okupacja 1938—1945” — rolę zdrajcy miał odegrać, wzięty do niewoli w 1942 roku gen. A. Własow, zdolny dowódca armii. Wśród nacjonalistów ukraińskich gen. P. Szandrukowi przypadał podrzędniejsza rola”.

Na początku 1943 roku — dokładniej w styczniu — ukazała się odezwa Komitetu Smoleńskiego, która przygotowywano przy współudziale gen. Andrieja Własowa. W połowie roku 1943 opublikowano apel gen. Andrieja Własowa. 12 lipca 1943 roku powstał w ZSRR Komitet Narodowy „Wolne Niemcy”. Niektórzy historycy uważają, że gen. Andrieja Własowa usiłowało przeciwstawić postawie feldmarszałka Friedricha von Paulusa, który związał się z „Wolnymi Niemcami”. Wehrmacht stawiał więc na gen. A. Własowa, ale miał przeciw sobie Adolfa Hitlera, który nie godził się na sojuszników spośród podbitej ludności. Zdanie zmienił dopiero latem 1944 roku, kiedy już nie mógł uratować Trzeciej Rzeszy. W 1943 roku szukano jeszcze półśrodków.

„Już w 1943 roku — pisze wspomniany Czesław Madajczyk — gdy wskutek strat Wehrmachtu i Waffen SS zaczęto odczuwać braki ludzi, rozszerzono zaciąg do oddziałów w służbie niemieckiej na grupy ludności pochodzenia niemieckiego, zarzucono tak ostro dotąd przestrzeganą zasadę aryjskości. Po rozszerzeniu zaciągu przez Reichsführera SS na Włochów w Belgii, a następnie Estończyków i Łotyszów (legiony, dywizje), Wehrmacht próbował powołać Komitet Oswobodzenia Narodów Rosji pod przewodnictwem gen. Własowa, utworzyć „Rosyjską Armię Wypuszczeniową” („Rosyjska Oswobodzicielska Armia — ROA”). W Oberkommando des Heeres utworzono dla nich specjalną placówkę (General der Osttruppen) pod dowództwem gen. E. K. Köstringa. Po rezerwy sięgnęło również SS, przeprowadzając „mobilizację” w krajach bałtyckich, zaciągając do SS Arabów, burżuazyjnych nacjonalistów ukraińskich, grupy Kozaków (oddziały pod dowództwem H. von Pannwitz), ludzi z formacji B. Kamińskiego, wybranych Azerbejdżanów, Tatarów (Korpus Wschodnioturkowie, którego pulki i bataliony były używane tylko oddzielnie), a latem 1944 r., biorąc pod uwagę zdrajcę Własowa i tworząc z jego poplecuszków dwie niepełne dywizje Waffen SS, nigdzie sresztą do walki nie wprowadzone”.

BYŁA TEŻ INICJATYWA WŁADYSŁAWA STUDNICKIEGO

Wpierw jednak z taką inicjatywą wystąpił do Adolfa Hitlera Reichsführer SS Heinrich Himmler. Przedstawił propozycję powołania polskich oddziałów na potrzeby frontu wschodniego. Adolf Hitler propozycję tę odrzucił. Było to w czerwcu 1943 roku. Organ władz okupacyjnych w Warszawie „Nowy Kurier Warszawski” powrócił do tej myśli pod koniec 1943 roku. Widać było to inicjatywa władz lokalnych. W marcu 1944 roku prawniecko nastawiony polski polityk, Władysław Studnicki wystąpił do gubernatora warszawskiego Ludwika Fischera z propozycją utworzenia polskich oddziałów. Wychodził z założenia, że polityka niemiecka wobec Polaków zawiodła, a stosowany terror uniemożliwiał współpracę. Powołanie przez Niemców oddziałów polskich miały być użyte do zatrzymania pochodu Armii Radzieckiej na Zachód.

20 maja 1944 roku Oberkommando des Heeres zostało poinformowane, że nadal obowiązują zakaz rekrutowania Polaków do Wehrmachtu. Może natomiast to czynić Reichsführer SS w ramach Waffen SS. Ale Adolf Hitler i tak nie rozważał odrzucić, zezwalając jedynie na rekrutację do Waffen SS byłych obywateli polskich — Ukraińców i Białorusinów. W październiku 1943 roku Adolf Hitler zmienił w

Can I speak to Mark, please? — rozległo się w słuchawce telefonu. W dalszej części rozmowy Kevin wyjaśnił, że pragnie zaprosić mnie na party. — To będzie „stag party” — wieczór kawalerski — mówił — idziemy do knajpy przy Kings Road. Zarezerwowałem tam miejsce, bo w piątek wieczorem mogłoby być ciężko. Będzie 22 osoby. Takie składkowe przyjęcie. To ta restauracja, po piętnaście funtów na głowę łącznie z winem. Angliki bawią się na party urodzinowych, pożegnalnych. Chociażby przepracował tylko parę miesięcy w firmie i odchodził, a nie wyrzucają cię, to możesz być pewny, że urządzią ci pożegnalną party. Bawią się na wieczorach kawalerskich lub panieńskich; czyli na tak zwanych „kurzych party” — hen party. Bawią się na party z okazji ogólnobrytyjskiej wystawy kwiatów w Chelsea i po wyborach do Parlamentu, na wieczorach „oficerskich” chłopców na przepustce i uroczystych obchodach rocznicowych w Pułku Gwardii Irlandzkiej. Każda okazja jest dobra, żeby zamówić paręnaście miejsc w restauracji i miło spędzić wieczór.

Party jest popularną formą życia społecznego.

„uspołeczniania się” — jak powiadają Angliki. Na co dzień wychodzą na pint piwa do pubu położonego po drugiej stronie ulicy. Wycieczka niedaleka. W piątek lub w sobotę chadzą do kina — rzadziej do teatru. W niedzielny wieczór, o ile wrócili z wycieczki poza miasto, najchętniej siedzą w domu: odpoczywają przed nadchodzącym tygodniem pracy. Aby do następnego wieczoru piątkowego, kiedy zaczyna się weekend. Niekiedy wybierają się o tak posiedzieć sobie na kamiennych słupkach przy Leicester Square i pogapić się na przevalający się przed oczyma różnokolorowy i egzotyczny tłum. Ciągają tam, gdzie zbiera się większa grupa ludzi.

— Nie mogę zrozumieć, dlaczego mamy akurat sobotni wieczór spędzić w ścisłej i tłoku w barze „U Jima”? — zapytał kiedyś Toma, który zaprosił mnie na drinka. — Cały tydzień żyjemy jak mrówki w mrowisku.

— Po pierwsze mój drogi — wyjaśnił Tom z tą lekką dostrzegającą nutą wyższości, na jaką dobrze wychowany i wykształcony Anglik pozwala sobie w stosunku do każdego cudzoziemca. — „U Jima” jest bardzo popularnym barem. Tam chodzą wszyscy, więc dlaczego i my mamy tam nie iść? Może spotkamy znajomych. A poza tym, Anglik ogólnie do miejsc, które są załoczone, gdzie trudno jest zarezerwować miejsce, a jak już mu się uda je zdobyć, to wtedy czuje się bardzo ważny. Bierze się to z prostego, logicznego rozumowania: po co ma szukać miejsca w niezaloczonej knajpie, do której nikt nie przychodzi? Skoro nie ma tam klientów, to znaczy, że nie się tam nie dzieje. A tam, gdzie ludzie walą drzwiami i oknami to znaczy, że musi się tam coś dziać, a więc jak mnie tam nie będzie, to znaczy, że może się coś ważnego zdarzyć, co przejdzie mi koło nosa. Jasne, no nie?

— Ale zwykle nie takiego nadzwyczajnego się nie zdarza. Owszem przyjdzie czasami jakiś znany z telewizji człowiek albo Cliff Richard, ale to jakby wśród Anglików sensacji nie wzbudzało.

— Ba. Nic się nie zdarza, ale wykluczyć nie można, że się zdarzy i to nas przyciąga do tłoku.

Wydaje mi się, że przyczyna leży jeszcze gdzieś indziej. Angliki są narodem, który niechętnie wślubia nos w nie swoje sprawy. I to zarówno w skali narodowej, stąd teoria o „splendid isolation”, jak i w przypadku szarego, przeciętnego człowieka, który nie okazuje w szczególnie sposób zainteresowania drugim człowiekiem. Dzieje się to na zasadzie: zostaw mnie w spokoju, to i ja ciebie zostawię. Ale jeżeli w interesie Anglika leży ingerencja w cudze sprawy, to nie zawaha się ani przez chwilę. Z drugiej strony czym innym jest fakt, że drugi człowiek nas nie obchodzi, a co innego, czy się nim nie interesujemy. Nie ma wdzierania się bezpośrednio w cudze sprawy. Żyć i pozwolić innym żyć — zdaje się być naczelną zasadą życia Anglików. Jak każda reguła ma ona swoje dobre i złe strony. Negatywną jest życie w częściowej izolacji od innych i samotność. Kontakty powierzchowne nawiązują się tutaj bardzo szybko. Uśmiechy wymienia się bardzo łatwo. Nie są one ani nieszczerze, ani zdawkowe, a raczej wynikają z życzliwości dla drugiego człowieka. Jednak nawiązanie głębszego kontaktu emocjonalnego i intelektualnego jest bardzo utrudnione. Wyjście poza granice porozumienia oparte na prostym komunikowaniu informacji dotyczących faktów i zdarzeń i przejście na poziom rozmowy o pragnieniach, marzeniach, nadziejach, rozczarowaniach jest bardzo skomplikowane. Odsianianie swoich uczuć poprzez gwałtowną ekspresję będzie odebrane przez otoczenie ze zdziwieniem, a uporczywe trwanie przy rozmowie o tym, co się czuje — za nietakt. Anglik będzie informował otoczenie o tym, że jest zmęczony pracą albo tłokiem w metrze, że ma kłopoty z bossem albo o tym, co czuje w głębszym kontakcie ze światem nie powie nawet najlepszemu przyjacielowi. Żyje niejako w szklanej kuli, w której samotnie przeżywa swoje najgłębsze myśli i emocje. Angliki to bardzo samotny naród. Stąd to pragnienie do przeżywania wydarzeń w towarzystwie innych, nawet przypadkowo spotkanych ludzi. W tłumie rażniej, w tłumie bezpiecznie, tłum, chociaż krytykowany za to że jest tłumem, daje oparcie i gwarancję, że to co się robi jest ważne — bo tak też robią inni.

Restauracja, w której odbywa się „stag party” jest rozmieszczona na dwóch poziomach; mała sala na dwadzieścia osób znajduje się na parterze, a piwnice mogą pomieścić ponad 150 osób. Tam też, na dole jest bar. Pierwszy przystanek naszego wieczoru kawalerskiego.

— Czego się napijiesz? — pada odwieczne pytanie. Nie przejmujemy się tym, że Angliki nam stawiają kolejkę. My możemy, to będzie dobre, przyjęcie, ale nie musimy się odwzajemniać. Jeżeli stawia ci drinka, to widocznie ma na to ochotę — jego sprawa. A jeżeli ty czujesz się dobrze w jego towarzystwie, to kup i jemu kolejkę. Jak nie masz pieniędzy albo nie ma już czasu na rewanż, można zawsze powiedzieć: — następnym razem ja ci stawiam. — I wszyscy będą w porządku. Tylko że musisz dotrzymać słowa. Bo do słowa wypowiedzianego Anglik przywiązuje bardzo duże znaczenie, wychodząc z założenia, że przecież nikt nikogo nie zmusza do mówienia, więc skoro już mówisz, to znaczy, że tak myślisz.

Stoimy z boku w tłumie; jeden przy drugim,

lokalnie przy sobie, bo miejsca nie ma na swobodne rozstawienie swojej osoby, w dloni kieliszek albo szklanka. Bez tego Anglik czuje się nieswojo. Nie wie, co ma zrobić z rękoma. Stąd częste przekładanie z dłoni do dłoni albo obracanie pustej już szklanki. Kelnerzy przeciskają się gorączkowo pomiędzy leniwie ustępującymi gośćmi. Nie ma się gdzie spieszyc, jesteśmy po pracy. Gdy usłyszysz poirytowane „sorry”, nie mogącego się przecisnąć z talerzami w dloni kelnera, wykonujesz gwałtowny ruch ciałem i mówisz sakramentalne: „sorry”. Kelnerzy wykrzykują zamówienia w stronę ruszającego się z niedbałą nonszalancją, ubranego w spodnie i kamizelkę w kolorach tęczy czarnokóręgo barmana — Sammego. Towarzyszy mu filigranowy Chris — jak twierdzą bywalcy — spec od koktajli. Zamawiamy drinki. Królują gin z tonikiem, szkocka whisky z amerykańskim imbirem albo „ale”, kieliszek białego, wytrawnego wina albo koktajl. Od tych ostatnich boił glosa zanim się je wypije.

Najpopularniejszym jest Bloody Mary — wódka z sokiem pomidorowym doprawiana ostrym tabasco, specyficznym smakiem Worcester Sauce i lyżeczką chrzanu, że nie wspomnę już o dużej ilości pieprzu i soli. Do tego potłuczone kostki lodu i czuprynasty por nadziany na krawędź szklanki. Powodzeniem cieszą się różnego rodzaju owocowe koktajle, w których truskawki albo banany miksuje się z rumem, likierem i lodem. Fantazyjnie przybrane przez Chrisa specjalnymi ozdobami koktajlowymi są małymi dziełkami sztuki. Panie sączą kielich lub kielichówkę. W obydwo przypadkach głównym składnikiem jest odrobina likieru czereś-

niowego, do którego dolewa się odpowiednio białego wina lub wytrawnego szampana. Angliki raczej nie piją tak zwanych drinków prostych. Nie znają piędziesiątki lub setki wódki wypitej jednym haustem, potrafią jednak kieliszka i otarcia ust wierzchem dłoni na koniec celebracji.

— Ty jesteś z Polski, to musisz się napić czegoś specjalnego, bo wy pijacie tylko mocne trunki — stwierdził autorytatywnie Kevin. Ach ta niedobra sława Polaków. Irlandczyki, którzy w 90 procentach stanowią skład dzisiejszego party uchodzą na Wyspach za strasznych opojów, a mimo to w tej konkurencji niechlubną palmę pierwszeństwa przyznano Polakom.

Chris dwój się i trój i po chwili wręcza mi wysmukłą szklankę.

— Co to jest? — pytam i spoglądam podejrzliwie na płyn kolorem przypominający rozwodzoną coca-cola.

— Long Island Ice Tea — odpowiada barman.

— ?

— Wódka, gin, rum, Bacardi, likier pomarańczowy Cointreau; wszystko białe wódki, skórka cytrynowa i trochę soku cytrynowego, lód i dopełniam coca-cola.

— O mój Boże — wywało mi się mimo woli.

— Spróbuj — zachęca Kevin, a wszyscy śmieją się i obserwują moją reakcję.

Napój jest bardzo przyjemny w smaku i orzeźwiający, a wbrew pozorom wcale nie tak mocny, jakby na to wskazywały składniki, jako że każdego trunku doбира się po odrobinie, a tylko coca-cola służy za podstawę napoju. Zresztą alkohole sprzedawane zarówno w licencyjnych jak i nielicencyjnych barach i pubach nie mogą mieć mocy polskiej wyborowej; stąd wszędzie niepomnie królują Smirnoff.

Angliki piją bardzo dużo alkoholu.

Ale nie są to trunki wysokoprocetowe — przede wszystkim piwo i wino. Gin albo whisky popijają osłabione tonikiem lub coca-cola. Zresztą przy dwóch pintach piwa, to jest około 90 ml, albo przy paru „szkockich z wodą sodową” spędza się cały wieczór. Wino zrobiło w Anglii oszałamiającą karierę w ciągu ostatnich dziesięcioleci. Winiarnie i sklepy zajmujące się handlem winami wyrastały jak grzyby po deszczu. Początkowo uważano piwo za przywilej wyższych klas społecznych, później za przejaw snobowania się. Teraz pomimo, że Wyspiarzom daleko do Fran-

Angliki — to bardzo samotny naród i dlatego kochają tłok.

Jak bawią się w Londynie?

MAREK BRZEZIŃSKI

cuzów w znajomości win, to jednak Claret lub Rioja jest częstym gościem na stołach angielskich. Rynek brytyjski zaczynał zdobywać nie tylko eksportowe potęgi, Francuzi, Włosi, Hiszpanie czy Portugalczycy, nie tylko pija się okropne wina kalifornijskie Paula Masona, albo fenomen niemieckich winnic szkodliwe Liebfraumich, ale zaczynają się pojawiać znakomite wina australijskie, lekkie wina południowoafrykańskie i czerwony Cabernet bulgarski.

Rozmowy przy barze nabierają rozpędu. Wzmaga się gwar. W angielskim pubie wcale nie jest mniej hałaśliwie niż w osławionych bawarskich stbach. Strumienie nowych gości spływają schodami do piwnicy, której mrok rozświetla mdłe światło rachitycznych kinkietów i migotliwe płomyki świec. Jest bardzo nastrojowo. W ten sposób, pomimo strasznego ścisła, wszyscy czują się przytulnie, a poza tym półmrok osłania; można wybuchnąć głośniejszym śmiechem, można głośniejsze rzucić jakąś uwagę, albo komentarz bez tego neurotycznego obciążenia, że wszyscy w pełnym świetle przyglądają mi się, gdy zabieram publicznie głos. Nowo przybyli wyciągają rozcapierzone palce rąk, pokazując menażerze dla kilku osób potrzebującej miejsca. Ona lekko spoczęła i oszołomiona rozgrywającymi się przed jej oczyma wędrownkami, nie traci głowy i zadowolona z ruchu w interesie, powtarza każdemu ten sam tekst.

— Mamy bardzo dużo rezerwacji, ale jakbyście chcieli poczekać przy barze, to w ciągu pół godziny powinniśmy mieć coś wolnego.

Anglik nie znośi czekać nawet pięciu minut i z zasady jeżeli chodzi o załatwienie jakiejś sprawy w urzędzie, to nigdy nie jest do tego zmuszany. Ale w piątkowy wieczór, w tłumie, przy barze, z kieliszkiem w dłoni — czemu nie, może poczekać.

Gdy nas już usadzono za ogromnym stołem w głównej sali piwnicy, na stół wjechał zgodnie z przyjętym tu obyczajem biały francuski chleb i ciemny angielski. Parę osób natychmiast wyraziło dezaprobatę dla braku tak zwanego „garlic bread” czyli podawanego na ciepło chleba z czosnkiem. Zadowolono się ciemnym chlebem, który zniknął w oszałamiającym tempie. Wyspiarze wprawdzie nie mają aż tak jak Amerykanie rozwiniętej fobii na punkcie zdrowego jedzenia, ale jednak przywiązują do tego ogromną wagę. Białe pieczywo uważają za mniej zdrowe, gdyż musi być zapewne lepiej oczyszczane, skoro jest białe. Podobnie ma się sprawa z brązowym cukrem, coca-cola i wodą sodową. Pija się coca-cola dietetyczną skrupulatnie licząc kalorie albo wodę niegazowaną dwulitrem węgla. Co oczywiście nie przeszkadza zjadaniu podwójnych porcji pysł polewanych gorącą czekoladą.

Zamawiamy parę butelek białego i czerwonego wina, nazywanego „winem domowym”. Nie oznacza to, że jest to wino domowej produkcji, ale że jest to wino reprezentatywne dla goszczącego nas domu — restauracji. Są to najczęściej wytrawne, tanie wina francuskie. Toast i następuje uroczyste wręczanie upominków. Gadżety, drobniaki osobiste, albo po prostu kartki pocztowe. Ich różnorodność jest godna zazdroszczenia: od żenujących tekstów po dowcipnie dobrane zdania na każdą okazję — od rocznicy ślubu po gratulacje z powodu zmiany mieszkania i szefa.

— To jest bardzo miły wspominek — komentuje obdarowany i wszystkim pokazuje otrzymany prezent. Obdarowujący przygrymuje to z zadowoleniem i może spokojnie pocłagnąć łyk wina. Gorzej, jeżeli usłyszysz się komentarz: — Dziękuję, ci bardzo. To jest pożyteczny prezent. — Jest to delikatne danie do zrozumienia, że wprawdzie dobra wola i pamięć zostały docenione, to jednak obdarowywany nie wykazał się zbyt dużą fantazją i prezent został uznany za stereotypowy. W Anglii nie kupuje się z okazji urodzin piór wiecznych, skarpetek, krawatów, wody kolońskiej etc., chyba, że ma to jakiś dowcipny podtekst. Na przykład jubilat pracuje od trzydziestu lat w fabryce wody kolońskiej albo w drogerii. Takie prezenty można sobie po prostu kupić samemu w pierwszym lepszym sklepie. Mile natomiast widziana jest maska Pani Thatcher lub mała pozytywka wydająca najbardziej niesamowite dźwięki. Obdarowany natychmiast naloży maskę i wszyscy będą się do końca wieczoru świetnie z tego powodu bawili. Albowiem udane spędzenie czasu, dobra zabawa — to podstawa wykorzystania wolnych od pracy godzin. — To jest nudne — komentarz wygłoszony w stosunku do oglądania filmu, dzieła sztuki, przeczytanej książki, rozmowy z przyjaciółmi, party etc., jest chyba najbardziej negatywną opinią, jaką może wydać Anglik. To już lepiej o kimś powiedzieć, że jest świnia, chamem albo pijakiem, niż obdarzyć go epitetem — „nudziarz”.

Zamawiamy potrawy. Przystawki i główne dania.

Kuchnia angielska zniknęła z londyńskich restauracji.

Łatwo można trafić na tanią kuchnię chińską, wybrać się na pizzę, pastę i spaghetti do włoskiej restauracji albo na drogi obiad do wykwintnej i najdroższej — obok japońskiej — restauracji francuskiej. Ale żeby tak naprawdę znaleźć angielską restaurację, to trzeba pogrzebać trochę w przewodniku po restauracjach Londynu. Ta, w której jesteśmy jest względnie tania, a chociaż na karcie jadospisu figurują dwujęzyczne angielsko-francuskie nazwy potraw, to jednak jest to mieszanina przeróżnych potraw kontynentalnych. Typowo angielskim daniem jest — kedgeree. Dopiero przypadkowo spotkamy Ralph Goodwan, Kavalera Chaine des Rotisseurs, wyjaśni mi skąd się wzięło kedgeree.

— Większość Brytyjczyków nie ma pojęcia, jak ta potrawa powstała. Był to absolutny przypadek. Nie było odpowiedniego dania, które wiązałyby klimat Indii Wschodnich w czasach kolonii i angielskich gustów kulinarnych. Jednocześnie chodziło o to, żeby potrawa mogła być oparta na miejscowych, łatwo dostępnych składnikach, była nie psująca się i pożywna — tu chodziło o sprawę lunchu. To bardzo ważny punkt całej sprawy. Zupelnie przypadkowo wymieszano przyprawę hinduską curry z ryżem, mając nadzieję, że ryż będzie można długo przechowywać. I tak się stało. Chociaż mało kto wie, że to my, Brytyjczycy wymyśliliśmy słynne curry, które teraz jest podstawą hinduskiej kuchni. Po pewnym czasie ktoś upadł na pomysł, aby do curry dodać wędzonego dorsza i wbić parę żółtek, a potem to wszystko podmażyć, na patelni. I tak powstało kedgeree.

Starszy, siwawy pan, Sir Ralph Goodwan jest dla mnie wyrocznią, jeżeli chodzi o kuchnię angielską. Mieszka wprawdzie na Cyprze, ale jest Anglikiem z działa pradziada i z paroma przyjaciółmi, także kawalerami towarzystwa postawili sobie za cel kultywowanie tradycji kuchni angielskiej. Wygrzebuja stare przepisy, doszukują się historii potraw angielskich, organizują wielkie bankiety, na których imprez serwuje się specjalnie angielskiej kuchni. Jedną z takich imprez była zorganizowana, nie wiadomo czemu w Dubaj, w udekorowanej w stylu średniowiecza sali rycerskiej angielskiego zamku, sali hotelu Sheraton, w maju 1983 roku, kolacja z tradycyjnymi potrawami angielskimi. Leży przede mną menu, jakie otrzymałem od Sir Ralpha. 49 potraw; przystawek, dań głównych i deserów, wszystkie opatrzone krótką notką historyczną. Na koniec krótka historia spożywania kawy i herbaty na Wyspach Brytyjskich.

— Mieszkając w Londynie byłem członkiem klubu Village, który mieścił się przy Lower Sloane Street. Potem było tam kasyno, a teraz jest tam restauracja — ciągnie Sir Ralph — Spotykaliśmy się tam w porze lunchu. Jedzenie było wspaniałe, ale największą frajdą była w czasie tradycyjnego, niedzielnego lunchu. Wiesz o tym, że Angliki wychodzą z domu w piątkowy i sobotni wieczór i niedzielny lunch. Bo w niedzielę wieczór siedzi się w domu. W niedzielę, każdy z nas wynajmował swojego kucharza i starał się zadziwić resztę towarzystwa. Takiego fantastycznego jedzenia, angielskiego nie można było nigdzie dostać.

Paru angielskich gości na przyjęciu Kevina wybrało właśnie kedgeree i jak się potem dowiedziałem stwierdził autorytatywnie, że było wspaniałe. Też próbowałem, ale jakżeż odmiennego byłam zdania.

Dyskusje przy stole nabierają rumieńców.

Także i biesiadnicy chociaż to trudno dostrzec w panującym półmroku. Dyskutuje się o college'u, większość uczestników to młodzi ludzie, o meczach rugby i krykieta, o najnowszych filmach. W jednym z końców ustawionego w podkowę stołu wybucha zająca dyskusja religijno-polityczna. Nie należy zapominać, że problem w Irlandii Północnej nie jest wyzysk z palca. Panowie dyskutują zawzięcie o dogmatach religijnych, o problemie irlandzkiej. Anglik jest zewnętrznie spokojniejszy, chociaż widać zaangażowanie w sprawę. Irlandczyk wybucha raz po raz i czerwony ze złości wymachuje Jimowi przed nosem pięściami. Reszta przygląda się zdarzeniu z zimną obojętnością nawet wtedy, gdy Neal i Jim wstają od stołu.

— Pewnie idą do baru napić się i rozwiązać wreszcie ostatecznie problem światła Wielkiejnocy i Ulstenu — nachyla się w moją stronę Devin. — Czy u was też wybuchają spory na tle politycznym i religijnym?

— Nie mam czasu mu odpowiedzieć, bo właśnie kelnerzy wnoszą kieliszki i parę ogromnych butelek szampana, jakie zwykle widuje się na metach rajdów samochodowych. Podochoćni goście wyrzucają kelnerom butelki z ręki i szampan leje się pienistym strumieniem. Jeszcze nie zdążyliśmy wysycić trunku, a już wskoczyła na salkę dziewczyna w mundurze policyjnym. Mandaty za nieprawidłowe parkowanie samochodu wypisują tak zwani traffic warden, czyli stróże ruchu drogowego. Tę lekką służbę, po której dostaje się skurczu pisarskiego, wykonują najczęściej kobiety.

— Mister Kevin Jones? — zwraca się z pytaniem do Kevina.

— Tak. To ja — odpowiada nieco zaskoczony Kevin.

— To pan jest właścicielem Peugeot 205 numer rejestracyjny — i tu podaje numer. — Zaparkował pan nieprawidłowo. Przed samym wejściem do restauracji, niestety, musieliśmy panu odwieźć samochód na parking policyjny. 45 mil poza Londynem. — Odczekała chwilę dla lepszego efektu i ciągnęła — a do tego musi pan zapłacić mandat i koszty transportu, razem 150 funtów.

— Ale ja... dlaczego ja... wszyscy tam stali, to żółta linia... — jękał się zaskoczony Kevin, nie dostrzegając tego, że wszyscy pokładają się ze śmiechu.

— Ma pan pecha — policjantka miała kamienny wyraz twarzy. Niespodziewanie podeszła do Kevina, objęła go za szyję i pocałowała. — Ale podobno to pański wieczór kawalerski.

— Tak... wieczór... kawalerski — wydukał.

— No cóż, to w takim razie postaram się panu to darować tym razem i jakoś ostatecznie te ostatnie dni wolności — powiedziała i najpierw poleciała w kąt czapka policyjna z charakterystyczną czarno-białą szachownicą, a następnie pozostałe części munduru i po chwili rozebrana do naga dziewczyna siedziała na kolanach nie mogącego ochłonąć z wrażenia Kevina. Nie trzeba dodawać, że pozostali doskonale się bawili obserwując zaskoczonego pana młodego.

„Kissagramy, stripagramy, dziewczyny w stroju uczennic, kobiety wampy, dziewczyny w stroju pielęgniarek, tłuściszki i niesamowite biusty — to wszystko możecie zamówić na Jego party”. Na „Jego” party przychodzą dobrze zbudowani mężczyźni w strojach Tarzana, poprzebierani za goryle, w stroju Casanovy lub od stóp do głów (przynajmniej na początku show) ubrani w skórzane odzienie, policjanci i kultuści. Mają swoje króciutki, bardzo prymitywne programki, w trakcie których wykrzykują lub wypowiadają w zależności od roli jakieś nieskomplikowane teksty, obejmują ofiarę bądź w przypadku Tarzana lub goryla porywają ją na ręce, pozuja do fotografii i znikają.

— Ile bierziesz za taki program? — pytałem czarnokóręgo chłopaka ubranego w strzępy imitujące lamparcie skóry. Tym razem był to Tarzan.

— To różnie. Pewnie i to duży procent, muszę odprowadzić do agencji. Część, i to także spora, bo 28 procent pochłaniają podatki.

— No to tak tygodniowo, na ile wychodzisz? Masz te 300 funtów?

— Coś ty! — Spojrzał na mnie oburzony. — Jak nie mam 700 funtów to uważam to za kiepski tydzień.

Pensja sprzedawcy w domu handlowym na West Endzie wynosi 75 funtów tygodniowo, średnia pensja angielska około 150 funtów.

Jeden z gości party, druh na ślubie pana młodego czyli — jak mówią Angliki — „najlepszy człowiek”, potężne, grube chłopisko, powoli podniósł się z miejsca i zaintonował: „For he is a jolly good fellow” — angielskie sto lat. A potem stałem się świadkiem przedziwnego koncertu. Spiewano pieśni irlandzkie, nieznane mi języku, śpiewano stare pieśni angielskie, a na koniec popularne szlagiery lat sześćdziesiątych z niesmiertelnym „Let it be” Beatlesów na czele. Bankiet trwał do białego rana uroczoności nie pijackim rykiem, ale pięknym chóralnym śpiewem irlandzkich pieśni. Londyn, 02.11.1987

Jezeli wiesz wszystko, to znaczy, że zostałeś nie poinformowany" — mówi stare chińskie przysłowie. Wśród wielu sytuacji, do których można je s powożeniem zastosować należy — i to nie na ostatnim miejscu — historia Inków. Pozornie jest „powszechnie znana”, w gruncie rzeczy jednak aż roi się od tajemnic, a wizja lokalna, zamiast wyjaśnić, stawia je tylko wyraźniej przed oczami.

Zresztą nawet najlepiej poznane epizody w tym przypadku podejrzanie łatwo ulegają przemianom w legendę. Na przykład wydarzenia, które rozegrały się w Cajamarca, w sobotę, 16 listopada 1532 roku.

Przebywający właśnie tego dnia w mieście Francisco Pizarro wysłuchał rano mszy i zaintonował pieśń: „Esurge Domine — Powstań, o Panie, i rozstrząś sprawę moją”. Miał istotne powody, aby odwoływać się do Boga; dysponował oddziałem liczącym zaledwie około 200 osób, w dodatku śmiertelnie zmęczonych przeprawą przez Alpy, a naprzeciw stała wielotysięczna armia Atahualpy, który w rozgrywce o tron pokonał akurat swojego brata Huasara i stał się niepodzielnym władcą całego Imperium. Nie trudno było przewidzieć wynik nieuchronnej walki i rzeczywiście tylko Opatrzność Boża miała jakimś cudem odsunąć od konkwistadorów ostateczną klęskę. Trudno powiedzieć, czy Bóg miał w końcu z tym wszystkim coś wspólnego, tym bardziej, że Hiszpanie — poza krzyżem, który zawsze im towarzyszył — niezbyt przypominali bogobojne owieczki, w każdym razie niemożliwe stało się faktem: zanim zapadł zmierzch armia inkaska została rozgromiona, a sam Atahualpa dostał się do niewoli, przy czym po stronie hiszpańskiej była tylko jedna, lekka rana: zadał ją przypadkowo samemu Pizarro, któryś z jego własnych żołnierzy.

Przegrana bitwa nie musi jeszcze oznaczać przegranej wojny.

Imperium Inków jednak było tworem specyficznym; przypominało zegar, który nakręcać może tylko najwyższy władca. Gdy go zabrakło, zegar po prostu stanął, potem zaczął rdzewieć i w końcu rozszarpał się zupełnie.

Atahualpa musiał przewidywać taki rozwój wypadków, obawiał się także przejęcia inicjatywy przez pozostałego ciągle przy życiu Huasara, zdawał sobie wreszcie sprawę, że gdy znów będzie mógł nakręcać zegar, ma olbrzymie szanse pokonania garstki napastników. Odwołał się więc do gryzącej Hiszpanów jak tarantula żądzy złota; stanął przy ścianie komnaty, w której był więziony, podniósł do góry ręce i zobowiązał się, w zamian za wolność, do takiej właśnie wysokości zapłacić ją złotym kruszkiem...

Ta komnata, poddawana aktualnie zabiegom renowacyjnym, z wyrysowaną na odpowiednim poziomie czerwoną kreską, to jedyna budowla, która zachowała się do dzisiaj w Cajamarca z tamtych czasów. Cała reszta miasta została zbudowana później i już wyraźnie na modłę hiszpańską, co zresztą nie tylko nie odbiera mu uroku, ale nawet dodaje. Jest to urok prawie doskonałej prowincji; zegar wprowadził nakręca już kto inny, ale jego wskazówki obracają się ciągle w tempie obowiązującym w czasach Inków.

W Cajamarca nie ma terroryzmu ani złodziejstwa, do dyskontekstu wpuszczają tylko parami, w peni — restauracji, w której grają zespoły ludowe — wszyscy się znają, w pobliskiej farmie „La Colpa” każda z nieprzeliczonej masy krów ma swoje imię... A przede wszystkim, na Plaza de Armas, do którego zbiegają z gór wąskie uliczki, ledwie tylko zapadnie zmrok zaczyna kręcić się nieustające, ludzkie koło. Tu kwitnie handel, załatwiane są interesy, tu poszukuje się tego jedynego i tej jedynej — na całe życie...

Wystarczy zrobić kilka rund, aby zobaczyć to wszystko jednocześnie, poczuć się, bez nadmiernego hałasu — ale i bez reszty — wpłatanym w tryby ludzkiego losu, bez żadnych łagodzących zastrzeżeń — w całej jego powadze, radości i tragizmie. Aby nie zapomnieć, że

Cajamarca, po Cusco, była drugim centrum Imperium Inkaskiego,

trzeba wyjechać za miasto. Bliżej: do leczniczych kapieli Inki, albo dalej: na Cumbe Mayo, gdzie znajduje się najlepiej w Peru zachowany akwedukt. Tutaj pośpieszny spacer już nie wystarczy; dopiero po bliższych oględzinach widać całe mistrzostwo konstrukcji, która zasada się na olbrzymiej ilości specjalnie podciętych i ułożonych kamieni — Inkowie przecież to w pierwszym rzędzie organizatorzy i inżynierowie.

A po drugiej stronie miasta, za zadziwiająco krótkim pasem startowym lotniska, szeroka, wysadzana pięknymi drzewami aleja prowadzi do Otuzco. Już od samych rogatek towarzyszy samochodowi gromada dzieci, wskazujących drogę do jedynej atrakcji turystycznej wsi starych grobów skalnych. Wprowadzie droga jest tylko jedna i zbliżać się sposób, nie można nie docenić długodystansowego biegu małego Manuela — jest wart długopisu i 15 intis, tym bardziej, że za oglądanie samych grobów nie trzeba już nic płacić...

Mija kolejny dzień. Choć jest koniec kwietnia, w Cajamarca pada deszcz; wirujący na Plaza de Armas wielki beben mieszający ludzkie losy chwilowo zawiesił swoje obroty. Razem z naszą przewodniczką, Iris, wybieramy się więc do podmiejskiej restauracji, aby spróbować świnki morskiej, od wieków podstawowego dania miejscowej ludności. Najgorzej ma ten, komu dostał się lepek, świnka bowiem zdaje się uśmiechać i nie ma się serca rozplatać jej czaszki, aby wyjąć, podobno najsmaczniejszy ze wszystkich, mózg. Iris opowiada o życiu w okolicznych wioskach, a ja, patrząc na ciągle nienaruszony beczkowy lepek, nie wiadomo dlaczego myślę znów o Atahualpie.

Prawdopodobnie dotrzymałby swojego przyrzeczenia, Hiszpanie jednak nie mieli dostatecznie dużo cierpliwości; zadowolili się ilością złota, która — według współczesnych szacunków — przedstawiała wartość około 10 milionów dolarów, a przeciw więźniowi wytoczyli dwadzieścia absurdalnych zarzutów i skazali go na śmierć. Wyrok wykonano 29 sierpnia 1533 roku przez uduszenie, tak, jak w stosunku do pospolitego przestępcy. Cajamarca odegrała swoją rolę w historii i Pizarro mógł maszerować dalej na Cusco.

Kiedy wraca się specjalną kolejką z Machu Picchu, mniej więcej po 3,5 godzinnej jazdy, wśród obsługi daje się zauważyć pewne poruszenie. Wreszcie młoda dziewczyna, która dotąd obsługiwała bar, zamyka interes i z przejęciem, na sygnał swojej, najwidoczniej, przełożonej, naciska jakiś guzik. Światło gaśnie. Niektórzy, pamiętając tragiczne wydarzenia sprzed kilku lat, myślą już o napadzie Sendero Luminoso, kiedy rozlegają się dźwięki „El condor pasa”, a za oknami, w dole, nadpływają światła Cusco — jeżeli nawet jest to tani chwyt, nielatwo będzie go zapomnieć.

Cusco w nocy, z góry, przy akompaniamencie znanego przeboju w wykonaniu jednego z najlepszych zespołów peruwiańskich „El Horizonte”, wygląda czarująco, ale też nie ma w tym nic dziwnego: prawdopodobnie równie czarująco wyglądałoby w takich warunkach każde inne miasto, nie wyłączając Kutna i Koluszka. Przewaga Cusco polega na tym, że również czarująco wygląda w dzień i bez żadnej muzyki. Stojąc na wzgórzu, cztery kilometry przed wejściem do miasta od strony trasy prowadzącej z Abancay, widać olbrzymią, regularną kotłnię, wypełnioną układającymi się w koronkową kompozycję czerwonymi dachami, nad które wystają kościoły i pękate kopuły kościołów.

Niewiele miast na świecie mogłoby dotrzymać kroku dawnej stolicy Imperium Inków — w każdym razie z tego punktu widzenia. W środku dawnej metropolii szanse nieco się wyrównują. Głównie za sprawą turystów, których jest tu dokładnie tyle, co w Dubrowniku, Seville czy Wenecji — oni nadają ton, dla nich też pracuje większość mieszkańców.

A także handlujących pamiątkami przybyszów z okolicznych wiosek; codziennie o świcie przemierzają czasami kilkadziesiąt kilometrów, aby potem godzinami szukać klientów na Plaza de Armas. Szczególnie licznie oferowane są haftowane szarfy mogące służyć, na przykład, jako paski do aparatów fotograficznych. Jedną ze sprzedających dziewczyn z Chincheros, Paulina, opowiada, że każdy wymaga 2 dni pracy i kosztuje niecałe 4 dolary, a z nabywcami coraz gorzej. Akurat nie mamy przy sobie pieniędzy, umawiamy się więc na dzień następny; o 6,45 przed hotelem, bowiem już 15 minut później odchodzi kolejka na Machu Picchu. Liczymy trochę, że Paulina nie przyjdzie tak wcześnie, ale nie: jest punktualna co do minuty. Teraz nie ma już żadnego wykrętu, po chwili każdy związa w pośpiechu swoją szarfę. Nawet

Peru: Machu Picchu nie zawodzi nawet najbardziej wybujałych oczekiwań.

Wiemy o Inkach dużo i mało jednocześnie

RYSZARD NAKONIECZNY



nie, żeby była nam do czegoś potrzebna, ale żeby Paulina dobrze rozpoczęła kolejny dzień, tym bardziej, że dziś kaszle znacznie silniej niż wczoraj; w nocy nawet w samym mieście temperatura spada do 5 stopni, a droga z Chincheros wiedzie przez góry — kilkadziesiąt kilometrów na bosaka... Nie pamiętam, kiedy tak dobrze wydałem pieniądze...

Oprócz rzeczy wspólnych z innymi centrami turystycznymi, ma, oczywiście, Cusco także swoje zakątki oryginalne; nadwątlona ostatnim trzęsieniem ziemi katedra ze srebrnym głównym ołtarzem, ogromny inkaski kamień o 12 kątach tworzący część ściany domu na ulicy o nieprawdopodobnej nazwie Hatunrumiyoc, (co w języku kechua oznacza po prostu „wielki kamień”), kompleks kościoła Świętej Niedzieli, wzniesionego na gruzach dawnej Świątyni Słońca, której pozostałości, ze wspianym patio na czele, pilnie się obecnie restauruje.

No i wreszcie jest baza wypadowa do Machu Picchu i tego wszystkiego, co znajduje się po drodze — pod tym względem konkurencji nie mają już żadnych szans.

Trasa zaczyna się od Yucay, świętej doliny Inków

bronionej z obu stron przez słynne fortece: Pucara i Sacsayhuaman. Dziś to, przypominające podobno raj, miejsce straciło wiele ze swojego uroku; służące miastu instalacje przemysłowe, ścieżki asfaltowych dróg ułatwiająca dostęp do kolejnych zabytków inkaskich, górująca nad nimi figura Chrystusa i mnóstwo krzątających pojazdów agencji turystycznych zrobiły swoje. Ale nie jest jeszcze tak źle; wprowadził Sacsayhuaman nie robi nadmiernego wrażenia po fortecy Paramonga, a na patio jednego z pałaców inkaskich władców ustawiono blaszane baraki, w których ciągle zamieszkuje ludźle pozbawieni dachu nad głową przez trzęsienie ziemi i — co gorzej — pasie się znacznie przyspieszające tempo zwiedzania byk, zostaje jednak jeszcze Quenka: plac z olbrzymim kamieniem, przypominającym pumę i dwucennie wyrzeźbiona skala, mocno podobna do leżącego kilkadziesiąt kilometrów za Abancay tzw. kamienia Dänikena. Dla zaprzysięgłych pragmatyków na jednym i na drugim znajduje się po prostu sporo roz-

małych zagłębień i wyrzuteń, spowodowanych przez wieloletnie działanie wody i innych czynników naturalnych, dla wizjonerów zaś są to celowo zostawione przez przastare cywilizacje wizjerki miast, z ulicami, świątyniami, pałacami i przemysłowym systemem nawadniania. Kto ma rację, rozstrzygną prawdopodobnie dopiero kosmici, jeżeli wreszcie kiedyś zdecydują się wylądować otwarcie na Ziemi...

Następnym przystankiem jest miasteczko Pisac, słynne ze swojej niedzielnej mszy odprawianej w języku kechua, na którą z okolicznych wiosek przybyszą naczelnicy w dawnych strojach i z oznakami swojej godności oraz przylepionych do jednego z okolicznych szczytów ruin. Prawdopodobnie należą one do najtrudniej dostępnych na świecie; nie ma tu żadnych turystycznych udogodnień i trzeba wspinać się starymi, inkaskimi drogami na własnych nogach, w szczytowej partii korzystając z chybliwych drabinek i wysiłkowych kamieni. Jest jednak po co! Ruiny w Pisac to jakby koncentrat Machu Picchu. Gdyby tak przyłożyć do nich czarodziejską pompkę i parę razy zdrowo nacisnąć, niechytnie nie trzeba by już jechać 100 kilometrów dalej, aby zobaczyć słynne Święte Miasto. Niestety, chociaż w Pisac można dostać wspaniałe bułki i ser, kunsztowną biżuterię i kilimy, i w ogóle mnóstwo rzeczy gdzie indziej nieosiągalnych, z czarodziejskimi pompkami są chwilowe kłopoty.

Może to zresztą i dobrze, w przeciwnym bowiem razie nie widzielibyśmy ani linowych mostków na Urubambie, ani samego miasteczka Urubamba z pięknym kościołem o drewnianej podłodze, ani barwnych mercados, ani — i tego byłoby najbardziej szkoda — Ollantaytambo. Ollantaytambo to paradoks — żywy skansen. Właściwie wszystko tu jest dokładnie tak samo jak pół tysiąclecia temu — z wyjątkiem elektryczności. I nadal normalnie żyją tu ludzie!

Ważutkie, wybrukowane kamieniami, prostopadłe uliczki z płynącym pod ścianami, albo wręcz środkiem, akweduktem, chaty z kamienia, ze słynnymi, trapezoidalnymi, inkaskimi odrzwiami i olbrzymia, górująca nad wszystkim, forteca. Patrząc na nią i porównując z resztą rzeczywistości przychodzi do głowy myśl, że jest dziełem innej cywilizacji, wygląda to bowiem trochę tak, jakby dla ochrony wiejskiej chaty ustawiono za oborą wyrznięty rakiet typu „Pershing” — oczywiście toutes proportions gardées...

Spacer po uliczkach Ollantaytambo nasuwa także inne nie mniej skomplikowane problemy: na przykład czy ustroj społeczny państwa Inków był idealnym spełnieniem doktryny socjalizmu — jak chcą jedni, czy też może najciemniejszą z dyktatur, przebiegającą nawet ponure wizje Orwella — jak utrzymują inni. Wprawdzie każdy miał tu zapewniony spokojny byt i natychmiastowa pomoc państwa, gdy znalazł się w kłopotach, ale też — z drugiej strony — jego życie było określone w najdrobniejszych szczegółach już w momencie urodzenia. Inaczej mówiąc: co jest lepsze dla człowieka: bezpieczeństwo czy wolność? I w dodatku tu, w Ollantaytambo, z pomocą nie przyjdzie zawsze elastyczny w takich sprawach Kościół katolicki; przytłoczony obcym otoczeniem chowa się z boku — jest jedyną w mieście budowlą z gliny, dalekie i nieważne są też inne instytucje, na których można by się oprzeć — odpowiedź trzeba znaleźć samemu...

Całe szczęście, że nagle pojawia się mała dziewczynka z jasnymi włosami — w samym środku Imperium Inków! — a za nią kilka kobiet w okragłych, kolorowych czapkach, na których z okazyj światła i uroczystości nosi się kwiaty. Logika dwuwartościowa rozwija się gdzieś bez śladu i odpowiedź jest od razu gotowa: i bezpieczeństwo, i wolność, i jeszcze tyle innych rzeczy...

W Ollantaytambo droga się urywa. Do Machu Picchu można stąd już tylko albo dojechać kolejką, albo dojść pieszo.

Niezależnie jednak od tego, co się wybierze, w miarę upływu czasu zaczyna narastać uczucie, które każdy dobrze zna: jeszcze dwie godziny, jeszcze godzina i stanie się to coś, na co od tak dawna czekałem, co ma być wspaniałe, fantastyczne i na co w ogóle nie ma słów. Naigroź jest, kiedy zostanie już tylko 5 minut, bo wtedy coraz jaśniej widać, że za 6 minut będzie po wszystkim. Stanowczo lepiej, aby takie rzeczy przychodziły niespodziewanie, ale trudno marzyć, żeby na Machu Picchu natknąć się po prostu przypadkiem — takie szczęście miał tylko Hiram Bingham.

Jesteśmy więc na stacji kolejki, jedziemy autobusem, odpowiednio do okoliczności, stromym zboczem, czujemy okiem na szczyty i wijącą się kilkadziesiąt metrów w dole Urubambę, zostawiamy plecaki w przechowalni, mijamy punkt sprawdzania biletów, wolno idziemy sklepionym korytarzem...

Machu Picchu nie zawodzi najbardziej nawet wybujałych oczekiwań i wyobrażeń. Czy ktoś może z czystym sumieniem powiedzieć, że kiedykolwiek w życiu spotkał już coś takiego?!

Wędrowkę po krainie Inków zaczęliśmy niejako od końca, a potem, im bardziej cofaliśmy się w czasie, tym więcej zostawaliśmy po drodze spraw niewyjaśnionych. Nie ma się więc co dziwić, że na sam koniec — czyli początek — trzeba wdepnąć na dobre w domene legend. Mówią one, że pierwsi Inkowie przywędrowali w okolice Cusco znad jeziora Titicaca. Mało jest miejsc na świecie, dookoła których zgromadzone tak wiele podań i opowieści. Są one dwójakiej natury: jedne dotyczą białego Boga Wirakoczy i opowiadają je ludzie prości, drugie zaś wiążą się z kosmitami i opowiadają je ludzie skomplikowani. Pierwsze nie mają właściwie materialnych podstaw, drugie zaś mają, choć interpretują je à rebours.

Otóż, dość już dawno temu, Titicaca było penetrowane, na zlecenie Armii Stanów Zjednoczonych, przez ekspedycję komandora Cousteau. Wyprawa została wyposażona we wszystko, co tylko można sobie wyobrazić: batyskafy, tzw. kleszonkowe łodzie podwodne itp., plus olbrzymi autorytet swojego szefa. Wybudowano nawet specjalną linię kolejową, aby cały ten majdan wygodnie przewieźć nad jezioro. Zaś wyniki oficjalne wielomiesięcznych badań okazały się nad wyraz skromne, na przykład, że ciśnień jest tu mniejsze, a zasolenie większe niż gdzie indziej; krótko mówiąc z powodzeniem mógł do nich dojść samotny amator z ciagu godziny. Stąd już tylko krok do podejrzenia o ukrywanie prawdziwych rezultatów ekspedycji, oczywiście ze względu na ich, przechodzących ludzkie pojęcie, niezwykłość...

Nietrudno zauważyć, że i w jednym i drugim wypadku mamy do czynienia z bajką. Ale bajka jest także czysta rzeczywistość: festyn we wsi Titicaca ku czci świętego Izydora. Chłopcy i dziewczęta w tradycyjnych strojach zjeżdżają się na motocyklach, rozstawiają kramy z jedzeniem i alkoholem, czuć zapach smażonych ryb... A w kościele trwa nieustający pochód i śpiewy wokół figury patrona... A jeszcze dalej widać setki krów brodzących w podmokłych łąkach nad jeziorem, ultramarynową wodę, osniete szczyty po drugiej stronie, rysujące się w dali Wyspy Słońca i Księżyc, i półwysp Copacabana...

I jak tu nie przyznać racji Ferdousiemu: „świat jest bajką, i tyle...”

M

inał po drodze kilka transporterów, nieśpiesznie toczących się w przeciwną stronę. Za przyczyną przyspieszenia, nieśpiesznie zatrzymał go patrol. Rutynowa kontrola dokumentów: skąd? dokąd? Niedbale ruch prawej ręki w stronę zimowej czapki z opuszczonymi nausznikami i niemal jednoczesny ruch lewej ręki, przywalający na dalszą jazdę.

Jeszcze kilometr szosą — pomyślał — potem dwa leśnym duktem i jestem na miejscu... Włączyć kaloryfer, zrobić herbatę. Wiele do szklanki setę rumu. Potem — do łóżka! Uśmiechnął się do swoich myśli. Przecież nie jadę na ryby, przecież jadę... Właśnie po co jadę? Pomyślał. Pomyślał nad sytuacją, nad sobą, coś zdecydować, postanowić... Ale to jutro, dopiero jutro. Teraz — cały dzień i cała noc spokoju, spacer, jakaś lekatura. Może Szewek? Tak jest, jak zwykłe. Szewek najlepszy na stresy...

Z wyłączonym silnikiem wjechał na polanę i pozwolił fiatowi dotoczyć się do furty. Po otwarciu drzwi uderzyło go ciepło: Ki diabeł? Czyżby zapomniał wyłączyć?

nie, równo w kuchennej szafce.

— Koniak? Żytnia?

— Może być żytnia. Niezłe zaopatrzyłeś się w tych ciężkich czasach. Prominent, co? — zakpił Adam.

— Tak! Tak! Mnie nazywają twoi koledzy. O ten domek też mieli pretensję. O te cztery ściany, które, nawiasem mówiąc, sam postawiłem.

— Sam postawiłeś. Ale miałeś gdzie i z czego. Zwykły ludzie nie mogli.

— Co ty wiesz o zwykłych ludziach? Na kilometr śmieszysz — inteligencja. Inżynier? Ekonomista?

— Inżynier. Elektronik. A ty? Pewnie dyrektor?

— Zgadłeś. Dyrektor.

— Z awansu? Studia kończyłeś w tej waszej akademii politycznej?

— Tym razem nie zgadłeś — uśmiechnął się Mieczysław. — Normalny dyplom, na uniwersytecie. Wydział ekonomiczny.

— Pochodzenie prawidłowe: robotnicze, co?

— Znowu nie trafiłeś. Inteligencja. Gorzej — ojciec był oficerem u Andersa. Nieważne. Napijmy się!

Mieczysław krajał konserwów szynkę na grube plastry. Adam przyglądał mu się przez chwilę.

ponia" to kwestia paru strażników i marszów głównych? A tych dwóch wodzów — tego nawiązałka Wałęsę, tych politycznych cwaniaczków, którzy wami kierują i manipulują jak w teatrze lalek — tych mam w dupie po prostu... Przegrali i nie ma ich. Nie ma!

— I wszystko wróciło do normy, co? Za mordę się weźmie, będzie spokój i porządek? O nie! Nic się jeszcze nie skończyło! Komuchy podniosły przybicie, pokazały, że w dupie mają nie nas — politycznych cwaniaczków — jak powiedziałeś, tylko naród. Ale z narodem nie tak łatwo! Naród nam już nie uwierzy, nie da się!

— Partyzantka miejska? Z byka spadłeś? A może terror? Na wzór baskijski czy irlandzki? Co ty wygadujesz? Do niewinnych ludzi chcesz strzelać?

— A wy do kogo strzelacie? Kogo wściekcie?

— Jakos tych strażów nie słysze. Stan wojenny się zaczął. Kto wie, ile potrwa i jak przebiegnie. Nie jestem nim zachwycony, chyba nikt nie jest zachwycony... Powiem ci szczerze: — bardzo mi się wasz ruch podobał, wiałem z nim wiele nadziei. Jak wielu innych. Liczyłem na rozsadek i

ław. — W święta siedziałem sam. Przyjechałem, bo tu się najlepiej czuję.

— W święta? — sztychł Adam. — W Boże Narodzenie? Przecież wy nie obchodzicie takich świąt. Pierwszy Maj, Rocznicę Rewolucji — owszem! No i choinka na Nowy Rok! Broń Boże w dzień Wigilii. Dziadek Mróz zamiast Mikołaja.

— Pieprzysz, synku, pieprzysz. Złość przez ciebie mówi.

— A owszem, złość. U papralisze Polskę, zadłużenie, zasmrodziście hutami i sztandarowymi inwestycjami. Rozpiliście naród i spodiliście. Wszystko na ruski strój. Na melodie „Kalinka maję” i na dyspozycję z Moskwy! Jak się nie złościę?

— Znowu pieprzysz. Powodów do złości mam akurat tyle co ty. Ale myśm się przynajmniej — co ja mówię — myśm się kajać, jak żadna partia. A o dyspozycjach z Moskwy nie pieprz. Stara śpiewka, ograna. Ile masz lat? — zapytał nagłe.

— Trzydzieści dwa.

— Tak... — zamyślił się przez chwilę — gdyby twoja matka gustowała wówczas w siedemnastolatkach, mógłbym być twoim ojcem. Różnica pokoleń, panie partyzant. Kto wie, gdybym miał teraz trzydzieści lat, może myślałbym tak samo? Może też bym się ukrywał i rwał do walki o „świętą sprawę”. Ale jak się ma pięćdziesiąt.

— Ale ty, towarzyszu wysadzony z siódła, jeszcze masz coś przed sobą. Wśród nas również byli komuniści, członkowie partii. Masz okazję odegrać się na swoich. Poszukaj kontaktu. Zresztą, nie musisz szukać. Prędzej czy później dotrą do naszych. Ty też się przydasz. Przeszaniez mieć wątpliwości. Poczujez się... oczyszczony.

Mieczysław roześmiał się.

— Nic nie rozumiales, partyzancie. Skończmy tę wódkę, chodź na spacer.

Zakładając kurtkę, kiedy zauważył, że Adam wrzuca jakieś drobniaki do chlebaka.

— Chcesz odejść? Teraz, w dzień? Proponowałem spacer po lesie, a nie na posterunek.

— Muszę być gotowy. A jak mnie zwina?

— Tu nie ma żywego ducha. Szli brzegiem jeziora w milczeniu. Wódka, która ich poprzednio rozgrzewała, teraz parowała im z głów na grudniowym chłdzie. Po godzinie Adam przerwał milczenie.

— Wracajmy. Zimno się robi.

— Wracajmy — zgodził się Mieczysław. — Przespimy się i będziez mogli iść. Ciemno się robi koło czwartej po południu.

— A ty?

— Zostanę tu jeszcze dzień, dwa.

— Po co? Co ci to da?

— Nic. Nic mi nie da. Pomyśl, pochodzę po lesie, poczytam. Odpocznę.

Po powrocie Mieczysław rozstawił polowe łóżko, wyciągnął koce ze schowka. Zasnął od razu.

Obudził się nagle i poczuł pragnienie. Zapalił światło. Polowe łóżko było puste. Na stole widniał napis ułożony z połamanych zapalek:

Premiera w Nowym

Despotyzm i nieufność

Gdybyśmy już wcześniej nie zaznajomili się z dziełami bezspornego talentu Edwarda Radzińskiego (a ostatnio z jego „Scenami sportowymi” w znakomitym gościnnym wykonaniu teatru im. Jerolimowej) zapewne niejedną z widzów mocno by się zastanowił czy wybrać się do teatru na coś, co nosi tytuł popularnej pogadanki: „Teatr czasów Nerona i Seneki”.

Ale i tym razem, wbrew swojej skłonności do niefortunnych tytułów, ten znany w świecie i ceniony radziecki autor nie zawodził widzów swoim dziełem — pełnym znaczeń i silnego napięcia dramatycznego, mimo pewnego zachwiania proporcji przez nadmierny rozrost dialogu kosztem scenicznych działań. I tak widocznie można, jeśli ma się coś do powiedzenia...

W sztuce rzeczywiście występują, jako pierwszoplanowe, postaci Nerona i Seneki. Z tym, iż inscenizowany tutaj oskarżycielski przewód wynika z inspiracji i rozkazu cesarza, uwielbiającego akterstwo również jako sposób na codzienne życie władcy, nie zaś z pomysłu filozofa, który zostaje przymuszony do na politycznego odzwierciedlenia swoich przewin wobec Nerona, utrwalonych w poufnych listach, które jednak trafiły do rąk cesarza. Seneka więc te swoje dowody zdrady głośno odczytuje, a Neron napawa się wzmagającym się zmieszaniem i strachem dawnego nauczyciela i mistrza.

Rzecz bowiem nie przedstawia się tak jednoznacznie, jak zdawał się zapowiadać początek sztuki, że oto przyszła teraz kolej na szlachetnego medreca, który musi paść ofiarą zbrodniczych zamysłów niepokornego tyrana, zwłaszcza iż Seneka, po latach nieobecności, nie może się pogodzić z upadkiem moralnym Rzymu pod rządami cesarza, który z wrażliwością młodzieńca przeobraził się w krwawego despotę.

To nie jest całkiem tak, że kryształowo czysty moralista zawdzięczał się na swoim dawnym wychowanku. Również Neron, jak pozwala domyślać się Radziński, doznał bolesnego zawodu wskutek knowań Seneki, który stał się jak gdyby jednym ze sprawców utraty przez Nerona wiary w człowieka, ponieważ nie potrafił wytrwać w roli moralnego autorytetu. W ujęciu Radzińskiego Neron byłby kimś kto jeszcze, mimo swego zepsucia, pamięta czym powinien być, według nauk filozofów, sumienie i moralność, choć już zatracił zdolność ich przeżywania. Przygląda się więc sobie „z boku” dla aktorskiego eksperymentu, czy jest mu „do twarzy” z cierpieniem moralnym, z powodu, że nie można nikomu ufać.

Cały ten konflikt postaw rzeczywistych i pozorowanych osadzony jest (trudno orzec, jak wiernie) w tło historyczno-obyczajowym upadającego Rzymu, aleja rozgrywa się wyłącznie w jednym miejscu, z udziałem sześciu osób, które okazują się wystarczająco reprezentatywną dla oddania ówczesnej atmosfery życia w Rzymie.

Obaj główni protagoniści zaprezentowali nie tylko odmienne osobowości i temperamento, lecz i odmienne rodzaje aktorstwa. Występujący w roli Nerona BRONISŁAW WROCLAWSKI stał, jak mi się wydaje, przed wyjątkowo trudnym zadaniem znalezienia wspólnej płaszczyzny dla różnorodnych i sprzecznych rysów człowieka, którego szaleństwo i kaboynstwo nie odbierały mu trzeźwej jasności umysłu w ocenie moralnych słabości i sprzeczności ludzi i w precyzyjnym nakreśnianiu machiny terroru. Chwilami odczuwało się wewnętrzną niespójność postaci, z braku głównej motywacji postępowania, którą stała się w tym okresie (jak wynika ze sztuki) obsesyjna podejrzliwość, tak często charakteryzująca despotów. Można było odnieść wrażenie, że artysta przez cały czas poszukuje owej „metody” Nerona szaleństwa i być może, wskutek tego chwilami były w doznane „szywy” aktorskiej roboty.

Mniej dynamiczną osobowość Seneki, o której jedynie wiedzy dostarczały widzowi jego poufne listy, wykreował dyskretnymi środkami, pozyskany z Krakowa, ALEKSANDER BEDNARZ, rozporządzający ujmującymi warunkami scenicznymi. I może dlatego nie całkiem przekonująco, ukazał, bezspornie przecież, wiarygodność postaci.

Najbardziej chyba ryzykowna rola przypadła JOZEFOWI ZBIROGOWI — czcigodnego senatora Flawiusza uznanego, na rozkaz tyrana, dekretem bezwonnego Senatu, za... konia i w najgłębszym upokorzeniu odgrzywiającego przed Neronom te tragicznie-groteskowe błazenady. Jeden fałszywy krok groził aktorowi popadnięciem w nie zamierzoną śmieszność, toteż godnym najwyższego uznania osiągnięciem artysty jest stworzenie postaci przemijającej, budzącej współczucie oraz... niewesołe refleksje nad życiem.

W rolach dwojga intymnych faworytów Nerona zobaczyliśmy: MARKA CICHUCKIEGO — jako Amora, uznanego dekretem za drzewinyę ulubieńca cesarza, który środkami teatralnej umowności wybronił się od niepożądanych naturalistycznych zachowań, oraz JOLANTĘ NOWINSKĄ jako wesołą, która zuchwała decyzja cesarza uczyniła kurtyzaną, pod imieniem bogini Wenus. Rola filozofującego Starca w beczce, nawiązująca do nieznajomości niezależnej postawy Diogenesa, zarysował konsekwencją SŁAWOMIR SULEJ (znany mi dotychczas ze sceny kaliskiej).

Silnej wymowy artystycznej nabrała końcówka, dość wieloznaczna scena ukrzyżowania, przydająca uwikłaniom Nerona i Seneki wymiaru ponadczasowego. Jest to z pewnością przedstawienie, które na długo zapisze się w pamięci widzów.

JERZY KWIECIŃSKI

Edward Radziński: „Teatr czasów Nerona i Seneki”. Przekład — Grażyna Strumillo-Milosz. Reżyseria — Krzysztof Rościszewski, scenografia — Krzysztof Kelm, muzyka — Ewa Kordecka. Premiera w Teatrze Nowym (Mała Sala) 5 grudnia 1987 r.



Na zdjęciu: Bronisław Wrocławski (Neron) i Aleksander Bednarz (Seneka).

Spotkali się w lesie nad jeziorą tuż przed Nowym Rokiem.

Imieniny

ANDRZEJ JACEK KRAŚNIAK

Pośrodku pokoju stał mezekczyna w grubym swetrze, ze zmierzwiłą czupryną. Był bezspodni.

— Kto jest? — wykrzyknęła niemal jednocześnie. Ten bez spodni miał w ręku kilkunastocentymetrową rurkę. Trzymał ją jakoś nieporęcznie i z zażenowaniem.

Rzucił się na obcego usiłując lewą ręką unieruchomić jego prawą, uzbrojoną. Tamten cofnął się, uniósł swoją broń i wtedy udało się uchwycić go za nadgarstek. Zwarł się, zwalił na podłogę. Przygniatając głowę i prawą rękę przeciwnika uderzył go dwa razy w twarz krawędzią dłoni. Poczuł, jak rozluźniają się mięśnie obu rąk nieznajomego. Puścił go, wstał i przyglądał się przez chwilę strużce krwi, jaką wyciekła z ust powalonego. Wyprostował się. Wówczas nagle, kościem skokiem poderwał się leżący. Zbił go z nóg i uderzył pięścią w szczękę. Znowu leżeli zwareci.

— Puść! Nie jestem złodziejem!

— Nie? Tylko bandziorem!

— Puść! Porozmawiamy!

Wstał. Przybysz otarł krew z ust.

— No — uśmiechnął się. — Mów, co za jeden?

— Jestem uciekinierem. Trzynastego mieli mnie zabrać. Nie nocowałem w domu. Kilka dni byłem u kolegi. Wczoraj wieczorem dotarłem tutaj. Nie nie ukradłem. Przespałem się. Teraz sobie pójdę.

— Załóż portki. Nie wyglądasz na złodzieja. Ubieraj się! Napijmy się herbaty i pogadamy...

Po kwadransie siedzieli naprzeciw siebie, przed nimi dygota herbata.

— Skoro jesteś uciekinierem, konspiratorem, poniekąd, o nic nie pytam. Ale nim wypłiesz herbatę, pogadamy. Sam chciałeś. I coś mi się zdaje, że nie wiesz, gdzie iść?

— Szczerze mówiąc — nie.

Ale co to pana obchodzi?

— Nic a nic. Bawi mnie ta sytuacja. Mam w domu nieproszonego gościa, wlamywanca. A propos, jak tu wszedłeś? Zamki w drzwiach nienaruszone. Zamiast lecieć no milicję, częstuje herbatą. I nie boję się twojej gazurki. Możesz ją schować i żebym był mniej głupio możesz mówić do mnie po imieniu. Jestem Mieczysław.

— Ja — zawałał się chwilę — Adam.

— Imieniny miałeś niedawno. A ja mam poturze. Trzeba to oblać! Przynoszę coś z wozu.

— Zostań — Adam chwycił rurkę.

Mieczysław podniósł obydwie ręce do góry:

— W porządku, idziemy obaj. Ja przodem.

Wyciągnął z torby konserwy i butelki. Ustawił je porząd-

— Zaraz, zaraz — powiedział z ironią — to towarzyszu dyrektor zamiast dbać o socjalistyczny zakład pracy, o morale załogi i plan siedzi sobie w dzień powszedni na daczce i chleje wódkę od rana?

— Towarzyszu dyrektor jest na urlopie. A ponadto chłanie wody w daczach jest przecież podstawowym zajęciem prominentów? Powinieneś o tym wiedzieć.

— Jak to — na urlopie? Teraz?

— A teraz właśnie... — Mieczysław zrobił pauzę. — Mam ten urlop od dwudziestego i przypuszczam, że będę go miał jeszcze długo. Jeśli myślisz, że tak zwany aparat ucioku i wojsko zajmują się tylko tropieniem takich jak ty, to się mylisz. Na urlop posłał mnie komisarz wojskowy. Za to, że byłem zbyt uprzejmy wobec twoich koleśków z „Solidarności”.

— Nie do nich nie miałem, pozwoliłem na uporządkowanie i uprzątnięcie lokalu Komisji Zakładowej. Zamiast zamknąć i opieczętować. No i mam za swoje.

— No to jesteście po tej samej stronie barykady. Ty też jesteś ofiarą junty!

— Jak na razie, to ani ty, ani ja nie jesteśmy ofiarami. W pierdlu nie śledzimy, na Sybir nie posłali. paznokci w śledztwie nie wyrwyją.

— Wszystko przed nami. A zwłaszcza... przede mną.

— Oczywiście, Jaruzelski i Breżniew po nocach nie śpią tylko kombinując, jak by cię tu zesłać na Kamczatkę. Cholerne tam jestes potrzebny...

Adam podszedł do okna. Słońce wstało i wysrebrzyło lód na jeziorze.

— Ładnie tu. Latem musi być fajnie? Są ryby?

— Są. Wszystkie wolne dni spędzam tu z synem. Najlepiej odpocznę. Ten pomost zbudowaliśm obaj.

— A żona? Smażyła ryby?

— Nie znosiła tego. Została w mieście.

— A teraz?

— Co teraz?

— Gdzie jest? Siedzi w domu z dziećmi?

— Nie siedzi. Jest w Londynie.

— Bardzo pięknie! — Zażal się Adam. — Pan dyrektor zwalcza wroga klasowego, a żona nurza się w rozkoszach kapitalizmu!

— Odczep się. Ja cię o nic nie wypytuję, konspiratorze, bohaterze narodowy in spe.

— Nienawidzisz nas? Co? Zburzyliśmy ci stabilizację, weekendy nad jeziorem i cale to ciepło? A komisarz ci dołożył.

— Głupi jesteś. Mam nienawidzić — kogo? Milionów porządnych ludzi, którzy chcieli mieć porządek, związek zawodowy? Czy może takich jak ty — szlachetnych herosów, którzy się wydają, że „druga Ja-

umiejętnie wykorzystanie siły, jaką „Solidarność” reprezentowała. Siły w rozumieniu nacisku, parcia na administrację, na aparat partyjny. Liczyłem na to, że partia, moja partia, nauczy się rządzić w warunkach, kiedy patrzy się jej na ręce, kiedy musi się liczyć ze społeczeństwem, kiedy nie ma tego luksusu rządzenia, jaki miała przez całe lata. A co zrobili wasi wodzowie? Zabawę, nieustający festyn.

Pociągnął kły ze szklanki. I mówił dalej.

— Masz pretensje o stan wojenny? Kto go ogłosił? Jaruzelski? WRON? Biuro Polityczne? Nie! Stan wojenny ogłosił Wałęsa w Radomiu!

— „Targanie po szczekach”, „Bój to ich ostatni”. Jaruzelski tylko wyciągnął wnioski. Wojna była wypowiedziana, więc zaatakował i skutecznie, na szczęście. Sparaliżował was zupełnie. A oni, nieboraczk, politykierzy, już dzielili między siebie ministerialne stołki!

— To złośliwa plotka. Nikt nie dzielił stołków, przygotowywali się do samoobrony.

— No toście się głupio przygotowywali, bo ta wasza samoobrona nie sprawdziła się zupełnie. I tak samo nie sprawdzi się wasza konspiracja. Znowu się ośmieszacie.

— Było, minęło. Dajmy spokój. Porozmawiamy o tym, co będzie?

— Jest między nami pewna różnica. Pytanie: „co będzie?” jest czym innym dla mnie i czym innym dla ciebie.

— Twoja sytuacja jest gorsza. Co masz robić? Wrócić, kajać się? A może wpaść się i założyć sklepik? Tylko czy ci pozwoli?

— Nie martw się o mnie. A ty co? Zależy ci podziemny komitet „Solidarności”? A może oddział partyzancki?

— Spokośnie. Zaczynam od punktu wyjścia. Jestem uciekinierem. Przechowam się jakiś czas, potem albo złapię kontakt i wejdę w konspirację, albo wpaadę.

— Nie bierzysz pod uwagę trzeciej możliwości.

— Jakiej? Nie ma takiej.

— Jest. Wróć do mamy. Albo do żony? Do roboty? I będziez znowu szary, zwyczajny. To cię najbardziej przeżę. Wolalbyś być sierotem: gnić w lochach bezpłci albo konstruować bomby na „czerwonych pataków”?

Mieczysław nalał wódki do szklanki.

— Moja sytuacja jest jasna — zaczął po chwili Adam — jestem uciekinierem. A ty? Po co tu przyjechałeś? Sentymentalne pożegnanie z minioną świetnością? Gdzie twój kumple z komitetów? Unikale starego towarzysza, bo spał z karuzeli. A może i z partii cię wyrzucił?

— Telefony nie działały — bąknął bez związku Mieczys-

Zakończyła się w naszym biurze atestacja stanowisk. Komisja atestacyjna oceniła także wszystkich pracowników według systemu UMEWAP i stwierdziła bardzo odpowiedzialnie, że w drugim etapie trzeba wprowadzić nową organizację pracy. Między pracownikami podzielono nowe role — nie zawsze te, które pełnili dotąd...

Przyznam się, że miałem pewne obawy: czy prowadzenie Księgi Korespondencji Zbędnej i Skoroszytu Spraw Nie do Zalatwienia, którymi to czynnościami param się w naszym biurze, zostanie uznane przez komisję za wystarczające obciążenie na osiem godzin pracy. Kierownictwo biura może dojść do wniosku, że można mnie wyrzucić na zbyty pysk albo każe zlikwidować zarówno księgę jak i skoroszyt i skieruje mnie do prawdziwej pracy! I co ja wtedy pocznę?

Toteż z białym sercem wchodziłem do gabinetu naczelnego wydziału. Z czym wyjdę? Z wymownością, czy z nowym, okropnym angażem, zmuszającym mnie do zajmowania się czymś pracochłonnym, realnym i możliwym do skontrolowania? Horror!

Szef przyglądał mi się przez chwilę. Kiedy doszedł do wniosku, że już skruszałem, wycedził powoli:

— Komisja atestacyjna w gruncie rzeczy nie przeciwko wam nie ma, stwierdza jednak, że prowadzenie księgi i skoroszytu to za mało na pełny etat starszego referenta. Należy na was nałożyć nowe, poważne obowiązki. I co ja z wami zrobię? W zaopatrzeniu byliście — z każdej delegacji wracaliście z niczym, jeśli nie liczyć pobitego oka lub podartej jesienki. W sprawozdawczości też się nie wykazaliście: robicie błędy ortograficzne i stylistyczne. To nawet nie najgorsze — gorzej, że pisaście co wam tam ślina na język przyniosła, czyli tzw. prawdę obiektywną. Wyobraźcie sobie, co to, a sprawozdawczość to wyobraźnia, wyobraźnia i jeszcze raz wyobraźnia jak mówił ten... no... Arbatow czy Rybakow... a może Kocznów? Nie pamiętam. No i co ja z wami zrobię?

Wzorzec moralny

Tu nastąpiła przerwa i szef znów przyglądał mi się badawczo. Zmartwiałem. Wyrzucił, wyrzucił jak nie! Szukaj sobie, bracie, roboty...

Szef przerwał wreszcie milczenie:

— Ja otóż mam dla was specjalne zajęcia. Wy jesteście człowiekiem niekarany, znaczny nie kradniecie. Samotny jesteście, znaczny żony ani dzieci nie maltretujecie. Od pierwszego będziecie wzorcem moralnym!

Myśli hukły mi się po głowie jak szalone. Wzorzec? Wzorzec? Jest coś takiego, zdaje się w Sewres pod Paryżem. Nie, to niemożliwe, do Francji mnie nie posła. A może zmuśnięć i postawić w gablocie na korytarzu? Horror!

— Widzę, że nie rozumiecie — szef jakby złagodniał nieco. — Będziecie robili to, co robicie. Akuratnie, porządnie. Ale w życiu prywatnym i w pracy macie być wzorem dla całego biura. Mnie jest ktoś taki potrzebny, rozumiecie? Żeby każdy wiedział, jak ma postępować, co robić. Po prostu — będziecie się naśladować! Proste? A wam się da to do datki funkcyny!

Ostatnie słowa trochę mi udobrywały, ale jeszcze nie dawałem za wygraną. — Dlaczego ja? — wykrztusiłem — przecież są w naszym biurze postaci świetlane, wspaniali bezinteresowni społecznicy o nienaganej opinii i obliczu. Że tak powiem, etycznie-moralnie. Choćby pan, panie naczelniku, nie w wspomnę o naszym dyrektorze generalnym, i partyni, a ja tylko do filatelistów należę...

— Bez płaskich komplementów. Bardzo dobrze, że jesteście bezpartyjni. Takie czasy, że poszukujemy dopływu świeżych kadr również ze środowisk bezpartyjnych.

— Albo taki inspektor Barabas, człowiek fizycznie niepozorny, ale wielkiego ducha! Pomagał bezinteresownie rolnikom w żniwach. Albo koleżanka Skarłupnia — opiekuje się bezdomnymi psami. Referent Szykła wygłasza pogadanki do sportowców, osobliwie dla piłkarzy. Podobno już jest kilku nieprzekupnych, taka się moralna reprezentacja nasz kolega! Albo Koczkodanśka — opiekuje się alkoholikami, którzy porzucili nałóg. Ostatnio podobno oświadczyła, że karmi osobistą pierśią podzrutka, synka narkomana i syfilityka! Wszystko to ludzie wielkiej szlachetności!

— Dość tego — szef znów surowie popatrzył na mnie. — Jesteście łatwowierni, to potwierdza trafność waszej kandydatury. Skarłupnia hoduje rasowe psy i sprzedaje po horrendalnych cenach. Barabas to drań, co tonacemu szklanki wody nie poda. Znamy pod pseudonimem „mały gangster”. Szykła jest umoczony w handel zawodnikami i wynikami meczów, a Koczkodanśka rzeczywiście przysięgnęła sierotce, tyle że sierotka ma dziewiętnaście lat i metr dziewięćdziesiąt wzrostu oraz obfity zarost. Wy będziecie wzorcem moralnym i koniec. Odmaszerować! I od pierwszego święta przykładać! Zrozumiano?

Po wyjściu z gabinetu byłem nieco oszłamiony, ale też szybko poczułem się w nowej roli: powiedziałem komplement sekretarce, chociaż jest paskudna jak poślubna noc listopadowa i donosi naczelnikowi. A niech tam! Skoro jestem wzorcem moralnym to muszę być wyrozumiały...

Kiedy jeden z kolegów z działu zaproponował, żebyśmy wyskoczyli na małą wódeczkę pod śledzika, odmówiłem stanowczo. Wzorzec moralny to abstynent! Palenie też będzie wypadło rzucić...

Następnego dnia pozamiatałem pod blokiem. Sąsiedzi pukali się w czoło, a najwięcej dozorca... Szkoda, że nikt z biura mnie nie widział!

W pracy od rana podziwiałem się radcy Zamorskiemu. Wiadomo, że to szuja i nigdy nie był marynarzem w PLO, jak utrzymuje. Pływał we flocie przybrzeżnej, a i tam złapał go na przemyśle! Przyjaźnie potraktował również żulera i oszusta Pasikofskiego. W jednym z biurowych pokoi, gdzie siedzi dobrana parka handlarzy kradzionych samochodów, rozdałem zaproszenia na odbyt organizowany przez Towarzystwo Krzewienia Kultury Moralnej. Po wyjściu z pokoju usłyszałem salwę śmiechu...

Pogawędziłem przyjaźnie z zastępcą naczelnika, magistrzem Ożko. Pochwaliłem jego amatorskie zdjęcia, choć wiem że dorabia na rozpowszechnianiu wypożyczanych aktów. Do których pozuje panna Koczkodanśka. W biurowym bucie spotkałem chuligana i znanego awanturnika, niejakiego Ogórka. Siedział w towarzystwie podstępnej i cynicznej Matuli. Matula jest cinkciarzem, a nawet podobno pożyczka pieniądze na lichwiarski procent i trudni się sutensterstwem. Nic to, ja was, zjadacz chleba, w aniołów przerobię! — pomyślałem sobie i przysiadłem się, aby szerzyć wśród tej zginiłnej moralnej zdrowe poglądy i uwielbienie dla cnoty. Kiedy zacząłem mówić, po kolei spoglądali na zegarki i wstawali od stolika...

Poczułem odpowiedzialność dokonania czegoś, co wstrząśnie sumieniami moich kolegów. Już wiem! Pobiegłem do szefa:

— Panie naczelniku — zacząłem bez wstępów — wszyscy wiedzą, że wille z ogrodem, jak pan postawił dwa lata temu nie zbudował pan za spadek. Pieniądze na nią zdobył pan w wyniku malwersacji i wykorzystywania stanowiska służbowego. Ja otóż jako zakładowy wzorzec moralny, proponuję, żeby pan ją oddał na przedzłote dla dzieci pracowników naszego biura. Na odpowiednie wyposażenie złożymy się wszyscy. Ja deklaruje swój dodatek funkcyny, moja skromna pensja mi wystarczy...

— Woni! — usłyszałem w odpowiedzi — ja wam dałem etat wzorca moralnego, a nie prokuratora! Idiota jesteście! Jesteście wzorcem głupoty i w takim charakterze możecie tylko u nas pracować! Oczywiście tylko na pół etatu, jako półgłówki! I bez dodatku funkcyny!

ANDRZEJ KAROL



Pod prąd

Za karę do ZUS-u?

Przyjaciel mój niedomaga od dawna. Jakiego przewlekłego o-wrządzenie przewodu pokarmowego — prawdopodobnie o podłożu nerwowym, zwyrodnienie kręgosłupa w odcinku lędźwiowym, kamica nerkowa i coś tam jeszcze. No cóż, w naszym wieku...

Od dawna też przyjaciel leczy się na te dolegliwości u różnych lekarzy i z różnym skutkiem — najczęściej takim, że odsyła go jeden do drugiego, jakby na siłę chcieli pozbyć się kłopotliwego pacjenta, który nie potrafi pogodzić się ze stanem swego organizmu i koniecznie swego nie być zdrowym. Dlatego jeśli mu współczuję, to nie tyle może z powodu całej kolekcji chorób, co — owych wizyt u specjalistów, poprzedzających, z reguły ponad miesięcznym na nie oczekiwaniami, wysiadywania w kolejkach pod gabinetami i ciągłych starań o coraz to nowe leki, o które przecież coraz trudniej.

Ostatnio przyjaciel zawiadomił mnie, że lekarze wpadli na pomysł skierowania go na rentę. Powiedział to ze smutkiem, ale i z nadzieją, że wreszcie będzie miał dość czasu i siły, aby móc naprawdę zacząć się leczyć, gdyż dotychczas, pracując zawodowo... W każdym razie nie była to ani efektywne, ani skuteczne leczenie, lecz nieustanna, wyczerpująca fizycznie i nerwowo szamotanina. Zaproszono też, abym towarzyszył mu, kiedy stanie przed komisją lekarską, mającą orzec, czy będzie z niego rencista, czy nie.

Wyznaczonego dnia wybrałem się więc razem do Zakładu Ubezpieczeń Społecznych przy ulicy Zamenhofa wiechłistym windą na XI piętro i... Zahartowany już w „bojach” ze służbą zdrowia przyjaciel nie był nawet zbyt zdziwiony, ja jednak doznałem szoku na widok tego, co tam zobaczyłem oraz czego się dowiedziałem.

Po pierwsze, na jedną i tę samą godzinę zaproszono przed oblicze komisji kilkanaście osób, z których ostatnia musiała czekać na przyjęcie około trzech godzin. Moim zdaniem, zupełnie niepotrzebnie, gdyż można przecież już przy wyznaczaniu zawiadomień przewidzieć, kto i kiedy może wejść do gabinetu, znając przecież czas na zbadanie jednej sprawy (właśnie sprawy, a nie — człowieka!). W ten banalny prosty sposób każdy błąd w rozpoznanu na swoją porę, a czekałby jedynie w przypadku przybycia przed czasem lub spóźnienia, przesuwającego go automatycznie na koniec. Ustawiłoby to, rzecz jasna, życie pacjentom (petentom?), choć utrudniło może nieco — lekarzom. Pamiętajmy jednak o tym, kto to jest chory!

Po drugie, korytarzyk przed gabinetami okręgowych komisji lekarskich, gdzie, już zanim przybyliśmy, kłębił się spory tłumek, jest wyjątkowo ciasny i duszny. Jedynie w nim okno — zamknięte, podobnie jak wszystkie toalety na XI piętrze, z których mogą korzystać jedynie pracownicy ZUS. Przyszli i niedość renciści nie sa, widać, godni. A może jest to swoiste zabezpieczenie, aby udręczeni czekaniem i zdenerwowani ludzie nie wyskoczyli w akcie desperacji na asfalt, albo nie utonili się w muszli klozetowej?

Samo badanie nie trwało za to zbyt długo (cztery, może pięć minut) i nie było pozbawione — jak opowiadał mi po wyjściu — przyjacieli — pewnych cech typowej farsy. Dwuosobowa komisja przepytala go tak na egzaminie, na co się skarży, jakie ma objawy i ile lat już przepracował, po czym został zważony przez osłuchany stetoskopem przez koszałę, której do końca nie zdążył oddać. Przyniesione zdjęcia rentgenowskie komisji nie interesowały, gdyż były bez opisu, widok zwrócony na kręgosłup — również. Tylko karty chorób zostały jako tako prze-

zrzone. I to wszystko. Słowo honoru.

Mam pytanie: czy wieciominutowy kontakt z chorym i jego dokumentami rzeczywiście daje podstawę do powzięcia właściwej decyzji o — często — całym dalszym życiu tego człowieka? Ja bym się w każdym razie na to nie odważył.

JÓZEF RETMAN

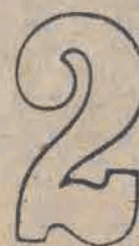
P.S.

Pan Czytelnik (tak się podpisał, samym nazwiskiem, bez imienia) zarzuca mi w liście, że jestem „głup...”, gdyż napisałem, że za naprawę telewizorów (w ramach fuchy) młody chłopak szybko kupił sobie komputer.

Otóż panie Czytelniku, to nie ja nie wiem, co pisze, ale pan po prostu nie rozumiesz, co czytasz, i wyobrażasz sobie chyba, że komputer, to — jak dwadzieścia lat temu — dziesięć wielkich szaf z lampami i drukarkami, warte ciężkie miliony. Współczesne komputery mieszczą się z powodzeniem w torbie na zakupy i nierzadko kupowane są przez rodziców dzieciom pod choinkę. W Centralnej Składnicy Harcerzkiej mikrokomputer „Timex” kosztował do niedawna 106 tys. zł polskich. W „Pewexie” komputer „Atari” można zaś dostać już za 125 dolarów, więc niewiele drożej.

Czy rzeczywiście młody, zdolny chłopak naprawiający kolorowe telewizory, a nie placacy od tego podatku, nie mógł kupić sobie komputera w stosunkowo krótkim czasie, zważywszy, iż jedna naprawa opiewa na sumę zwykle kilku tysięcy złotych?

J. R.



Lewym okiem

Nasza Japonia

W reportażach z Japonii spotkałem ostatnio parę razy słowo „pracoholizm”. Nie wiem czy jest to słowo tłumaczone z japońskiego, czy też powstało u nas, w każdym razie oznacza ono zjawisko wielkiego zaangażowania Japończyków w pracę zawodową. Japończyk zapamiętuje się w pracy, odurza się nią jak alkoholem. Japończyk nie opuszcza nigdy miejsca pracy przed swoim zwierzchnikiem, niechętnie korzysta z wolnych godzin, dni i urlopów. Wyniki takiego stanu rzeczy są znane, potęga gospodarcza Japonii, jako państwa, nie ulega kwestii. Być może, że jest to okupienie nieustannym stresem japońskich pracowników, ich ambicja w stosunku do wszy-

stkiego, co nie jest związane bezpośrednio z pracą zawodową. Już nawet — czytamy w reportażach — władze zaczynają się tym niepokoić, zastanawiają się, jak by tu namówić Japończyków do większej konsumpcji, do lepszego korzystania z wolnego czasu i z rozrywek.

Jak wobec tego wygląda, sławne hasło, raucione parę lat temu, stworzenia w Polsce drugiej Japonii? My przecież nie tacy, my pracą zwariować się nie damy. Pracoholizm jest nam z gruntu obcy i poznać go bliżej nie chcemy.

A jednak... Jednak możemy przecież sięgnąć do szczególnych parametrów, które pozwalają porównać nasz kraj z Krajiną Wschodzącego Słońca. Tam czyha groźna Fudzi, Jami i kilkanaście innych wulkanów. Co jakiś czas ziemia się trzęsie, to i owo spada ludziom na głowy. A czy u nas ziemia się nie trzęsie? Czy nie zdarzają się, co kilka lat wstrząsy, że zło-

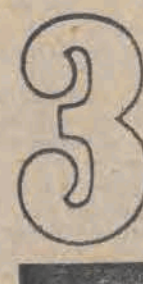
wiek ze strachu zębami drzwoni? Japończycy mają, wiadomo, skośne oczy. A czy u nas, jeden na drugiego, zezem nie patrzy, zwłaszcza, kiedy stoją przed kioskiem w kolejce po papierosa? Lubią też nasi rodacy w ciągu dnia zdręmnąć się gdzieś, choćby i w czasie pracy, zdręmnąć się czyli „uderzyć w kimono”. A kimono to przecież Japonia!

Cesarza to u nas nie ma i nie będzie, wystarczy samuraje. No i gejsze. Gejsze to owszem, takie gejsze tutejsze. Zamiast japońskiego kwiatu wiśni będziemy mieli niedługo w naszym herbie flaszki wiśniówki, ze znakiem „Q”, jako wyrób najwyższej jakości naszego przemysłu precyzyjnego. W wolną od pracy sobotę, albo też w przerwie pomiędzy kursokonferencją a zebraniem roboczym, spotka się pracownik takiego przemysłu precyzyjnego z gejszą, popija sobie herbaczkę, a herbaczkę to nie tylko, że japońska specjalność, ale też jedna z niewielu używek dostępnych jeszcze średnim klasom pracowników sektora uspołecznionego. No i zaczyna się po japońsku zabawać: co on jej dłu-dłusku to ona jemu karate, co on jej sepuku, to ona jemu harakiri...

Szkoda tylko, że ryż nie chce się u nas jakoś przyjąć. Tere-nów zabagnionych mamy przecież sporo i to jak, a ryż ciągle kupuje się nie na wagę tylko na ucho. Mimo to pewnych cech wspólnych możemy się jednak dopatrzeć. Nawet nasz język zaczyna się powoli zbliżać do języka poddanych Hirohito. Sam słyszałem niedawno na ulicy:

mama lata na bosaka
tata ma kaca...

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI



Sport

Bilans

1. Księgowi opowiadają, że kiedy robi się bilans i zabraknie jednego grosza — tak bywało dawniej, dziś zapewne chodziliby o jedną złotówkę — a co gorsza, jak o jeden grosz wychodzi za dużo, to trzeba tak długo szukać, aż się znajdzie błąd. A co w futbolu? Jak tu wygląda bilans?

2. W eliminacjach do mistrzostw świata przyjdzie naszej reprezentacji grać z reprezentacjami: Albanii, Anglii i Szwecji. Nie ma w tym zestawie słabych. Słabi jesteśmy my. Ale dyżurni optymiści już zapewniali, że „mamy szansę”. Jedna szansa istnieje zawsze: zając ostatnie miejsce w tych eliminacjach.

3. Mamy bardzo dobrych piłkarzy, ale grają w obcych klubach. Trener reprezentacji narodowej — Wojciech Łazarek na ogół ich nie powoływał do gry. Zbigniew Boniek nie grał ani razu w reprezentacji Polski w 1987 roku. To samo Józef Młynarczyk. Włodzimierz Smolarek grał 3 razy Miroslaw Okiński tylko raz. Roman Wójcicki tyle samo co Włodzimierz Smolarek, czyli 3 razy. Ich młodzi koledzy niezbyt dobrze spisywali się w reprezentacji. W 11 meczach, które rozegrali w 1987 roku, strzelono 20 bramek, ale — co za pech — nie w tych decydujących: z Cyprzem w Gdańsku, Grecją w Atenach, Holandią w Zabrzu.

Miroslaw Skórzewski napisał w „Przeglądzie Sportowym”: „Reprezentacja grała w klimacie bardzo nie sprzyjającym dla całego futbolu, atmosfera wokół i wewnątrz drużyny narodowej nie była najlepsza, a przecież nie jest to twór wyizolowany. Placi ona za wszelkie błędy, od szkolenia juniorów poczynając. Jej wyniki były więc odbiciem kryzysu, który ogarnął całe nasze piłkarstwo. A światła w tunelu nie razie nie widać”.

Dojrzał jest jednak dyżurni optymiści. Według nich jest szansa...

4. Tygodnik „Piłka Nożna”

jak co roku zrobił klasyfikację polskich piłkarzy. W takiej klasyfikacji są trzy klasy: międzynarodowa, reprezentacyjna, krajowa. Klasyfikatory „Piłki Nożnej” uznali, że nikt z grających w Polsce nie kwalifikuje się do klasy międzynarodowej — kto się kwalifikował już gra w zagranicznych klubach — oraz, że nikt się nie kwalifikuje do klasy reprezentacyjnej. Wojciech Łazarek myśli chyba podobnie, tylko się do tego nie przyznaje. Sprawdził w 1987 roku 44 piłkarzy i nie mu z tego nie wyszło. Reprezentacji Polski w piłce nożnej nie ma nadal. Trudno w tej kwestii nie zgodzić się z klasyfikatorami „Piłki Nożnej”.

5. Katowicki „Sport” — żartobliwie oczywiście, ale i złośliwie jednocześnie — ułożył drużynę z działaczy i trenerów oraz tych, którzy się często na ten temat wypowiadają. Na bramce prezes PZPN — Jamborski, w obronie: Łazarek, Górski, Kalfiski. Podeszowny. W pomocy: Eksztajn, Hurkowski, Gocel. W ataku: Bunio, Chomontek i Tomaszewski.

6. Tenże katowicki „Sport” ma pretensje do Jana Tomaszewskiego, że choć mu się nie udało wyjazd do Emiratów Arabskich w charakterze szkoleniowca, to teraz wybiera się w takimi charakterze do Algierii.

„Sport” proponuje, aby zajął się szkoleniem łódzkiej piłkarskiej. „Wiele lat temu Tadeusz Boy-Żeleński napisał w „Słówach”: „z tym największy jest ambroz, żeby dwoje chciało naraz”. Ta uniwersalna prawda odnosi się też do Jana Tomaszewskiego. Jak on chce, to inni nie chcą i odwrotnie. A skoro tu go nie chcą i chcą gdzie indziej, to dlaczego ma nie skończyć?

7. Coraz więcej polskich szkoleniowców pracuje poza granicami Polski. W Tunizji właśnie zadomawia się Antoni Piechniczek. Przy okazji zwierył się korespondentowi PAP, że spotyka się tam z kilkoma kolegami: Bernardem Blautem, Romanem Trzmielcem oraz Hubertem Wagnerem, który skończył tam siatkarszą „Piłkę Nożną” wyraża zdziwienie, dlaczego nie wspomni o Ryszardzie Kuleszy, który też szkoli piłkarzy w Tunizji. Może Antoni Piechniczek nie lubi Ryszarda Kuleszy?

8. Polskie Kolegium Sędziów — piłkarskich oczywiście — poinformowało dziennikarzy, że ich zdaniem z sędziowaniem nie ma kłopotów i problemów. Jest coraz lepiej! Dziennikarze pozostali przy swoim zdaniu, że jest źle.

9. Bandyckim napadem na sędziów w Przysiersku — o czym pisałem w poprzednim numerze „Odgłosów” z 1987 roku — zainteresował się reporter „Sztandar Młodych” Marek Michałowski. Pojechał do Przysierska i rozmawiał z różnymi ludźmi. W tym z naczelnikiem gminy, sekretarzem KG PZPR, działaczem LZS Sparta w Przysiersku i nawet z prokuratorem rejonowym w Świeciu. W wyniku tych rozmów doszedł do zastanawiającego wniosku:

— „Jeżeli ktoś kogoś pobije, to jest to wydarzenie, nad którym nie można przejść do porządku dziennego. Sprawy muszą być ustalone i ukarane — twierdzą zgodnym chórem w Przysiersku. — Jak jednak można całe odium za wybrzyki kilku chuliganów zrzucać na całą wieś bez winliwego zbadania wydarzeń na miejscu? Jest wiele wątpliwości co do sposobu jej załatwienia przez OZPN Bydgoszcz”.

Też jestem przeciwna zbiorowej odpowiedzialności, ale Marek Michałowski zdaje się nie rozumieć, że wcale nie o to chodzi. Tylko o to, aby w takiej wsi — w każdej wsi — znalazł się ktoś, kto powstrzyma rękę chuligana. Jak do tej pory ludzie raczej chowają się po kątach i zamykają okna. Ale to już inna sprawa.

10. Bilans nam się nie udał. Nie się nie zgadza. Jest i manko i superata.

Wszystkiego najlepszego z nadchodzącym 1988 rokiem!

BOGDA MADEJ

— Jesteś na rozdrożu, Cullinan — stwierdziłem orzekając. — Nie tylko ty z naszych chłopaków tutaj. Ale co dalej?

W dżunglach i na polach ryżowych tysiąc mil na północ od mego apartamentu w wytwornym Mandarin Singapore Hotel wojna wchodziła w swoje rozstrzygające stadium. Uwikłała nas w nią doktryna ochrony siłą globalnych — gdziekolwiek by nie było — interesów Ameryki. Wszystkie zabawki świata są nasze! Doktryna wyzywająca, niebezpieczna dla nas samych, która prędzej czy później — jeżeli ślepo przestrzegana — doprowadzi świat do katastrofy. Już od dłuższego czasu tak myślałem. Cullinan też.

O przelaniu się czary decyduje zawsze jedna kropka. Kilka dni później obaj wykupiliśmy bilety lotnicze do Rzymu.

Spakowałem się. Rzeczy z szafy i z szuflad powędrowały do torby podróżnej, przybory z łazienki po toalecie porannej włożyłem do nesesera. Znajdź się tam również miejsce na aktówkę, w której przechowyuję oryginalny mój maszynopis. Nigdy się z nim nie rozstaję. Jest to mój największy skarb, istota dla mnie żywa, bardzo kłóliwa, wiodąca ze mną niekończące się spory, mająca w nich zawsze ostatnie słowo. Często przypisuję mu cechy pięknej kobiety. Do szaleństwa pożądanego, nie zaspokajającego mnie do końca, świadomie wymykającej się spod mojej ręki, poddawającej się takcie. Ta moja dąże się pieścić, poddawająca się, doprowadza i kiedy szczęście bliskie — trzask, czarowny puchar znika. Istota ta najbardziej dała mi się we znaki na początku naszej znajomości. Spotkanie było przypadkowe. Czekając w pewnym lokalu w Rzymie na kobiecie, zacząłem kreslić na serwetkach jakieś zdania. Okna wychodziły na Summa Sacra Via — jest tam na co popatrzeć, ale uwagę moją zaprzętneli dwaj nasi oficerowie, będący na cyku, zachowujący się jak u siebie w kasy. Nie brali lokalu w posiadanie przemocą, bynajmniej: debatowali — głośno, planista nie dawał im rady — na temat hipotetycznej sytuacji, w której zawrócenie rakiet odpalonych na wiadome cele byłoby już niemożliwe. Miał na ten temat zdanie. Delektowali się odliczaniem, odpalaniem, symulowaniem toru lotu rakiet; z przeprowadzonej na oczach zdegrustowanych gości gry wojennej wychodziło, że pora na to najwyższa. Jestem daleki od generalizowania. Nasi ludzie stacjonujący w Europie wiedzą jak się zachować, ci dwaj byli przysłowiowym wyjątkiem potwierdzającym regułę; to na temat ich debaty pisałem. Dama, z którą byłem umówiony, nie przychodziła, serwetki zapisywały się same, następnego dnia poprzestawiałem tekst, pokreśliłem, rozbudowałem i w ten sposób narodził się wstęp do mojej książki. „Od autora” zatytułowałem go. Jak w rozprawie naukowej dla nie wtajemniczonych, których trzeba wstępnie wprowadzić w temat, gdyż inaczej nie polapią się, w czym rzecz. Z równym powodzeniem wstęp taki napisałby wydawca bądź krytyk. Jeden i drugiگونالby go od ręki. Do tego jednak niezbędny jest dystans do dzieła, brak emocjonalnego zaangażowania; dla autora jest to jak dokonywanie skalepielem chirurgicznym wiwisekcji na własnym dziecku, w przekonaniu, że później da się je złożyć w żywą całość.

Poruszana w mojej książce tematyka, a raczej jej ujęcie, wymaga przygotowania czytelnika. Będę atakowany z wielu stron. Jedni okrzykną mnie zdrajcą świętej sprawy, inni zarzucą mi bujanie w obłokach, jeszcze inni stukną się będą w czoło, ale odwrotu dla mnie już nie ma. Chcąc skończyć ze stałym powracaniem do wstępu, postanowiłem po przyjeździe na nowe miejsce wysłać go do Davida z prośbą, aby pod żadnym warunkiem nie oddawał mi go przed ukończeniem książki.

Poprosiłem recepcję o przygotowanie rachunku na jutro rano. Chcąc oszczędzić sobie legitymowania się paszportem, zameldowałem się pod nazwiskiem Sanberg z Treleborga. Przyszedł mi to do głowy, kiedy wyciągałem pióro. Z zapisem tym zaczęła się właściwie zębna zabawa w Szweda. Potrzebnych do tego słów, łatwych do zapamiętania i poprawnej wymowy nauczyłem się z przewodnika dla turystów zagranicznych. W tym kraju można obejść się bez znajomości szwedzkiego, każdy tutaj mówi po angielsku, formalności meldunkowe ograniczają się do paru danych wpisywanych przez gościa do księgi osobistej; recepcjonista renomowanego hotelu nie pozwoliłby sobie na przyglądanie się wpisowi. Hotele mają zarabiać!

Dobra zasada. Jutro zabiorę maszynę do pisania, sprawdzę stan barku w moim pokoju, kiedy wrócę ze śniadania, rachunek będzie leżał na tacy. Uiszczę go gotówką — jako Szwed nie mogę posługiwać się moją kartą kredytową. Tyle pieniędzy nie mam przy sobie, ale i tym nie ma problemu; rano udam się do banku bądź skorzystam z automatycznego kasjera na ulicy. Moje konto w Barclay Bank w Londynie szczylił się trzepoczącym dumnie sztandarem. David ma ważną w życiu cnotę, do której w mojej rodzinie nie przywiązywano należytą uwagę: umie robić pieniądze. Kopernik był geniuszem w astronomii, Szekspir w dramacie, Corbusier w architekturze, Einstein w fizyce, David w tym. Jest to jedyne udane

Przedruk w całości lub we fragmentach zastrzeżony.

Matnia

4

LEONARD

w świecie perpetuum mobile produkujące non stop pieniądze. Gdzie by się nie pokazał, czego by nie tknął, dokąd by się nie udał, wszędzie lgnie do niego złoto. Jak on to robi, pozostaje jego tajemnicą. Jeszcze za czasów naszych, nazwijmy to: peregrynacji po Azji, zawarliśmy coś w rodzaju gentleman's agreement: nie stawiać sobie pytań; dla ludzi będących na garnuszku Wuja Sama było to jedynym wyjściem z sytuacji. David szastał pieniędzmi. Nie robionymi na nielegalnych transakcjach z sajońskimi bonzami ani na czarnym rynku. Szastał, nie krył się z tym, źródło ich pochodzenia nie mogło być lewe. Ostatnia nie podejrzenia zerwało wypowiedzenie przez niego posłuszeństwa firmie niedużo po mnie. Zdawało się, że jego nowy status zrówna go materialnie z większością odszczepieńców zmuszonych do liczenia się z groszem — nie podobnego, dopiero wtedy Fortuna przystąpiła do jawnej z nim spółki. Dziecko szczęścia, jak można było kreować go na bohatera narodowego! Dobre dziecko, nie zapominające o kolegach.

Moja sytuacja materialna byłaby bez pomocy Davida też inna. Nie umarłbym z głodu, przy moich rodzicach na pewno nie, ale hotele czterogwiazdkowe oglądałbym z fasady. O wydatkach na przetrwanie się z kraju do kraju, na pisanie mógłbym tylko pomarzyć. To nieprawda, że do napisania książki trzeba talentu — czy jakby to nazwać — pióra i papieru; niezbędne są jeszcze warunki. Czarodzieje tworzący na poddażu o chlebie i wodzie należą do epoki surduta, kolasy i świeczki. W dzisiejszym niespokojnym świecie, pędzącym na lew, na szyję ku swemu przeznaczeniu pilsarz potrzebuje doznań otwierających wrota skumulowanemu w nim ładunkowi, wyzwolenia z obrazy frustracji, a przede wszystkim spokoju. Pamiętam opowiadki Charlesa Dickens o babc i dziadku żyjących w ciżby leśnych ostępów, o hucznych zabawach z okazji jarmarku w powiatowym miasteczku, o... To już nie te czasy! Urok jak leśnych werteptów, uwolnienie się od ludzi i miejskiego hałasu to dzisiaj artykuły kosztowne, gdyby nie David...

Zawarliśmy męską umowę. — Widzisz, chłopie, napisz książkę to nawet nie połowa drogi. Na dziesięć tysięcy chcących zarabiać piórem w Stanach, jeden odnosi sukces. Temat jest wyjątkowo na czasie, podpisuję się pod nim oboma rękami, żeby go jednak spieniężyć, potrzebny i najważniejszy jest sponsor. Facet, który ma wśród wydawców chody i o twojej robocie wystawi atrakcyjną dla nich notkę. Proponuję ci porozumienie. Ty pisz, sprawę wydania i w ogóle resztę pozostaw mnie. Na warunkach całkowitej wyłączności i bez stawiania pytań po drodze. Otwieram ci konto w banku w zamian za manuskrypt przesyłany mi gotowymi do druku partiami. Jak rzecz będzie skończona, pogadamy. Odpowiada ci?

Patrząc na tę umowę poprzez przekazy na moje konto, ocena mojej książki przez Davida sponsora, którego dla niej znalazł, czy samego wydawcy musi być wysoka, niekiedy obawiam się, czy nie jest przesadzona. Jeżeli David nie zabawi się w cichego filantropa, pochlebia mi. Jestem mu za to wdzięczny.

Ten człowiek, jeżeli nie skróci sobie na czymś karku, osiągnie krocie. To typ urodzonego organizatora i przywódcy. Jego obecność jest pozorna. Nasz pierwszy kontakt w Da Nang, po — jak tam to nazywano — „przesłuchaniu” wziętych do niewoli dziewcząt, nie wypadł dla niego korzystnie, choć on osobiście nie brał w tym udziału. „Okruciństwo

w wojnie to sprawa nie moralności, a punktu widzenia” — gorzej nie mógł zacząć. Smutny bywa los wyobrażeń w konfrontacji z rzeczywistością. On był dojrzały ode mnie, już odarty z domowych złudzeń, podczas gdy mnie hulały w uszach optymistyczne zapewnienia naszych polityków, a dionie nie wystygły jeszcze od okłasków. Była to cenna lekcja życia, zmienna dla mojej przyszłości.

ROZDZIAŁ 2

W hallu terminalu lotniczego znalazłem się ponad godzinę przed odlotem samolotu. Stanowisko odprawy do Helsinek było jeszcze nieczynne, nie mogłem odprawić bagażu. Rozegrałem się za wolnym miejscem, gdy nagle wydało mi się, że jestem obserwowany. Nie wielu pasażerów kręciło się w hallu, nie wszystkie fotele i kanapy były zajęte, cały hall wyświecony starym złotem parkietu był właściwie mój, mogłem wybierać do woli. Mój wzrost tym razem stał się moim przeciwnikiem. Skandynawowie nie należą do ludzi niskich, a niewielu znajdowałem wyższych ode mnie. Nic prostszego, jak usiąść gdzieś w kącie i z gazety przyjrzyć się otoczeniu — metoda stara jak świat w takich sytuacjach. Ma ona jednak ten mankament, że osadza zwierzę w miejscu, chcąc zaś wyluskać tropiciela z tłumy należy być w ruchu.

Miałem uczucie, że jestem śledzony. Na ile jest ono uzasadnione, na ile zwykłym przewrażliwieniem, rozstrzygnie przyszłość. Na razie nie wolno mi tego bagatelizować.

Na jednej z kanap siedziała sympatyczna pani w średnim wieku. Położyłem na wolnym obok niej miejscu torbę i uśmiechając się na znak, że zaraz wrócę, z neseserem w ręku skierowałem się ku kioskowi.

Nie wyobrażam sobie lotnisk, dworców kolejowych bez kiosków. Na półkach tytuły pism z całego świata poprzetykane nagaścią, za ladą ona. Hostessy na szwedzkich lotniskach są najlepszą reklamą tego kraju. Ubrana w kostium z cienkiej niebieskiej wełny, niebieskie oczy, na ustach uśmiech wyczekiwaną, dla każdego w tym przedemokratycznym kraju jednakowy. Czy rzeczywiście?

Ślizgam się wzrokiem po tytułach, ale swoje widzę. Złotawa bluzka z krótkimi rękawami wpuszczona w spódnice, dwie naszywane kieszonki na zbuntowanych wzgórzach piersi. Mój wzrok nie zsuwa się niżej białego paska w tali, nie wlatuje ponad szeroko rozpięty kołnierzyk bluzki, dając wstrząsliwego nurka przed koroną jasnych włosów. Lubię wszystkie odcienie niebieskiego; ten kolor nie jest wcale zimny. Oddam całą paletę tęczy za kombinację niebieskiego ze złotem. Przekliadam morze nad góry, lecz wzgórze i pagórki w złotawej bielźnie lubię. „Rapsody in Blue”. Co nasuło Gershwinowi to „blue”? Sympalnia w kolorach niebieskim i złotym — wyobrażam sobie tę kombinację. Czerwień? — uciekłbym z takiego piekła! Potop goliżny na ilustracjach wokół bluzki z kieszonkami przypomina mi sypialnię Gundborg, przemawia do mnie jej gorącym szeptem. Zauważ, że nie zostałem dłużej, nie mnie przecież stąd nie wypędza. Ale ta naprzeciwko patrzy i czeka, muszę się zdecydować.

Na okładce zachodnoniemieckiego „Sterna” tragedia uprowadzonego samolotu pasażerskiego Lufthansy. Era piratów powietrznych. Porywacze ogłosili ultimatum: albo spełnienie żądań, albo samolot z pasażerami wyleci w powietrze. Na dowód, że nie żartują, zastrzelili jednego pilota, zwłoki wyrzucili za burtę. Teraz kolej na rząd Republiki Federalnej. Bezwarunkowa kapitulacja albo osiemdziesiąt sześć trupów. Czwórka desperados kontra największa potęga gospodarcza kapitalistycznej Europy. Wydarzenie nabrało specyficznego rozgłosu. Świat z zapartym oddechem śledzi, jak zareagują Niemcy. Wiadomo... Żydzi z porywaczami ich samolotu pasażerskiego załatwili się w

Ugandzie na złoty medal, a oni? Nieszczęsny samolot, już prawie trumna dla uwiecznionych pasażerów, w otoczce okładek z wypiętymi tyłkami. Życie. Nigdy nie było inne i nie będzie! Gundborg na pewno dzwoniła do domu i już wie. Oprócz listu nagrałem na taśmę telefonu kilka słów pożegnania; kiedy nakręcała kod zapisu, usłyszała mnie w słuchawce. Jak ona się czuje na sali wykładów po takich zapasach? Wylatywała z domu na skrzydłach, niespożyte siły ma ta dziewczyna!

A ta z rękami opuszczonymi luźno wzdłuż ciała, z dłońmi splecionymi niewinnie na podolku i wzrokiem utkwnionym we mnie? Wcale niepodobna do wyzywającej Gundborg.

Dłużej nie mogłem dać jej czekać. Zdecydowałem się na „Sterna”, „International Herald Tribune” i „Newsweek”. Na tej samej półce rozpostierał się tradycyjnie bezwyrazowy londyński „Times”. Z reguły nie kupuję tego dziennika: nudna grafika, poza na imperialne staroście, prasa brytyjska straciła dawną ikre. Ale co tam oni wobec tej miłej dziewczyny! Złożone pisma wcisnąłem pod pachę. Gdyby nie myśzkujące za mną oczy niebieskich kieszonek, wzięłbym coś swawolniejszego dla relaksu, którego w tej chwili potrzebowałem. Podziękowałem za resztę ze stukoronowego banknotu i zatrzymałem się przed automatem z papierosami. Bezmyślność — mogłem przecież nabyć je u niebiesko-złotawej albo za połowę ceny w duty free shopie. Zmęczenie nocą czy nerwy?

Dzień jest słoneczny, bezwietrzny, a ja czuję się jak przed burzą. Przed lotem ze mną zawsze tak. Nie ze strachu i bez związku z przegodą samolotu Lufthansy. Masę czasu spędziłem w powietrzu. Z dziesięć razy przeleciałem Pacyfik w obie strony, zeglowałem w sumie miesiącami nad oceanem Amerykami i Azją, wszystko było w porządku do czasu przystąpienia do pisania książki. Dzieło nie jest gotowe, a ja nie chcę schodzić ze sceny bez okłasków, na to wygląda. Jeżeli kobiety w ciąży odczuwają podobny strach o nie narodzone jeszcze dziecko, nie ma im czego zazdrościć. Mój lot potrwa pół godziny. Ledwie zdąży się wyprostować nogi, rozejrzeć się po współpasażerach, a już historia z zapinaniem pasa, gaszeniem papierosów i wysiadka. Strasznie małe jest jesiorno zwane Morzem Bałtyckim. Moje stanowisko odprawy jest wciąż nieczynne, sympatyczna pani w średnim wieku, pilnująca mego bagażu, zapewnia mnie uśmiechem, że mogę sobie jeszcze pochodzić, wobec tego kieruje kroki ku sklepowi wolnocłowemu. Nie tam właściwie nie kupię. Karton papierosów i butelkę alkoholu, dozwolone w Finlandii do bezcłowego wwozu, mogę za te same pieniądze nabyć w samolocie. Ale nie, kupię. Podobno Finlandie — jak twierdzą Szwedzi — na widok taniej butelki tracą głowę, stewardesy mogą nie zdążyć obsłużyć wszystkich chętnych. I jeszcze jedno: Gundborg. Ta przemiana dziewczyna zasługuje na dowód pamięci. Nie kocham jej. Wszystko, co odczuwam, to lekkość, jak po orzeźwiającej kąpieli. Ale jest to lekkość złoto-pomarańczowo-niebieska, pachnąca wonnymi olejkami. Kupię jakiś drobiazg i poślę przez doręczyciela. Szkoda, że nie ponysłałem o tym przed rozliczeniem się na parkingu z Avisem, prezent byłby już w jej rękach. Ale nic straconego. Tylko co? Bransoletka, jakiś wisiorek na szyję, bo same kwiaty to za mało.

— Uwaga, uwaga! Pasażerów udających się do Tokio samolotem linii SAS prosimy do odprawy. Uwaga, uwaga...

Zapowiedź potwierdza ekrany monitorów. Samolot do Tokio jest na płatym miejscu od góry, mój na ósmym, czasu na zakupy wystarczy, kłopot tylko ten, że nie mam doświadczenia w tych sprawach. Złoty zegareczek na pasku, bransoletka byłaby najodpowiedniejsza, problem z jej meżem. Widziałem go na zdjęciu w salonie i syplalni, nie mogę powiedzieć, żeby nie przeszkadzało mi jego towarzystwo. Przystojny lekkoatleta, w przeciwieństwie do ogółu Skandynawów nie blondyn, lecz brunet. W oczach... Kobiety to nazywają wyrozumiałością, u mnie taki brak wyrazistości kojarzy się z tygrysem pogrążonym we śnie, którego lepiej nie budzić. Cullinan ma takie same oczy. Lekkoatleta wróci z Afryki za kilka miesięcy. Im później wróci, tym wrażliwsze będzie miał powonienie. Meżowie ładnych kobiet są zawsze problemem.

U wejścia do sklepu wolnocłowego degustacja francuskich alkoholi. Nie wyszła mi próba ominięcia zaimportowanego bufetu. Nie znam się na koniakach, ale kiwnąłem z uznaniem głową. W nagrodę postawiono przede mną lampkę czegoś innego, potem jeszcze czegoś! Uff! Francja ma kłopoty z nadprodukcją, szuka rynków zbytu. Czy w dobrym miejscu szuka? Pozwoliłem zapakować sobie butelkę jakiegoś napoleona i chwalać francuskie winnice, z wózkim przed sobą, wzięłem kurs na działy jubilerski. Zenującym nowicjuszem jestem w tych sprawach, ale od czego są w Szwecji ekspedientki! Z niebrzydkiem wisiorkiem ze złota udałem się do kwaciarni po wiazankę róż, skreśliłem na kartce kilka słów i adres i prosząc o doręczenie tego wróciłem do hallu.

C.D.N.

Rys. Janusz Szymański-Glane